

CZY NA GOŁOCIE DA SIĘ JESZCZE ZAROBIĆ?

• MEDYCYNA: GROŻNE
JAK ZWYKŁE ZAPALENIE

**PRZE
KROJ**

Chylińska
OSTATNIA która
ROCKUJE

s. 48.

Nr 10 / 3063 • 7 marca 2004 • cena 4,00 zł

(w tym 7% VAT)



**PORTRET
idealnego
SZEFA
SLD**



**ZABIJANIE
MORDERCÓW**



**NELLI ROKITA
ŻONA CAŁKIEM NIEZALEZNA**



ISSN 0033-2488

10

HOMEOVOX®

BÓL GARDŁA? CHRYPKA?



LABORATOIRES
BOIRON
Boiron Sp. z o.o.



Tabletki do ssania

i mam piękny głos!

SZYBKO I SKUTECZNIE łagodzi objawy infekcji górnych dróg oddechowych i następstwa nadwyrężenia strun głosowych: ból gardła, chrypkę, utratę głosu, drażniący, suchy kaszel.

BEZPIECZNY, bardzo dobrze tolerowany, nie wysusza błon śluzowych, nie powoduje zapać i nie wywołuje senności.

Może być podawany dzieciom, kobietom w ciąży i karmiącym.

Produkt złożony. Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

na Czwartek **RACZKOWSKI**



Wymyślił i narysował: MAREK RACZKOWSKI

w tym tygodniu **NIE PISZEMY:**

...o tym, co wygaduje Andrzej Lepper na spotkaniach z ludem. Bo wierzymy, że Wy mu nie uwierzycie.

...o poprawkach zgłoszonych przez szefową gabinetu premiera Aleksandrę Jakubowską do małej nowelizacji ustawy o RTV. Bo po przeanalizowaniu „poprawek” przez ekspertów okazało się, że to nie poprawki, lecz nowe przepisy, do tego napisane z błędami językowymi, obciążone wadami legislacyjnymi i niezgodne z konstytucją. Przecież nie będziemy gratulować. Choć tupetu troszkę zazdrościmy.

...o tym, że Ryszard Czarnecki, dawno, dawno temu działacz ZChN, po dwóch latach doradzania Andrzejowi Lepperowi w sprawach europejskich

wreszcie wstąpił do Samoobrony. Bo niestety, nie zwiększa to liczby osób mądrych, wykształconych i znających język angielski, które mają chęć zasiąść w Parlamencie Europejskim. Zwiększa tylko liczbę tych, którzy mają chęć.

...o Platformie Obywatelskiej i jej wahaniach, czy poprzeć plan Hausnera. Bo odnosimy wrażenie, że w tej sprawie PO zachowuje się, jakby chciała być półdziewicą, a my w takie byty nie wierzymy.

...o tym, jak Włodzimierz Czarzasty, zapytany przez sąd, czy wie coś o grupie trzymającej władzę, wymienił Adama Michnika i „Gazetę Wyborczą”. Uzasadził, że jeśli jemu przypisuje się udział w takiej grupie, to musi uznać, że jest to dość nieudolna grupa, której nic się nie udaje. Bo choć

jego dowcip powtórzyła sędziom chwilę potem Aleksandra Jakubowska, musieliśmy zwrócić mu uwagę, że to właśnie nieudolność cechuje władzę jego kolegów, więc tym samym potwierdził, że do GTW jednak należy.

...o minister Krystynie Łybackiej (tej od edukacji). Bo piszemy o wiceministrze MSWiA Andrzeju Brachmańskim i to już wystarczające poświęcenie z naszej strony.

...o „zaproszeniu do składania ofert”, w którego tytule wyczytaliśmy: „Program Rehabilitacji Dróg Priorytetowych”. Bo to wzięte z ogłoszenia płatnego, a nam za to nikt nie zapłaci. Ale całkiem powstrzymać się nie mogliśmy.

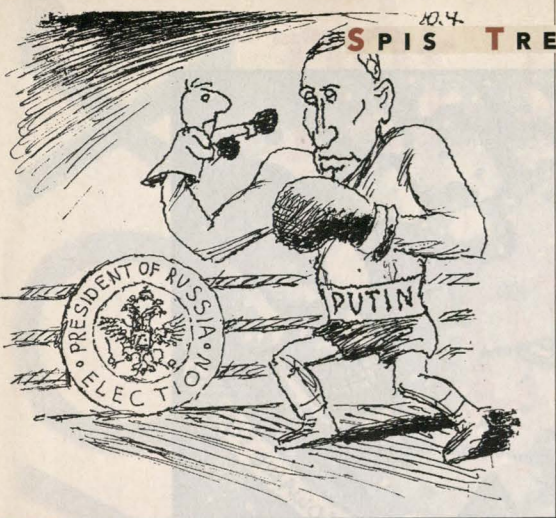
CYTAT tygodnia

Ja te argumenty przetrawię, a potem mogę nawet wywalić.

MAREK SIWIEC
na ofertę przetrwania (w myślach)
argumentów przeciwko
planowi Hausnera



Fot. DAMAZY KWATKOWSKI/CAFAP



Rys. CHEREPANOVIKROKODIL/CARTOONWEB.COM

26

Czy w Rosji będzie kiedyś demokracja?

- 6 POWIĘKSZENIE
Prom w ogniu – zamach czy wypadek?
- 14 OSCARY
WYBRALI FIKCJĘ
Najnudniejsza w historii ceremonia oscarowa
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe i zagraniczne
- 22 PYTAMY
Tomasza Nałęcza o raport w sprawie afery Rywina
- 24 KOMENTARZ
- 25 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Adam Mickiewicz „Danaidy”
- 26 WYBORY W ROSJI
MÓWI PRAWDZIWA ROSJA
Rosyjska demokracja zesłała do podziemia. O niespełnionych nadziejach na wolność, zmuszaniu do głosowania i dziennikarzach w polityce rozmawiają Rosjanie na czacie z Aleksiejem Simonowem, szefem Fundacji Obrony Głosności

DOKUMENT

- 30 MUTANCI W POTRZASKU
Po dwóch latach śledztwa policja wyłapała najbardziej brutalnych gangsterów w Polsce

NOWE OBYCZAJE

- 36 SZLACHTWO ZOBOWIĄZUJE
Na Giełdzie Szlacheckiej można kupić herb. A raczej jedynie wizerunek herbu, do którego jest się uprawnionym. A jeśli ktoś nieuprawniony nabędzie wizerunek, nie uczyni go to szlachcicem

NADLUDZIE

- 38 ŚNIŁ NAM SIĘ PRZEWODNICZĄCY...
6 marca prawdopodobnie poznamy nowego przewodniczącego Sojuszu

Lewicy Demokratycznej. Zapytaliśmy polityków SLD o najważniejsze cechy idealnego następcy Leszka Millera

- 40 OPINIA
Możesz założyć partię, ale i tak jej nie utrzymasz

TYLKO KOBIETY

- 42 MIŁOŚĆ PRAWIE KAZIRODCZA
Dla męża staram się chodzić bardziej po kobiecemu – mówi Nelli Rokita, żona Jana Marii
- 46 DLACZEGO ROKITA WYSUWA SZCZĘKĘ
– wyjaśnia Natalia de Barbaro, doradca w kampaniach Jana Rokity
- 48 PRZECZYLIŃSKA
Nie interesuje mnie szeroka publiczność. Zatrzymują się na poziomie „kurwa mać” i tatuży. Nie widzą podwójnego dna – Agnieszka Chylińska wciąż nie daje się komercji

54 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

HISTORIE FIRM

- 56 PUDEŁKO ZE ŚNIEŻNĄ BIELĄ
W kilkudziesięciu krajach świata, także w Polsce, Nivea jest najlepiej rozpoznawalną marką kosmetyku

NAUKA

- 62 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
- 64 MÓZG W BANKU
Możesz być nieśmiertelny – oddaj swój mózg nauce
- 68 SPALA NAS WEWNĘTRZNY OGIEN
Uwaga! Zwykły stan zapalny może nas zabić

72 INSPEKTOR GADŻET

SPORT

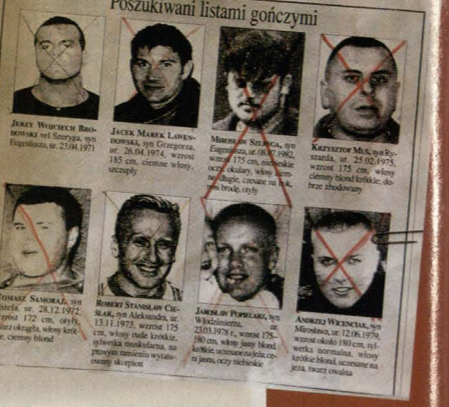
- 74 KRÓL Z WULGARNYM JĘZYKIEM
Najsłynniejszy bokserki promotor Don King zapowiada, że zrobi z Gołoty mistrza świata. Don King nigdy nie bał się ryzyka

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 76 LUDZIE SĄ SMACZNI
Tajemnicze bezgrzywe lwy polują na ludzi. A wszystko dlatego, że ich przodkowie mieli słabe zęby

- 82 LISTY

Oni strzelali do policjanta



Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI



Fot. ROBERT CAPUTO/INPAURO/PROGRESS

83 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 84 OPINIA – uczmy się kultury od Hiszpanów
- 86 FILM – „Pasja”
- 88 MUZYKA – Nowy Stańko
- 90 KSIĄŻKI – „Ostatnie pokolenie”
- 92 TELEWIZJA – koniec „Ballady o lekkim zabarwieniu erotycznym”

ROZMAITOŚCI

- 94 OSTATNI DZIENNIK OSOBISTY MASŁOWSKIEJ; WINNY BIEŃCZYK; krzyżówka; jolka
- 98 RACZEJ RACZKOWSKI

- 76 Nie mają grzywy i są leniwe – lwy ludojady

- 72 Inspektor Gadżet



Grawitacja dodatkowo wspomagana.

Systemy bezpieczeństwa Dual Rate, HBA, EBV, HVV i LDE.

Nowy Golf pewnie trzyma się drogi. Jeśli stąpasz twardo po ziemi, zainteresują Cię następujące fakty: opracowaliśmy nową generację systemów hamowania i utrzymywania stabilności toru jazdy – EBV i HVV aktywnie dopasowują siłę hamowania kół osi tylnej do działania systemu ABS w przednich kołach, Dual Rate w sposób ciągle wspomaga siłę hamowania, HBA hydraulicznie zwiększa siłę hamowania awaryjnego, natomiast LDE zachowuje właściwości ESP, czuwając nad stabilnością toru jazdy nawet przy małych prędkościach. Nowy Golf. Jazda próbna obowiązkowa!



Z miłości do Samochodu



Okładka: AGNIEŻSKA CHYLIŃSKA
ZDJĘCIE KRZYSZTOF OPALIŃSKI/POMATON EMI
FOT. PRZEMYSŁAW POKRYCKI/REPORTER
MAREK SZCZEPAŃSKI
KRZYSZTOF KAROLCZYK/AG

powiększenie

„ŻYJĘ, ALE NIE WIEM, GDZIE JEST NASZE DZIECKO. MÓDL SIĘ ZA NIĄ” – TAKI SMS WYŚLAŁ PASAŻER DO ŻONY, A POTEM ZESKOCZYŁ Z POKŁADU PŁONĄCEGO PROMU

„Superferry 14” miał 155 metrów długości i wyporność 10 tysięcy ton. Na pokład zabrał niemal 900 pasażerów. Los ponad stu z nich nie był znany pięć dni po tragedii

MAREK RYBARCZYK

PROM W OGNIU

– ZAMACH CZY WYPADEK?

Na dolnych pokładach wielkiego filipińskiego promu ludzie czuli się jak szczury w labiryncie. Ale ufali potężnemu kolosowi. Nikt z pasażerów nie wiedział, jak szybko okręt może zmienić się w płonącą pochodnię

SUPERFERRY



WYBUCH, KŁĘBY DYMU I PANIKA. PASAŻEROWIE WIELKIEGO, LŚNIĄCEGO NOWOŚCIĄ PROMU MUSIELI WALCZYĆ O ŻYCIE. POŻAR W MASZYNOWNI ROZPRZESTRZENIŁ SIĘ W SZALEŃCZYM TEMPIE

Filipińskie promy mają fatalną reputację. Ten budził zaufanie zamożnych pasażerów. Czy dlatego mogli go wybrać zamachowcy?

Superferry 14" wypłynął ze stolicy Filipin Manili. Ostatni z 900 pasażerów na pokładzie promu kładli się już na spoczynek. Czekala ich długa droga do Bacolod na południu gigantycznego archipelagu. Nagle kolosem o wyporności ponad 10 tysięcy ton wstrząsnął potężny wybuch. Ogień rozprzestrzenił się z maszynowni. – Wszędzie zrobiło się gęsto od dymu. Pobiegliśmy co sił w nogach na główny pokład

– wspomina jedna z uratowanych pasażerek Christie Cayetona. Wybuchła panika. – Siostró, skaczę – mówił przez telefon komórkowy jeden z pasażerów „Superferry”. – Na pokładzie wybuchła bomba – telefonował do rodziny inny. Dziesiątki, a potem setki ludzi wyskoczyły za burtę święcie przekonane, że są ofiarami wielkiego zamachu terrorystycznego.

O pierwszej w nocy w piątek 27 lutego załoga promu wysłała sygnał SOS. Na miejsce katastrofy ruszyły wszystkie pobliskie jed-

nostki i statki rybackie. Wielu rozbitków nie wiedziało, czy ich bliscy zdołali przeżyć. – Żyję, ale nie wiem, gdzie jest nasze dziecko. Módl się za nie – taki SMS wysłał do żony Rodel Castillo. Dopiero potem okazało się, że 15-miesięczna córeczka była cały czas z matką. Dotarła do Manili na innym statku. Podobny był los kilkudziesięciu innych „zgubionych” pasażerów.

W niedzielę rzecznik grupy terrorystycznej Abu Sayyafa Abu Suaiman przyznał się do za-

machu. Miał to być odwet za akcje pacyfikacyjne armii filipińskiej na południu kraju.

TIEN DLA TERRORYSTÓW?

– Rebelianci nie przepuszczą żadnej okazji propagandowej. Abu Sayyaf przyznaje się do wszystkich większych incydentów – twierdził lekceważąco filipiński wojskowy, pułkownik Fedesvindo Covarrubias.

Grupa Abu Sayyafa współpracuje z Al-Kaidą. Jest odpowiedzialna za porwania i zama-

chy bombowe na południu Filipin. Ostatnio grupę osłabiły walki wewnętrzne. Nie można jednak wykluczyć, że była zdolna dokonać jednego spektakularnego ataku.

Początkowo liczba ofiar śmiertelnych wydawała się bardzo duża: ponad 180 pasażerów i członków załogi. Jednak w weekend wielu uratowanych powiadomiło właściciela promu, linię Aboitiz Transport, że wyszli cało z opresji. Z całą pewnością potwierdzono śmierć jednego pasażera, w poniedziałek



Ta dziewczyna szybko trafiła do szpitala wojskowego w Manili. Doznała rozległych oparzeń trzeciego stopnia, ale uszła z pożaru z życiem

Cud w środku inferno. Ta kobieta odzyskała właśnie dwumiesięczne dziecko, które podczas paniki i pożaru na promie ocalili marynarze



Nie można wykluczyć, że pożar był wynikiem zamachu terrorystycznego, ale jednak nurkowie nie znaleźli na razie śladów wybuchu bomby

TRAGEDIE NA MORZU TO FILIPIŃSKA CODZIENNOŚĆ. NIEKTÓRE POCHŁANIAJĄ NAWET KILKASO OBIAR. ALE PASAŻERÓW NIE BRAKUJE, BO FILIPINY TO ARCHIPELAG SIEDMIU TYSIĘCY WYSP

W nocy, gdy zamykaliśmy numer, ekipy ratownicze nie mogły nadal odnaleźć ponad sto osób.

ZAPACH ŚMIERCI

Nurkowie, którzy weszli na pokład zatopionej częściowo jednostki, wracali stamtąd przerażeni. Mówili, że wszędzie pachnie śmiercią. Ale nie znajdowali trupów. Wewnątrz tłącego się jeszcze kadłuba promu odholowanego do zatoki koło miasta Maribeles pływały tylko bagaże. 115-metrowy kolos leżał na prawym boku.

– Mamy nadzieję, że ci, którzy przeżyli, pojechali do domu. Apelujemy do nich, aby się do nas zgłosili – mówił komendant filipińskiej straży przybrzeżnej, admirał Arthur Gosingan. Nurkowie musieli pracować bardzo ostrożnie. W wielu miejscach tliły się pożary, czuć było silny zapach toksycznych gazów. – Nie odkryliśmy żadnych śladów życia – powiedział kierujący akcją Wilfredo Tamayo z nadbrzeżnych jednostek filipińskich. Ale nurkowie z łatwością wybuchającymi butlami nie spenetrowali całego statku. Ze sprężonym tlenem nie mogli wejść

jeszcze w poniedziałek do suchej, nadal niezatopionej części kolosa. Była zbyt rozgrzana. Nie pomogło schładzanie wodą z helikopterów. Pożar nie objął jednak całego kadłuba. W wielu odciętych od świata kabinach mogła przetrwać część pasażerów. – Tracę nadzieję. Minęły już 24 godziny – mówił Georgito Canza, który bezskutecznie próbuje ustalić los swojej matki.

TAJEMNICZA EKSPLOZJA

Z każdą godziną coraz mniej wiarygodna stawała się teoria o zamachu. Żaden z ran-

nych nie został ugodzony odłamkami. Nurkowie nie znaleźli poskręcanych kawałków metalu, typowych dla wybuchu bomby. – Dotychczasowe dochodzenie w żadnym stopniu nie wskazuje na to, że był to atak terrorystyczny – powiedziała w specjalnym oświadczeniu prezydent Filipin Gloria Macapagal-Arroyo. Nikt jednak nie wiedział, co mogło być przyczyną tajemniczej eksplozji w maszynowni. Prom był nowy. Wyplął w morze obciążony w granicach normy, z odpowiednią liczbą pasażerów.

Pożar na gigantycznym „Superferry” to kolejna groźna tragedia morska na Filipinach. Złożony z siedmiu tysięcy wysp archipelag oplata gęsta sieć połączeń promowych.

TRAGEDIA ZA TRAGEDIĄ

Większość statków nie spełnia podstawowych kryteriów bezpieczeństwa. Zatonięcia i awarie promów zdarzają się tu regularnie. Kiedy filipińskie jednostki nurków przemierzały się do wejścia na rozgrzany kadłub „Superferry 14”, marynarka wojskowa ratowa

wała pasażerów promu „ML Mora”. Po awarii silników prom zaczął dryfować na otwarty ocean z rejonu wyspy Pangutaran. Pomoc nadeszła na czas.

Filipińczycy nigdy nie zapomną katastrofy sprzed 17 lat. Filipiny przeżyły wówczas największą morską tragedię, jaka wydarzyła się gdziekolwiek na świecie w czasie pokoju. W 1987 roku koło wyspy Mindoro w środkowych Filipinach z tankowcem zderzył się wypełniony po brzegi prom „Dona Paz”. Zginęły wówczas cztery tysiące osób.

Ekipy ratownicze miały nadzieję, że w niektórych kabinach promu mogli przetrwać ludzie. Pożar nie strawił całego kadłuba

– Tracę nadzieję.
Minęły już 24 godziny
– rozpaczął Georgito
Canza, który nie zna
losu swojej matki.
Wolno stygnący
prom długo strzegł
swojej ponurej
tajemnicy

KIEDY EKIPY NURKÓW PIERWSZY RAZ ZESZŁY DO ZATOPIONYCH KOMÓR FILIPIŃSKIEGO PROMU, RATOWNICY WRÓCILI PRZERAŻENI. MÓWILI, ŻE WEWNĄTRZ PACHNIE ŚMIERCIA



Oscary

„AKADEMIA WRESZCIE DOCENIŁA FANTASY” – MOWIŁ PETER JACKSON. JEJ „POWROT KRÓLA” DOSTAŁ TYLKO OSCARÓW, ILE MIAŁY TYLKO „BEN HUR” I „TITANIC”



11 statuetek dla „Powrotu króla” i sam przebieg oscarowej ceremonii wskazują na to, że Hollywood wybiera dziś fikcję. Chce oglądać baśnie, bawić się i wierzyć we własną nieśmiertelność

MAŁGORZATA SADOWSKA

WYBRALI FIKCJĘ

01. GARY HEISHOR/REUTERS/FORUM

Gwiazdorska obsada, rzetelna reżyseria, rozmach, poprawność i... nuda – tegoroczna, 76. ceremonia rozdania Oscarów stylem i wykonaniem przypominała typową wysokobudżetową hollywoodzką produkcję – jak skrzyżowanie „Pięknego umysłu” ze „Wzgórzem nadziei”. Nic więc dziwnego, że amerykańska (i nie tylko) prasa uznała, iż uroczystość była bezbarwna, średnio zabawna, a przede wszystkim nadęta. Czyli „wszystko to, czego najbardziej nie lubią widzowie” – jak podsumowała emitowane przez ABC show recenzentka „New York Timesa”. Niejeden zagorzały fan oscarowych ceremonii zapewne odszedł znudzony od telewizora – zwłaszcza w naszej strefie czasowej, gdzie oglądanie nocnej transmisji wymaga nie lada poświęcenia.

Nie było niespodzianek ani żadnych wartych zapamiętania wystąpień, żadnych ekscesów. Zawiedli nawet najbardziej nieobliczalni: obnoszący się z lewicowymi i antywojennymi poglądami Tim Robbins (Oscar za drugoplanową rolę męską) poprzestał na wpięciu w klapę pacyfki, zaś jego żona Susan Sarandon, słynąca z gniewnych wystąpień, tym razem szokowała zebranych jedynie widokiem mało apetycznego nagiego ramienia, z którego smętnie zwisało ramiączko. Wieczny buntownik Sean Penn (Oscar za najlepszą rolę męską) nie doświadczył, że przyszedł na ceremonię, to jeszcze wygłosił litanię grzecznych podziękowań, zaś szalenie niezależny i sceptycznie nastawiony do Hollywood Bill Murray (nominacja za najlepszą rolę męską) zaskakująco łatwo dał się wtłoczyć w sztywną konwencję i nie popisał się żadnym dowcipem.

A wszystko przez czerwony dywan, który znów rozłożono przed wejściem do Kodak Theater.

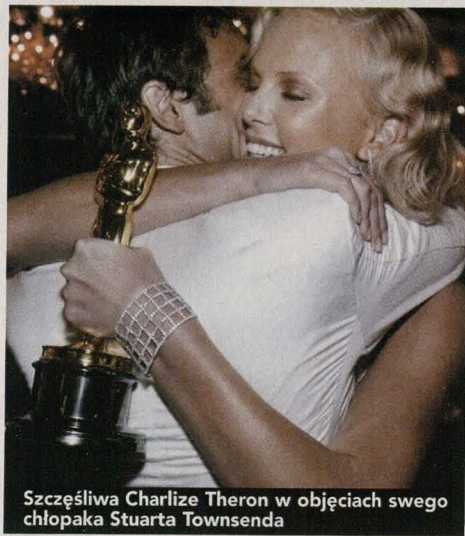
TYLKO BEZ POLITYKI, PROSZĘ

Można było mieć wrażenie, że w momencie gdy gwiazdy wkraczały po nim do budynku Kodaka, tylnymi drzwiami wyprowadzano stamtąd politykę. A to właśnie ona dominowała tu przez ostatnie dwa lata. Zamachy terrorystyczne i wojna w Iraku sprawiły, że na ceremoniach oscarowych obowiązywały skromne stroje, zaangażowane wystąpienia, pacyfki w klapach i raczej minorowe nastroje.

Po 11 września czerwony dywan, symbol hollywoodzkiego blichtru i próżności, zwinięto. Dziś razem z nim powróciły na Oscary blichtr i dobre samopoczucie, którego nikt nie chciał psuć. No, prawie nikt – podobnie jak w ubiegłym roku o istnieniu innej



Blichtr wraca – wysadzane diamentami buty wokalistki Alison Krauss



Szczęśliwa Charlize Theron w objęciach swego chłopaka Stuarta Townsenda

FOT. JOE CAVARETTA/AP

FOT. LUCY NICHOLSON/REUTERS/FORUM

ZDOBYWCY OSCARÓW

Najlepszy film
„Władca Pierścieni: Powrót króla”

Najlepszy reżyser
Peter Jackson za „Władcę Pierścieni: Powrót króla”

Najlepszy aktor
Sean Penn („Rzeka tajemnic”)

Najlepsza aktorka
Charlize Theron („Monster”)

Najlepszy scenarzysta
Sofia Coppola („Między słowami”)

Najlepszy scenariusz adaptacyjny
Fran Walsh, Philippa Boyens, Peter Jackson („Władca Pierścieni: Powrót króla”)

Najlepszy film zagraniczny
„Inwazja barbarzyńców” (Kanada)

Najlepsza piosenka
Annie Lennox za „Into The West” do filmu „Władca Pierścieni: Powrót króla”

Najlepszy aktor drugoplanowy
Tim Robbins („Rzeka tajemnic”)

Najlepsza aktorka drugoplanowa
Renée Zellweger („Wzgórze nadziei”)

niż filmowa rzeczywistości przypominał zebranym dokumentalista. Odbierając statuetkę za najlepszy pełnometrażowy dokument „The Fog of War”, wybitny niezależny reżyser Errol Morris grzmiał ze sceny: – 40 lat temu ten kraj wpadł do króliczej nory w Wietnamie i zginęły miliony. Boję się, że dziś dzieje się to samo.

Jego wystąpienie przywitano gwiazdami, a prowadzący ceremonię Billy Crystal (on też pojawił się razem z dywanem – wrócił do robienia oscarowego show po trzech latach przerwy) natychmiast obrócił tyradę Morrisa w żart.

Dowcipów na tematy polityczne było zresztą więcej (na przykład ulubiony film Hillary Clinton to „Kill Bill”, a Donalda Rumsfelda – „Niebezpieczny umysł”), a wszystkie grzeczne, mało prowokacyjne i absolutnie niewinne. Ostatnim politycznym akcentem była cisza, która nastąpiła po tym, jak wśród zmarłych w 2003 roku twórców wymieniono nazwisko Leni Riefenstahl.

Nikt nie chciał bić jej braw.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Skoro polityka zamieciona została pod dywan, po którym znów mogły przechadzać się gwiazdy, te ostatnie skoncentrowały się na tym, by dobrze wypaść w błyskach fleszy. W tłumie podobnie ubranych gwiazd trudno się wyróżnić, ale trzem osobom udało się to bez wątplenia: Johnny’emu Deppowi (zawsze ubiera się oryginalnie, tym razem wszyscy zwrócili uwagę na jego niesamowity gigantyczny kołnierzyk), Alison Krauss (warte dwa miliony dolarów inkrustowane diamentami buty) i Peterowi Jacksonowi. Komentatorka z „New York Timesa”, opisując obwisły, wygnieciony garnitur tego ostatniego, dostrzegła w nim niepowtarzalne połączenie stylu Jamesa Belushiego i profesora fizyki z uniwersytetu w Vermont...

Pozostali ubrali się standardowo – w rzeczy projektu Gucciego, Valentino, Chanel, Laurena Forda. W tym roku modny był powrót do przeszłości – stylowe sukienki i eleganckie fryzury nawiązywały do złotej ery Hollywood. Zresztą przeszłość mocno wkroczyła na tegoroczną ceremonię: zebrani oddali hołd zmarłym legendom Bobowi Hope’owi i Katharine Hepburn, wspominali odejście między innymi Gregory’ego Pecka, Alana Batesa, Davida Hemmingsa i innych. Oscara za całokształt twórczości odebrał inny należący już do historii twórca – Blake Edwards.

Nawet jeśli tegoroczni laureaci – Sean Penn, Charlize Theron, Tim Robbins, Peter Jackson i inni – rzeczywiście na zawsze zapiszą się w historii kina, to sama ceremonia zapisze się co najwyżej w historii najgorszych i najnudniejszych imprez dekady.

MAŁGORZATA SADOWSKA

PRZE KROJ

CZASOPISMO ROKU

W IV edycji konkursu Media Trend* tygodnik „Przekrój” zdobył nagrody w 5 kategoriach:

- CZASOPISMO ROKU
- ZMIANA OFERTY PROGRAMOWEJ
- CZŁOWIEK MEDIÓW – PIOTR NAJSZTUB
- AUTOPROMOCJA MEDIUM
- GRAND PRIX MEDIA TREND

*MEDIA TREND to jedyny konkurs w Polsce poświęcony innowacyjnym zjawiskom, które w istotny sposób wpływają na działalność i obraz krajowego rynku mediów.



Detektyw Krzysztof Rutkowski donosi dziennikarzom na Jerzego Jaskiernię

NIEZBYT OBSZERNY DOWÓD

Na konferencji prasowej Krzysztof Rutkowski przekonywał dziennikarzy, że Jerzy Jaskiernia wziął od swojego przyjaciela i asystenta Macieja Skórki „kilka” milionów dolarów łapówki. Miała to być zapłata za korzystne dla branży hazardowej zapisy w ustawie o grach losowych. Zdaniem detektywa były szef Klubu Parlamentarnego SLD za pieniądze Skórki latem 2002 roku pojechał na wakacje do hiszpańskiej miejscowości Gandia.

– Mogłem być kiedyś w Gandii – przyznał Jaskiernia w rozmowie z „Przekrojem”. – Zjechałem turystycznie Hiszpanię wzdłuż i wszerz. Jestem do dyspozycji, w każdej chwili mogę zeznawać – zapewnia. Twierdzi również, że latem 2002 roku rzeczywiście był w Hiszpanii, ale w Madrycie, na spotkaniu przewodniczących komisji spraw zagranicznych z państw UE.

– Wszelkie oskarżenia, że wziąłem łapówkę, to pomówienia. Nigdy nikt nic mi nie proponował – zapewnia Jaskiernia, wyjaśniając szczegółowo: – Najpierw mówiło się o 10 milionach dolarów, potem o pięciu, słyszałem też o trzech. Wszystko to przekłamania – twierdzi.

Dokumenty, jakie w prokuraturze miał złożyć detektyw, to podobno nagrane zeznania świadka nielegalnych transakcji. Nie potwierdza tego Karol Napierski z Prokuratury Krajowej. – To jeden niezbyt obszerny doku-

DETEKTYW RUTKOWSKI PRZEKAZAŁ PROKURATURZE DOWODY, JAKOBY W HISZPAŃSKIEJ MIEJSCOWOŚCI GANDIA PRZYBYŁY KOLEJNE ZWIĄZANE Z POLSKĄ ATRAKCJE TURYSTYCZNE

ment – mówi. Dodaje, że teczka z dokumentem detektywa trafiła w ręce prokuratury w Gdańsku, która tę sprawę już badała i umorzyła. Decyzja, czy wznowić śledztwo, zapadnie w ciągu najbliższych dni.

Śledztwo może też zmienić charakter. Do tej pory toczyło się „w sprawie”. Ponieważ detektyw Rutkowski ma dowody na skorumpowanie przez lobby hazardowe wysokiego funkcjonariusza resortu sprawiedliwości i oficera policji, dochodzenie może być „przeciw”. Komu? Na to pytanie na razie nikt nie chce odpowiedzieć.

Gandia (ponad 50 tysięcy mieszkańców) to nadmorska, otoczona gajami pomarańczowymi miejscowość znana i polskim turystom, i polskiej opinii publicznej. To tam trzy lata temu zginął Antonio Grau Manchon, potentat w branży hazardowej, znajomy polskich polityków. W 2001 roku właśnie w Gandii hiszpańska policja aresztowała Andrzeja Zielińskiego „Słowika”, domniemanego szefa mafii pruszkowskiej.

Krzysztof Rutkowski w 2001 roku dostarczył Andrzejowi Lepperowi dowody, jakoby prominentni politycy różnych partii przyjmowali setki dolarów łapówek. Dowody okazały się – mówiąc ogólnie – niewystarczające. Czy dowody na Jaskiernię okażą się równie „mocne”? Oцени to prokuratura.

MICHAŁ WÓJCİK

Fot. RAFAL GUZ/FOTORZEPA

ILE CUKRU W CUKRZE

UNIA EUROPEJSKA CHCE, ŻEBY POLACY JUŻ OD 1 MAJA WIEDZIELI, CO ZAWIERAJĄ ZJADANE PRZEZ NICH PRODUKTY

Dokładne informacje o procentowym składzie produktu będą musieli od 1 maja umieszczać na opakowaniach producenci żywności. Przedsiębiorcy są zaskoczeni, bo przepis ten miał wejść w życie, ale od początku przyszłego roku. Ministerstwo Rolnictwa tłumaczy, że to nie jego wina. Podobno dopiero kilka dni temu okazało się, że Unia będzie wymagała od nas nowych opakowań już za dwa miesiące. Rozporządzenie z nowymi przepisami jeszcze nie jest gotowe. – Ale obiecujemy, że jego treść będzie przyjazna dla przedsiębiorców. Opracowaliśmy różne warianty – zapewnia Małgorzata Książkiewicz z biura prasowego Ministerstwa Rolnictwa. Od 1 maja na cukierkach przeczytamy, ile procentowo zawierają tłuszczu, substancji zapachowych i konserwantów. Na wyrobach mięsnych pojawi się informacja



Takich etykiet po 1 maja już nie zobaczymy

o zawartości wody i środków konserwujących dodanych w procesie produkcji. – Jesteśmy dużą firmą, więc damy sobie radę – mówi jeden z pracowników firmy cukierniczej Wawel. – Ale zapasy opakowań mamy na jakieś pół roku. Będziemy musieli je zniszczyć i dodatkowo uiścić za to jeszcze opłatę środowiskową. Poza tym nie wyobrażam sobie, by na każdym opakowaniu wypisywać skład procentowy produktu. Byłoby to zdradzenie naszej receptury. Przedsiębiorcy narzekają, że znów zostali czymś zaskoczeni i nowe zarządzenie muszą wprowadzać w życie od zaraz. Kraje Unii miały średnio około trzech lat na dostosowanie się do etykietowych wymogów.

DOROTA SAJNUG



Dyrektor „Przekroju” Iwona Zabielska-Stadnik i redaktor naczelny Piotr Najsztub

POSYPAŁY SIĘ NAGRODY

JURORZY KONKURSU MEDIA TREND DOCENILI NASZ TYGODNIK I REDAKTORA NACZELNEGO

Nasz tygodnik zdobył główną nagrodę w konkursie Media Trend. Za Człowieka Roku w mediach uznano naszego redaktora naczelnego Piotra Najsztuba.

Zebrałiśmy jeszcze kilka innych nagród: „Przekrój” został okrzyknięty medium roku. Otrzymał także wyróżnienie za autopromocję i zmianę charakteru pisma.

– Cieszę się, że w końcu znalazłem tygodnik dla siebie – mówi jeden z jurorów Krzysztof Napelski z RMF FM. – Udało wam się coś niesamowitego. Mistrzostwo świata. To tak, jakbyśmy my zmienili RMF w Radio Maryja. Zachowaliście tytuł, a całkowicie zmieniliście charakter pisma. Teraz jest to tygodnik dla młodych i wymagających.

W kategorii medium roku oprócz naszego tygodnika nagrodzono także TVN24, dziennik „Rzeczpospolita” i firmę reklamy zewnętrznej Stroer. Za debiut roku uznano pojawienie się dziennika „Fakt” wydawanego przez Axel Springer Polska.

Konkurs Media Trend organizowany jest od czterech lat przez krakowską firmę szkoleniową Eskadra. W skład jury wchodzi przedstawiciele mediów, domów mediowych i firm reklamowych.

W poprzednich latach Grand Prix zdobyli TVP2 za Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, TVN za program „Big Brother” i „Dziennik Bałtycki”. Tytuł Człowieka Roku otrzymali natomiast Mariusz Walter i Wanda Rapaczyńska.

DOROTA SAJNUG

WYGRANE STUDIA

DOBRE ZDANY EGZAMIN TO NIEJEDYNA DROGA NA STUDIA. CORAZ CZĘŚCIEJ INDEKS MOŻNA PO PROSTU WYGRAĆ

Wstęp na studia na Wydziale Malarstwa ASP w Gdańsku otrzymała w nagrodę laureatka konkursu „Artystyczny Indeks Hestii” Dominika Jurczyk z liceum plastycznego w Kielcach. W zmaganiach zorganizowanych wspólnie przez Grupę Ergo Hestia i gdańską uczelnię brał udział licealiści ze szkół plastycznych całego kraju. Indeksy już wcześniej bywały nagrodami w rozmaitych konkursach. Organizowała je między innymi Telewizja Polska w programie „Jeśli nie Oksford, to co?”, uczelnie niepaństwowe – na przykład Wyższa Szkoła Dziennikarska imienia Melchiora Wańkowicza – czy też czasopismo „Charaktery”, które od kilku już lat nagradza swoich zwycięzców indeksami na wydziały psychologii wielu uczelni w kraju. Chociaż uczestnicy takich konkursów zwykle muszą spełnić wyższe wymagania niż podczas normalnej rekrutacji, to chyba warto już w lutym mieć w kieszeni indeks wymarzonej uczelni. (Ik)

U Ż W PIĘCIU MIASTACH!



Czytam

metropol

bo potrzebuję szybkiej informacji

To się czyta w mieście!

„Symetria” Konrada Niewolskiego została zakwalifikowana do konkursu głównego Międzynarodowego

Festiwalu Filmowego w Karlowych Warach. W tym roku odbędzie się on w dniach 2–10 lipca

PREMIER KAŻDEGO PREZYDENTA

ZGŁOSZONA PRZEZ PUTINA KANDYDATURA NOWEGO PREMIERA ROSJI, 53-LETNIEGO MICHAŁA FRADKOWA, WYWOŁUJE W MOSKWIE KONSTERNACJĘ: PRZYSZŁY SZEF RZĄDU JEST MAŁO ZNANY, A CI, KTÓRZY GO ZNAJĄ, UWAŻAJĄ ZA BEZBARWNEGO URZĘDNIKA

Dokładny, spokojny wykonawca woli prezydenta. Każdego prezydenta – powiedziała o przyszłym premierze Irina Hakamada. Większą część zawodowego życia Fradkow pracował w radzieckich, a potem rosyjskich resortach handlu zagranicznego. „Bardzo ostrożny” – mówią o nim dawni koledzy i podwładni. W 1997 roku został rosyjskim ministrem handlu, a w 2001 – szefem policji podatkowej. Na tym stanowisku zasłynął przekazaniem do sądów w ciągu tylko jednego roku kilkudziesięciu tysięcy spraw o nieplacenie podatków (jego poprzednicy rocznie mieli po kilkaset takich spraw).

W 2001 roku Fradkow zwiększył przychody budżetowe o pół miliarda dolarów i był to jedyny przypadek w jego karierze, gdy media dużo o nim pisały (poza krótką aferą z 1995 roku, gdy był oskarżony o wybudowanie sobie willi z państwowych pieniędzy). Rok temu Putin mianował go specjalnym przedstawicielem



Marzec 2002 r. Putin dawno polubił „wiernego” Fradkowa

Rosji przy Unii Europejskiej w Brukseli. Fradkow odpowiadał za wprowadzanie w życie licznych zastrzeżeń administracji prezydenta w sprawie przyjmowania nowych państw do Unii. Co posłusznie uczynił, mimo że nawet w tonie rosyjskiego rządu nie było w tej sprawie jednomyślności (na przykład były premier Michaił Kasjanow i obecny p.o. Wiktor Christienko sprzeciwiali się takiej obstrukcji).

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

(NA STRONIE 26. ZAPIS CZATU Z ALEKSIEJEM SIMONOWEM, SZEFEM FUNDACJI OBRONY GŁASNOŚCI)



Obchody święta Aszura. Ad Sadr, 27 lutego. Szyita kałeczy czoło mieczem

Fot. Ali Abbas/EPAP/PIRORUM

ISLAM POD POKRYWKĄ

PO TRZECH DNIACH I NOCACH ZAŻARTYCH NEGOCJACJI W BAGDADZIE WYBRANA PRZEZ AMERYKANÓW RADA ZARZĄDZAJĄCA UZGODNIŁA 60 ARTYKUŁÓW PRZEJŚCIOWEJ KONSTITUCJI IRAKU

Nowe, tak zwane podstawowe, prawo będzie obowiązywać do 1 lipca, kiedy USA mają przekazać władzę Irakijczykom. Ponad 60 procent z nich to szyici. Ich przedstawiciele domagali się, by prawo islamskie górowało nad cywilnym, szczególnie w przypadku spraw rodzinnych. Mimo demonstracyjnego opuszczania sali szyicki członkowie 25-osobowej Rady musieli przelknąć porażkę: przejściowa konstytucja uznała islam tylko za jedno z kilku źródeł prawa. 25 procent miejsc w parlamencie zarezerwowano dla kobiet. Konstytucja, która trafiła do zatwierdzenia na biurko amerykańskiego administratora Iraku Paula Bremera, wprowadza wolność słowa i religii. Nie rozwiązuje jednak wybuchowej kwestii federalizmu. Potwierdzono autonomię

Rady jest tak nienawidzonych, że nie ośmieliliby się przejść po ulicach Bagdadu. Po raz pierwszy w historii Iraku nowe władze na przełomie 2004 i 2005 roku zdominuje większość szyicka prześladowana przez Saddama Husajna. Kiedy rodziła się konstytucja, w Karbali dziesiątki tysięcy szyitów świętowało śmierć ojca ich religii, wnuka Mahometa, Husajna. Tłumy pątników biczowały się do krwi i modliły przed grobem proroka. Na murach domów, na zamalowanych podobiznach Saddama Husajna wyświetlano w plenerze filmy religijne o męczeństwie imama Husajna, który w 680 roku n.e. zginął z rąk żołnierzy kalifa Jazida.

MAREK RYBARCZYŃSKI



Fot. AP

DZIECIĘCA BRYGADA SAMOBÓJCZA

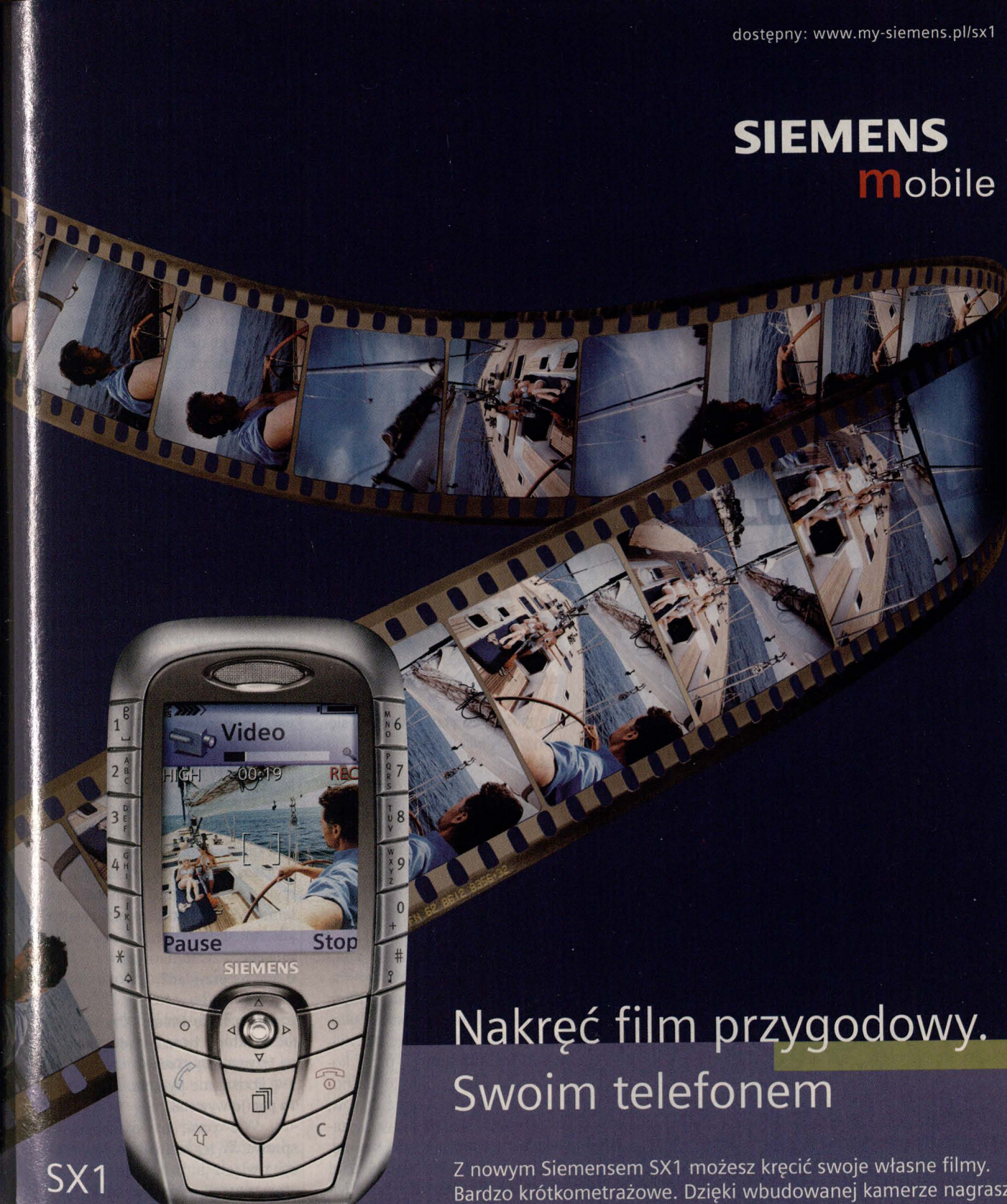
11-letni Ibrahim Abu Marzouk wyprawiał się z dwoma nieco starszymi kolegami, aby wysadzić „mur budowany przez premiera Szarona”. Takie wyjaśnienie zostawił w liście pożegnalnym rodzicom w Dżeninie, prosząc ich, by nie oplakiwali jego śmierci i nie urządzali wielkich demonstracji. Marzouk i jego koledzy, 13-letni Tarek i o rok starszy Dzaaifar, wpadli na punkcie kontrolnym koło wsi Tubas. Znalezione przy nich ładunki wybuchowe. Zamachu mieli dokonać w izraelskim mieście Afula.

– Nie powinno się wysyłać dzieci na takie misje. Ci, którzy to uczynili, powinni być ukarani – mówiła oburzona matka Tareka. – To nie do przyjęcia. Nasze dzieci nie powinny być zamachowcami-samobójcami, tylko lekarzami i inżynierami – stwierdził minister palestyńskiego rządu Saeb Erekat. Nie wiadomo, czy Izraelczycy wniosą oskarżenie przeciwko młodocianym bojownikom džihadu. (RyB)

Kurdów w dotychczasowych granicach, choć oni chcą poszerzyć ją na sunnickie obszary roponośne.

– Używaliśmy takiego języka, by nie obrazić wyznawców islamu i sprawić wrażenie, że chodzi o państwo islamskie – przyznał rzecznik zasiadającego w Radzie szyity Ahmeda Czalabiego. Ten kompromis na górze nie zadowalała szyickich dołów. Iraccy szyici w większości marzą o szariacie – rządach prawa islamskiego.

Wielu członków



SX1

Rozmiar rzeczywisty

Nakręć film przygodowy. Swoim telefonem

Z nowym Siemensem SX1 możesz kręcić swoje własne filmy. Bardzo krótkometrażowe. Dzięki wbudowanej kamerze nagraasz 20-sekundowy film, który możesz później obejrzeć i wysłać znajomym. Dodatkowej rozrywki dostarczy Ci muzyka z MP3, radio i gry. Nie zapomnij tylko, że to telefon i możesz z niego po prostu dzwonić. Chociażby do swojego producenta.

Be inspired

Kazimierz Kutz, wybitny reżyser, otrzyma nagrodę Srebrne Orły przyznaną co roku przez Polską Akademię

Filmową za całokształt twórczości. Wręczenie nagrody w sobotę



a właściwie
to...



Tuba
Kaszuba

Uszanujcie moją kobiecość

Czy doczekamy czasów, w których Dzień Kobiet będzie ogólnoswiatową manifestacją siły i dumy z przewodzenia cywilizacji? A mężczyźni i dzieci będą się w tym dniu cieszyć z dawno i szczęśliwie utraconej odpowiedzialności? Wtedy miałyby sens nasze dzisiejsze męczarnie. Mężczarnie, bo zawieszeni jesteśmy tego dnia między protekcyjnym dla kobiet PRL-em a przyszłym matriarchatem. Niegdyś świętowaliśmy ten dzień tak jak Dzień Chorych na Cukrzycę, a wszyscy „chorzy” (czyli kobiety) dostawali kwiaty i przez 24 godziny byli pokazywani w telewizji, radiu i świetlicach zakładowych. Dzisiaj, w oczekiwaniu na zwycięstwo feminizmu, traktujemy ten dzień jako pretekst do żartów w pracy, odkurzania filmoteki telewizyjnej czy nieśmiało jeszcze sprzedawania kapitalistycznych gadżetów związanych z kobietami. Coś z tym trzeba zrobić,

nie możemy tak przepućać tego okresu przejściowego! Jak powinien wyglądać Dzień Kobiet naszych czasów? Oprócz oczywistego fetowania urody, inteligencji i w ogóle obecności kobiet może moglibyśmy w tym szczególnym dniu nagradzać kobiecość u mężczyzn? Wiadomo od socjologów społecznych, że mężczyźni niewieściją, że przejmują niektóre cechy, miękkość i wrażliwość. Więc mógłby to być po części także ich dzień! Wiadomo, że na razie kobiety są nastawione bardziej pokojowo, więc w tym dniu mężczyźni, którzy sprzeciwiają się wojnie, mogliby dostać kwiatek, a cały ich bukiet dostawaliby zwoleńnicy dialogu społecznego, niekończących się rozmów itd., itd. Wszyscy byśmy na tym skorzystali, a przede wszystkim jakoś z sensem doczekalibyśmy czasów, kiedy Dzień Kobiet będzie dniem wreszcie rozumnej władzy.

PIOTR NAJSZTUB

Jakkolwiek potoczą się wybory przewodniczącego SLD, Sojusz znalazł nareszcie upragnioną „młodą twarz”, której tak bardzo mu ostatnio brakowało. Dawcą został Marcin Kaszuba. Rzecznik rządu, który dał się dotąd poznać jako najgorzej poinformowana osoba w państwie i jak ognia unikał wypowiedzi na tematy budzące czyjekolwiek zainteresowanie, zaczął nagle komentować w imieniu rządu. Na pierwszy ogień poszła odmowa poparcia planu Hausnera przez PO i wniosek Ziobro, by wysłać Kwaśniewskiego, Millera i Kurczuka przed Trybunał Stanu. Platforma uprawia według Kaszuby „pieczeniactwo”, „chce zjeść obiad na koszt rządu i nie dorzucić się do rachunku”. To dość ryzykowna teza, zważywszy na to, że ciężar reform planu Hausnera spadnie na następny rząd i tak naprawdę to SLD – by pozostać przy kelnerskiej frazeologii rzecznika – próbuje zjeść przed długim snem wystawną kolację akonto PO. W sprawie Ziobro rzecznik zaserwował już frontalny, partyjny atak. W ramach reakcji rządu poprosił, by do listy oskarżonych dopisać jeszcze Lecha Kaczyńskiego, który również wiedział o ofercie Rywina, ale nie pofatygował się do prokuratury. Marcin Kaszuba w dalszym ciągu nic o niczym nie wie, ale zaczął przynajmniej powtarzać, co mówi Leszek Miller. Dramat Kaszuby polega na tym, że są to akurat rzeczy nieprzemysłane lub takie, których premierowi mówić nie wypada. I tak sprawdza się rzymska maksyma: „Gdybyś milczał, byłbyś nadal filozofem”. No bo przecież nie rzecznikiem.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI



WILHELM SASNAL

Adam Mickiewicz

(1798–1855)



Danaidy

Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze, a droższe zapłaty.
Ta, której złoto daję, prosi o piosenki;
Ta, której serce daję, żądała mej ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.

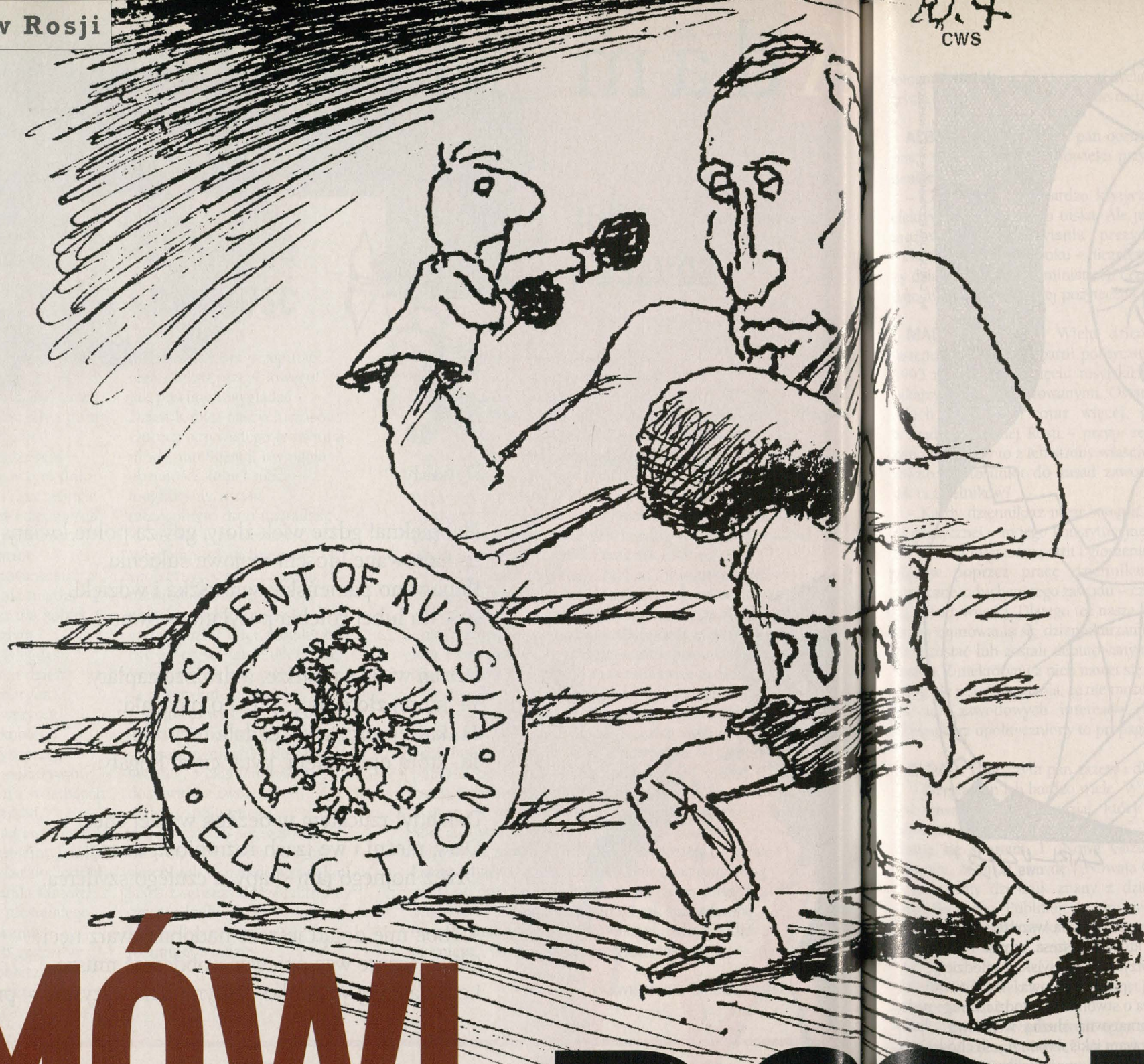
Danaidy! rzucałem w bezdeń waszej chęci
Dary, pieśni i we łzach roztopioną duszę;
Dziś z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko – prócz serca.



raport mniejszości

Dla „Przekroju” ANDRZEJ DUDZIŃSKI



Rys. CHEREPANOV/KROKODILCARTOONWEB.COM

MÓWI PRAWDZIWA ROSJA

Co o wyborach prezydenckich myślą zwykli Rosjanie, a czego boją się powiedzieć? Rosyjska demokracja zesłała do podziemia. O niespełnionych nadziejach na wolność, zmuszaniu do głosowania i dziennikarzach w polityce rozmawiają Rosjanie na czacie z **ALEKSIEM SIMONOWEM**, szefem Fundacji Obrony Głosności

ALLADYN, Ussuryjsk: Wykładam w jednej z uczelni Ussuryjska. Sobotę i niedzielę 13-14 marca ogłoszono u nas dniami pracującymi. Wszyscy studenci 14 marca będą „dobrowolnie-przymusowo” głosować w prezydenckich wyborach, by zapewnić frekwencję wśród studentów nie niższą niż 75 procent. Tych, którzy pochodzą z innych rejonów, zmuszają do oddania w rektoracie dowodów osobistych i wypełnienia formularza z prośbą o zgodę na głosowanie na uczelni. Jednocześnie zapowiedziano, że nieobecności 14 marca będą bardzo ostro karane. Wielu studentów jest wzburzonych sytuacją na uczelni i pozbawionymi alternatywy wyborami. Tym bardziej że, jak dochodzą nas wieści, podobnie dzieje się i na innych uczelniach w Kraju Chabarowskim. Już teraz w akademikach panuje atmosfera beznadziei z powodu bezsilności wobec machiny władzy. Nie chcę się podpisywać, gdyż boję się o swoją przyszłość na uczelni, gdyby ktoś zaczął sprawdzać autorstwo.

ALEKSIEJ SIMONOW: Podzielać twój oburzenie. Jak sam się domyślasz, będą z nami postępować jak z bydłem, dopóki my będziemy się zachowywać jak barany. Nie możemy anonimowo walczyć o wolne wybory. Przy okazji: zajmowaliśmy się kilka lat temu Ussuryjskiem, bo w jednym z miejscowych łagrów siedział dziennikarz Grigorij Pasko. On też się nie poddał w Ussuryjsku. Twoją informację – niestety anonimową – jeszcze dziś prześlę do misji OBWE obserwującej przebieg naszych wyborów.

DIEW, Omsk: Wszystkie media trąbią o wzroście produkcji, gdy tymczasem 80 procent Rosjan odczuwa realne pogorszenie warunków życia. Jak pan myśli, jak to wpłynie na frekwencję wyborczą?

Myszę, że naszym
władzom
dobrze zrobiłoby,
gdyby się
przekonały,
że nienormalnie
wysoka
popularność
jednego kandydata
źle świadczy
o zdrowiu
naszej demokracji



Rys. CARLUCHO/EL ECONOMISTA/CARTOONWEB.COM

– Myszę, że problem frekwencji na wyborach to obecnie ból głowy Centralnej Komisji Wyborczej i administracji prezydenta. Trudno się spodziewać, by ludzie poszli grać na loterii, kiedy z góry wiadomo, kto ją wygra. Myszę, że dobrze by zrobiło naszym władzom, gdyby się wreszcie przekonały, iż nienormalnie wysoka popularność jednego kandydata źle świadczy o zdrowiu naszej demokracji. Podejrzewam jednak, że frekwencja będzie wysoka. Wiem, że w ruch poszła cała machina administracyjna, o czym świadczy choćby wypowiedź z Ussuryjska.

MAKSIM: Czy pańska fundacja ma konkretny program obrony wolności słowa w Rosji?

– By w jakimś kraju była wolność słowa, jego mieszkańcy muszą mieć przede wszystkim wysokie poczucie własnej godności, a polity-

cy i dziennikarze – poczucie zawodowej odpowiedzialności. Niewielka organizacja nie może zapewnić jednego i drugiego. Kiedyś wymyśliliśmy sobie taką definicję: głośność to możliwość wykrzyknienia z tłumu, że król jest nagi, a wolność słowa to możliwość powiedzenia tego królowi, nim wyjdzie on na plac. Chłopców wykrzykujących z tłumu należy bronić. Tym właśnie zajmuje się nasza organizacja od 12 lat. Czy wpływa to jakoś na dziennikarzy i polityków? Musicie osądzić sami, rozejrzawszy się dookoła.

DIEW, Omsk: Już 10 lat w Kraju Nadmorskim, na Syberii i na Kamczatce ludzie zamarzają zimą w nieogrzewanych domach, zupełnie jak podczas blokady Leningradu w czasie wojny. Poborowi i żołnierze zamarzają w drodze do jednostek lub umierają w nich z głodu. Czy można jeszcze mówić o jakichś perspektywach młodzieży w Rosji?

– Nie zważając na wszystkie te okropieństwa, o których piszesz, można i trzeba mówić o przyszłości rosyjskiej młodzieży. Najbardziej przyszłościowa wydaje mi się rozmowa o stworzeniu młodzieżowego ruchu „Za alternatywną służbą wojskową”, który dawałby wam jakiś wybór. A jeśli chodzi o zamarzające domy, to moglibyście mi powiedzieć, dlaczego młodzież przestaje chodzić na wybory, zamiast iść i głosować przeciw winnym tych łajdactw? Winnym, którzy zazwyczaj są świetnie znani na miejscu i wielokrotnie wygrywają regionalne wybory?

OLEG WOROBIOW, Perm: Szanowny panie Aleksieju, co pan sądzi o Leninie?

– Odnoszę się do Lenina z pewną nostalgią za czasami, w których wiedziałem o nim bardzo mało, co pozwalało mi wierzyć, że w obrzydliwej sowieckiej historii było jednak coś rozsądnego i zdrowego. Spójrzcie na ostatnie

fotografie Lenina zrobione mu za życia i zobaczcie, jak bezpodstawne były me nadzieje.

ALBERT, Moskwa: Jak pan ocenia swoją pracę w komisji praw człowieka przy prezydenturze?

– Cóż, oceniam ją bardzo krytycznie. Jej efektywność jest bardzo niska. Ale już sama możliwość przedstawiania prezydentowi – choćby tylko raz do roku – niezależnej oceny działalności jego administracji i rządu wydaje mi się przynajmniej pożyteczna.

MARIA, Moskwa: Wielu dziennikarzy wstępuje obecnie do partii politycznych [od 1993 roku kilkudziesięciu rosyjskich dziennikarzy zostało deputowanymi. Ostatnio jest takich wypadków coraz więcej, głównie w rządzącej Jednej Rosji – przyp. red.]. Jak pan uważa, czy to z ich strony właściwe – zarówno w stosunku do zasad zawodowych, jak i czytelników?

– Każdy dziennikarz może wstąpić do partii politycznej – to jego konstytucyjne prawo. Ale obrona interesów partii i głoszenie jej poglądów poprzez pracę dziennikarską są sprzeczne z duchem tego zawodu – czyli zasadą obiektywności. Dlatego też nasza fundacja unikamy zajmowania się dziennikarzami, którzy chcą zostać lub zostali deputowanymi parlamentu. Z niektórymi z nich nawet się przyjaźnimy, ale jesteśmy zdania, że nie możemy bronić ich zawodowych interesów, bowiem dziennikarz upolityczniony to propagandysta.

ELDAR: Jakie czyta pan gazety i dlaczego?

– Przeglądam ich bardzo wiele. W fundacji jest nawet specjalny wydział, który się tym zajmuje. A czytam „Sport-ekspres”, bo interesuję się sportem. I „Nową Gazietę”, bo uważam, że piszą prawdę [„Nowaja Gazieta” – niezależny dziennik znany z dziennikarstwa śledczego. Publikuje w nim między innymi Anna Politkowska słynna z reportaży z Czeczenii – przyp. red.].

LUDMIŁA: Aleksiej, czy głośność w ogóle jeszcze istnieje?

– Istnieje! A świadectwem tego są wasze pytania i moje odpowiedzi. Ale co do tego, że jej dalszy los jest zagrożony, nikt nie ma chyba wątpliwości.

ANDRIJ DANIŁKIN, Moskwa: Dziennikarz Walerij Komissarow domaga się uchwalenia ustawy, która ograniczałaby prawo do informacji w czasie akcji terrorystycznych. Co byłoby taką akcją, ma decydować władza. Mam wrażenie, że nie należy nakładać kagańca dziennikarzom, tylko ograniczyć raczej występy pana Komissarowa, który od siedmiu lat prowadzi w państwowej telewizji talk-show „Moja rodzina”, a od grudnia jest deputowanym parlamentu z ramienia pro-

kremlowskiej partii Jedna Rosja. Co pan sądzi o takiej ustawie?

– Całkowicie się z panem zgadzam, że usunięcie pana Komissarowa z ekranu byłoby znacznie korzystniejsze dla publicznej moralności niż zakaz pokazywania ciała zabitych [w przeciwieństwie do polskiej telewizji, w rosyjskiej nie ma żadnych ograniczeń w pokazywaniu zwłok – przyp. red.]. Z drugiej strony, jak opowiadać o ludzkich tragediach, nie obrażając uczuć ofiar i widzów? To problem, który dziennikarze powinni poważnie omówić. Niestety, nie uda się przy takim omówieniu uniknąć obecności pana Komissarowa – przynajmniej do końca kadencji parlamentu, w ciągu najbliższych czterech lat.

Chciałbym przypomnieć, że jednym z powodów, dla których naziści dostali w Norymbardze tak surowe wyroki, był pokaz filmów o faszystowskim terrorze. Jeśli chcemy walczyć z terroryzmem, to pan Komissarow proponuje najbardziej idiotyczny sposób tej walki – zamknięcie oczu.

ANONIM: Ogólnokrajowa telewizja NTV postanowiła nie transmitować debat przedwyborczych na żywo. Co pan o tym sądzi?

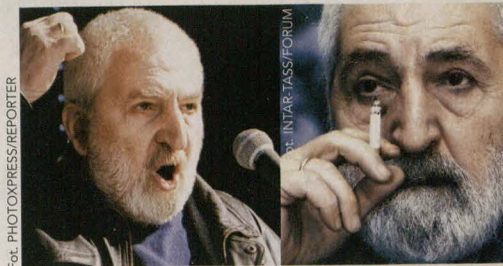
– Uważam, że decyzja wypływa ze złej woli i chęci ograniczenia szans kandydatów na przedstawienie swych poglądów w bezpośredniej debacie, w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych debat pokazywanych z taśmy, a więc dostępnych cenzurze. Nie potrafię wskazać przyczyn takiej decyzji, ale prędzej język stanie mi kołkiem, niż powiem, że podjęli ją z powodu niskiej oglądalności.

ANNA: Lekarz z moskiewskiego szpitala opowiadający o rannych w kolejnych zamachach terrorystycznych stał się niemal gwiazdą telewizyjną. Metrem już strach jeździć. Co robić z terrorem w Moskwie i Rosji?

– Szanowna Anno, gdybym wiedział, co robić z terrorem w Moskwie i Rosji, zaryzykowałbym start w wyborach prezydenckich. Zaryzykuję jednak stwierdzenie, że wyłącznie przykręcaniem śruby nie można naprawić nawet rury kanalizacyjnej. Rozwiązanie jest gdzieś w negocjacjach, tworzeniu normalnego klimatu w stosunkach między naszymi różnymi narodami. W budowaniu zaufania między władzą a obywatelami, i to nie za pomocą retoryki antyterrorystycznej.

ALEKSIEJ: Jak pan myśli, co się stanie z naszym politycznym dziennikarstwem po wyborach? Przetrwa? Czy będzie interesujące?

– Jeśli będzie polityka, to będzie i polityczne dziennikarstwo. A problem nie w tym, czy będzie interesujące, tylko czy będzie uczciwe. Uczciwe dziennikarstwo zawsze jest interesujące.



Aleksiej Simonow

65-letni reżyser i publicysta. Syn słynnego radzieckiego pisarza Konstantego Simonowa. Pod koniec lat 50. zaczął jako geolog, później został reżyserem i nakręcił kilkanaście filmów dokumentalnych i fabularnych. Od połowy lat 80. publicysta związany z ruchem demokratycznym w ZSRR (a potem w Rosji). W 1993 roku rozczarowany bezpośrednią działalnością polityczną skupił się na społecznej. Wtedy został szefem Fundacji Obrony Głośności oraz dziennikarskiego sądu koleżeńkiego. Od tego czasu zdobył sobie sławę bezkompromisową obroną wolności słowa w Rosji oraz praw obywatelskich. Stał się też jednym z głównych obiektów nienawiści rosyjskich elit politycznych, głównie regionalnych. Od połowy lat 90. jego działalność jest dyskretnie obserwowana przez rosyjski kontrwywiad. W 2001 roku w niejasnych okolicznościach zginął jego syn.

Wybory w Rosji

14 marca odbędą się w Rosji wybory prezydenckie. Kandyduje w nich siedem osób, jednakże już dziś wiadomo, że wygra je obecny prezydent Władimir Putin. Popiera go około 80 procent wyborców. Na to poparcie składa się zarówno autentyczna popularność Putina, jak i odebranie kontrkandydatom możliwości prowadzenia wyrównanej walki wyborczej. We wszystkich ogólnokrajowych kanałach telewizyjnych dominuje Putin. Jego konkurenci mają problemy z prowadzeniem kampanii na prowincji – skutecznie utrudniają to miejscowe władze. W tej sytuacji dwoje kandydatów – demokratka Irina Hakamada i socjalista Siergiej Głaziew – grozi demonstracyjną rezygnacją z uczestnictwa w wyborach, waha się trzeci – związany z komunistami Nikołaj Charitonow.

Fundacja Obrony Głośności

– niezależna organizacja założona latem 1991 roku przez kilku pisarzy i redaktorów naczelnych moskiewskich gazet. W 1986 roku Michaił Gorbaczow ogłosił potrzebę „głośności”, czyli jawności działania organów władzy. W praktyce oznaczało to zerwanie radzieckiej cenzury, a w końcu – pod naporem rodzącej się opinii publicznej – jej likwidację. Początkowo głośność została przyjęta nieufnie, z czasem stała się główną zdobyczą rządów Gorbaczowa. W ciągu 12 lat działalności Fundacja udzieliła pomocy prawnej i finansowej tysiącom osób, głównie rosyjskim dziennikarzom na emigracji. Do najbardziej spektakularnych należała ostatnio akcja w obronie Grigorija Pasko, dziennikarza z Władywostoku uwięzionego pod zarzutem zdrady. Ale Fundacja występowała nie tylko w obronie dziennikarzy – w 1994 prowadziła kampanię na rzecz uwolnienia dwóch turkmeńskich opozycjonistów porwanych przez władze w centrum Moskwy.

Oni strzelali do policjanta

Poszukiwani listami gończymi



JERZY WOJCIECH BRODOWSKI vel Szuryga, syn Eugeniusza, ur. 23.04.1971



JACEK MAREK LAWENDOWSKI, syn Grzegorza, ur. 26.04.1974, wzrost 185 cm, ciemne włosy, szczupły



MIROSŁAW SZURYGA, syn Eugeniusza, ur. 08.07.1982, wzrost 175 cm, niebieskie oczy, okulary, włosy ciemne, długie, czesane na bok, nosi brodę, otyły



KRZYSZTOF MUS, syn Ryszarda, ur. 25.02.1975, wzrost 175 cm, włosy ciemny blond krótkie, do brzo zbudowany



TOMASZ SAMORAJ, syn Józefa, ur. 28.12.1972, wzrost 172 cm, otyły, twarz okrągła, włosy krótkie, ciemny blond



ROBERT STANISŁAW CIEŚLAK, syn Aleksandra, ur. 13.11.1973, wzrost 175 cm, włosy rude krótkie, sylwetka muskularna, na prawym ramieniu wytatuowany skorpion



JAROSŁAW POPIELARZ, syn Włodzimierza, ur. 23.03.1978 r., wzrost 175-180 cm, włosy jasny blond, krótkie, uczesane na jeża, cera jasna, oczy niebieskie



ANDRZEJ WICENCIAK, syn Mirosława, ur. 12.06.1979, wzrost około 180 cm, sylwetka normalna, włosy krótkie blond, uczesane na jeża, twarz owalna



1. NIEMCEWICZ RYSZARD



2. BRODOWSKI vel SZURYGA JERZY WOJCIECH



3. LAWENDOWSKI JACEK



4. JANKOWSKI KRZYSZTOF



5. WICENCIAK ANDRZEJ



6. SAMORAJ TOMASZ



7. MUS KRZYSZTOF



8. POPIELARZ JAROSŁAW



9. CIEŚLAK ROBERT



10. BIMOLINSKI LESZEK



11. STOJ SEBASTIAN PIOTR



12. ZIAREK DANIEL



13. SKRZECZYŻNA DAMIAN



14. BEDNARCZYK ROBERT



15. PAWLIK RYSZARD



16. DĘBICKA MARCIN



13. SKRZECZYŻNA DAMIAN



14. BEDNARCZYK ROBERT



15. PAWLIK RYSZARD



16. DĘBICKA MARCIN

„Hosse” i „Kapeć” (z lewej, przy swoim biurku) z wydziału do walki z terrorem Komendy Stołecznej nie mogą pokazywać twarzy. Fotografie ściganych gangsterów przez kilkanaście miesięcy wisiały na ścianie w ich pokoju. Wykreślali złapanych lub zabitych

S kacząc na maskę samochodu, „Hosse” postawił stopy wykręcone w różnych kierunkach. Do dziś nikt w Komendzie Stołecznej nie wie, jak mu się to udało. Zdziwieni koledzy policjanci aż zdjęli z maski odciski jego śladów i pokazywali je sobie jeszcze długo po akcji jako dowód na cudowną moc adrenaliny. Sam „Hosse” nie ma z kolei pojęcia, jak to się stało, że spadł potem z samochodu, wyrznięt plecami o asfalt i nic sobie nie zламаł. W czasie tej ekwilibrystyki słyszał tylko świst kul koło głowy. Kilka następnych pocisków przeleciało, gdy wielkimi susami sadził przez ulicę Rosoła, żeby schować się za jakimś samochodem. „Gruby”, celując jak na strzelnicy, wywalił w niego cały magazynek.

– Czułem, że mnie trafił – wspomina „Hosse”, 30-latek z wydziału do walki z terrorem Komendy Stołecznej, jeden z trzech policjantów, którzy doprowadzili do aresztowania 29 uczestników słynnej strzelaniny w Parolach.

GERDA W PACHWINIE

Akcję zatrzymania Piotra R., pseudonim „Gruby”, członka gangu Mutantów, wydział do walki z terrorem planował od dawna. W połowie stycznia 2003 roku informatorzy donieśli, że szykuje się jakaś transakcja i tego dnia „Gruby” spotka się z „Fraglesem”, jednym z liderów gangu, byłym antyterrorystą. „Fragles” wszedł do grupy Mutantów na wyraźne polecenie Andrzeja Cz. „Kikira”, jednego z najsłynniejszych bandytów lat 90. Mutanci stanowili wtedy jego gwardię. Napakowani sterydami, słynęli z niesłychanej brutalności. Napadali na tiry, handlowali narkotykami i porywali dla okupu. Przy okazji bili i torturowali. W końcu postanowili przejąć interes z rąk szefa. Pierwszy zamach na „Kikira” nie udał się, mimo że wywabili go w nocy na polanę w lesie, oświetlili racami i siekli seriami z broni maszynowej. Drugi był lepiej przygotowany. Do „Kikira”, który leżał w szpitalu na Szaserów w Warszawie, przyszedł z wizytą ksiądz. Wpakował w rannego kilkanaście kul. Potem okazało się, że nikt z personelu nie słyszał strzelaniny, nikt nawet nie widział księdza.

Teraz „Gruby” i „Fragles” wracali zadowolony ubitym interesie. Gdy wjeżdżali na skrzyżowanie Rosoła i Ciszewskiego, ich czerwonemu audi zajechał drogę biały fiat „na kogucie”. Po chwili „Hosse” wykonał słynny skok na maskę swojego samochodu i rozpoczęła się chaotyczna strzelanina.

Kilkadziesiąt sekund później „Hosse” wymacał przez dziurę w kieszeni, że krwawi. Ale nie miał czasu na dokładniejsze oględziny. Przymierzył i z 30 metrów trafił „Fraglesa”. Gdy jego bezwładne ciało osunęło się na ziemię, „Gruby”, za nic mając rżnięcie rannego, naciągnął go sobie na głowę i jak zza tarczy

To było najlepiej przeprowadzone śledztwo od wielu lat.

Tydzień po wyłapaniu gangu Mutanci są już sądzeni. To oni zastąpili zbrodnią w Parolach, a potem urządzili rzeźnię w Magdalence

MUTANCY W POTRZASKU

MICHAŁ WÓJCIC

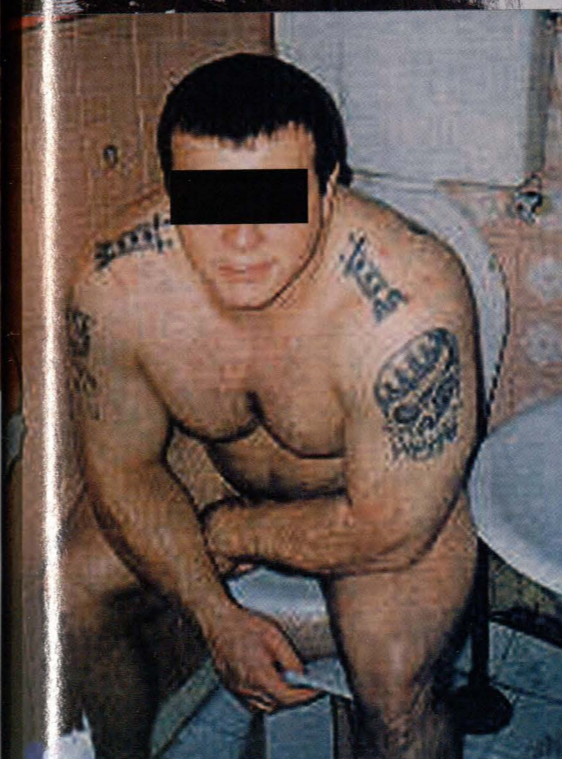


W akcji na warszawskim Ursynowie zginął na miejscu Piotr R. „Gruby” z bandy Mutantów. „Fragles” ciężko ranny zmarł w szpitalu



Fot. BRUNO FIDRYCH/AGENCJA GAZETA

Blok w Mszczonowie, 50 kilometrów od Warszawy, gdzie komandosi zatrzymali Jerzego Brodowskiego



Przy Brodowskim znaleziono plik pamiętkowych zdjęć



Fot. PIOTR SZKIEWICZ/SUPER EXPRESS

Krzysztof M. „Musiek” złapany w Konstancinie



Robert Cieślak – zginął podczas policyjnej akcji w Magdalence

kontynuował ostrzał. Po chwili jednak sam dostał i nad Ursynowem zapanowała absolutna cisza. Był środek dnia, 21 stycznia 2003 r. – Wiedziałem, że jest po wszystkim – mówi „Hosse”. – Ludzie podnosili się już z chodników, a ja ściągnąłem portki na środku ulicy. To nie była kula. W czasie skoku przez samochód klucze wbiły mi się w pachwinę. Odetchnąłem, jakbym narodził się na nowo.

MOCNY W GĘBIE

Gdy prawie rok wcześniej pięciu policjantów z wydziału kryminalnego komendy w Pruszkowie jechało do dziupli w Parolach, „Hosse” miał dzień wolny. Siedział zmęczony w domu i tępo gapił się w telewizor. „Kapeć”, jego sąsiad zza biurka w Komendzie Stołecznej, był akurat na urlopie. Żaden z nich nie przypuszczał, że ten dzień odmieni nie tylko ich służbę, lecz także życie.

W głośnej próbie odbicia skradzionego tira 23 marca 2002 r. zginął podkomisarz Mirosław Żak.

Jeden z bandziorów ranił go, a potem dobił serią z kałasznikowa w plecy. Policjant wykrwawił się, bo wezwana przez kolegów karetka w ogóle nie dojechała, a zamiast spodziewanych posiłków pojawił się treser policyjnych psów. Gdy na plac boju dotarł pierwszy zwarty oddział, po bandytach nie było ani śladu.

Następnego dnia „Hosse” i „Kapeć” byli już na odprawie u komendanta stołecznego

policji. Razem z nimi cały wydział do zwalczania terroru. Rozkaz był jasny: efekty śledztwa mają być za dwa tygodnie.

Policja w tajemnicy przed dziennikarzami przeprowadziła największą „akcję informacyjną” od lat. Uzbrojone po zęby oddziały antyterrorystów wchodziły razem z drzwiami do mieszkań wszystkich znanych mafiosów na Mazowszu. „Na mieście” gruchnęła wieść, że policja nie popuści, zanim nie złapie morderców Żaka. Po trzech tygodniach było już wiadomo, kto strzelał. Szefowa wydziału do walki z terrorem Grażyna Biskupska rozdzieliła robotę.

Każdy z policjantów miał się rozliczyć z „wyliminowania” jednego członka gangu. „Kapeć” dostał Roberta Cieślaka, „Hosse” – Jerzego Brodowskiego, a „Gregory”, ich kolega z Komendy Głównej, Igora Pikusa, byłego żołnierza specnazu, poszukiwanego międzynarodowym listem gończym fachowca od brudnej roboty.

Najpierw pojawiły się wiadomości o Cieślaku. Szef Mutantów został w Parolach ranny w plecy i twarz. Tego samego dnia przeszedł skomplikowaną operację. O ranie w usta wylapywani potem gangsterzy opowiadali nieprawdopodobne historie. Cieślak uważany przez podwładnych gangsterów za nieobliczalnego, aby wymóc posłuch, opowiadał, że złapał pocisk w zęby. Choć brzmi to jak historia z włoskiego westernu, sparaliżowani strachem kompani wierzyli mu i nadal byli ślepo posłuszni.

W PĘTACH HYDRAULIKA

Rusza żmudna praca operacyjna. Ściany pokoiku „Hossego” i „Kapcia” zapelniają się zdjęciami podgolonych łbów w pajęczynie strzałek. Aby ze strzępów pogłosek i informacji agentów złożyć historię Mutantów, potrzebne są dalsze aresztowania.

Pierwszy wpada brat Brodowskiego Mirosław Szuryga. 15 lipca 2002 r. postanowił napisać na starszą panią listonosz podróżującą po opłotkach Grodziska wysłużonym rowem. Staranował ją fiattem i ukradł torbę. Pechowo jednak w czasie ataku złapał gumę i musiał uciekać na piechotę. Daleko nie uciekł. W pogoń za nim puścili się dwaj strażacy. Złapali bandytę i zawlekli do remizy. Rozpoczęli przesłuchanie z użyciem gaśnicy. Pobity napastnik po kilkunastu minutach błagał, by wezwać policję.

Dwa miesiące później antyterrorysty wpadają do domu w Konstancinie. W środku siedzą totalnie zaskoczeni Krzysztof M. „Musiek” i Andrzej W. Nie zdążyli nawet sięgnąć po broń.

Miesiąc później policjanci dostają „cynę”, że w eleganckim mieszkaniu (wynajętym od niczego się niespodziewającego znanego aktora) przebywa potężnie zbudowany mężczyzna, do którego wpadają w odwiedziny członkowie gangu. To może być Cieślak. Zanim zapadnie decyzja o wejściu, ktoś musi go rozpoznać. W wydziale tylko „Kapeć” jest w stanie to zrobić.

W budynku, gdzie ukrywa się gangster, braknie wody. „Kapeć” przebrany za hydraulika

Strażacy rozpoczęli przesłuchanie z użyciem gaśnicy. Po kilkunastu minutach bandyta błagał, by wezwać policję

ka z duszą na ramieniu puka do mieszkania. Otwiera mu rumuńska prostytutka. Tłumaczy jej, że musi coś sprawdzić w łazience. Idąc za dziewczyną, dostrzega śpiącego na łóżku mężczyznę. Widzi tylko czubek głowy z farbowanymi włosami. Wchodzi do łazienki i – cały czas obserwowany – majstruje przy rurach. O mały włos nie zalewa mieszkania. Po wyjściu biegnie piętro wyżej. Błyskawiczna decyzja: wchodzimy! Po kilku minutach na łóżku leży skrępowany mężczyzna. Nie Cieślak wprawdzie, ale również poszukiwany Jacek Lawendowski „Lewy”. Pętla zaciska się dalej.

STRZELIŁO DO ŁBA

W Komendzie Stołecznej grupa poszukiwawcza robi się coraz mniejsza. Wpadają kolejni gangsterzy, więc policjanci, którzy złapa-

li „swoich”, odchodzą do innych spraw. W lutym 2003 roku na drodze pod Radzymi-
nem Jarosław Popielarz „Siwy” i Tomasz Samoraj „Sambo” taranują policyjną blokadę, ale nie udaje im się uciec. Z ich zeznań i z tego, co mówią kolejni zatrzymani, wyłania się koszmar historia gangu.

– Po zabójstwie „Kikira” mózgiem Mutantów zostaje Cieślak – opowiada „Kapeć”. – Absolutny pedant i perfekcjonista. Nie pije i nie narkotyzuje się. Kocha psy. Raz przerwał całą akcję, gdy jeden z gangsterów szykował się do zabicia ujadającego kundla. Spokojnie wytłumaczył, że jeśli kumpel coś zrobi psu, to „już nie żyje”. Nie rzuca słów na wiatr. Jest nieufny. Interesuje się wszystkim, co strzela. – Bomby, miny, karabiny – dodaje „Hosse”. – Podczas jednego z wewnętrznych porachun-

ków ktoś omyłkowo wystawił mu siostrzeńca niedoszłej ofiary. Cieślak czekał, aż chłopak ucieknie. Stał na wzniesieniu i wypatrywał go między zabudowaniami. Z kilkudziesięciu metrów oddał dwa strzały. Oba pociski przebiły serce. Zabitym okazał się niewinny 15-latek.

Policjanci całymi dniami ślęczą nad historią gangu. Boją się, że zanim złapią liderów, odstrzelą ich konkurencja. Gang z Mokotowa ma z Cieślakiem i Brodowskim własne porachunki. „Hosse” i „Kapeć” o „swoich” bandytach wiedzą więcej niż oni sami o sobie. Wszyscy są groźni, ale nie wszyscy rozgarnięci. Raz kradną tira ze sprzętem AGD wartym sześć milionów złotych, innym razem samochód pełen tanich śrubek. Inwestują w solaria narzeczonych, salony piękności, sklepy z ekskluzywną odzieżą. Pomagają im



Pierwszy dzień procesu gangu Mutantów, 25 lutego 2004 r.

To była najbardziej upierdliwa robota, jaka się mogła przytrafić. Tysiące sprzecznych informacji

dali się. Choć oficjalna wersja ich zgonu to zaccadzenie, w rzeczywistości giną śmiercią samobójczą. Wyszadają się granatami. Cieslak tuż przed śmiercią dzwoni do narzeczonej, że szkoda mu psów na parterze. Pikus wzorem żołnierzy specnazu zaciska w pięści karabinowy pocisk. To znak, że żywego go nie dostali.

Tragedia w Magdalence kończy wielkie śledztwo w sprawie Paroli. Ostatniego na liście – Brodowskiego – złapać ma „Hosse”. Policjanci przypuszczają jednak, że gdziekolwiek ten się ukrywa – może się powtórzyć dramat z Magdalence. Wiedzą, że przyjaciel Cieslaka nie zamierza się poddać i chce walczyć do końca. Na tablicy z przekreślonymi głowami złapanych bądź zastrzelonych Mutantów wciąż wisi poźółkły wizerunek Brodowskiego. Mijają miesiące i ktoś złośliwy doczepia obok

portrecik cesarza Franciszka Józefa.

– Przyrzekliśmy sobie, że dokończymy tę sprawę razem – opowiada „Kapeć”. – To była najbardziej upierdliwa robota, jaka się mogła przytrafić. Sprawdzaliśmy tysiące sprzecznych informacji, śledziliśmy żonę i kuzynów Brodowskiego.

W tym czasie współpraca z Komendą Główną praktycznie ustaje. Policjantom pomaga tylko „Gregory”. – „Fabryka kurzu”, jak się u nas mówi na Komendę Główną, przydzieliła nam jeszcze jednego policjanta. Był naszym kierowcą – wspomina „Hosse”. – Po Magdalence dostał awans i przez kilka miesięcy mogliśmy się dowartościować, że nas, aspirantów, wozi podpułkownik.

Po kolejnym fałszywym alarmie „Hosse” i „Kapeć” wracają wykończeni. Marzą o kielichu, by się zrelaksować, ale w domu nie ma żadnego alkoholu. Dzwonią do kolegi, żeby przywiózł dwa żytnie chleby. – Służbowym kanałem nie dało się inaczej mówić na alkohol. No i ten młody rzeczywiście przywiózł dwa bochenki. Wtedy chciałem strzelić sobie w łeb – mówi „Kapeć”.

NARESZCIE WOLNI

Brodowski wynajmuje mieszkanie na blokowisku w Mszczonowie. Ma już chyba dość

ukrywania się: na święta jedzie do rodziny, od czasu do czasu organizuje małe imprezki w zamkniętym gronie. „Kapeć” i „Hosse” wytrwale śledzą jego żonę i kuzynów, ale akurat Boże Narodzenie też spędzali z rodzinami. Inaczej już by go mieli. Nie wiedzą, że ścigany mięknie, że nie ma pieniędzy. Podejrzewają, że w kryjówce zgromadził cały arsenał i przy zatrzymaniu znowu może być gorąco. Robią plan mieszkania na podstawie sąsiednich lokali. Wybierają porę ataku. – O 4 rano jesteś kompletnie nieprzytomny – tłumaczy „Hosse”. – Bez względu na to czy położyłeś się o 23, czy o 3 nad ranem, wybudzony o 4 nie wiesz, co jest grane. I na to właśnie liczyliśmy.

Ostatnie trzy doby przed akcją nie śpią i siedzą nad planem w komendzie. Trzeba rozmieścić snajperów, zablokować drogę ucieczki, przewidzieć, skąd nadejdzie pomoc. Którędy ewakuować rannych, czy atakować trawnikiem, co z paniką sąsiadów?

Na godzinę przed wejściem wszyscy są tak spięci, że nie rozmawiają ze sobą. – Do końca mieliśmy wątpliwości, czy wszystko zrobione, czy wszystko przewidzieliśmy i czy nie będzie drugiej Magdalence.

W mieszkaniu Brodowskiego panuje absolutna cisza. Zapada decyzja o wejściu.

16 lutego osiedlem wstrząsa eksplozja. To ładunki ogłuszające. Drzwi wylatują z futryną. Przez szyby wpadają antyterrorystów w białym kamuflażu – na dworze leży śnieg. Brodowski mocno śpi.

– Dokonaliśmy dynamicznego zatrzymania – przyznaje „Hosse”. To w jakiś sposób tłumaczy siniaki i dwie wielkie śliwy pod oczami bandyty. Wszystko trwa kilkadziesiąt sekund.

„Kapeć” filmuje całą scenę. Policjanci, aby sprawdzić, czy bandyta nie kryje gdzieś broni, rozbierają go prawie do naga. Brodowski jest cały w tatuażach. Na ramionach ma generalskie pagony, na udach lampasy, a na plecach wielki napis „free man” („wolny człowiek”). Na ten widok „Kapeć” i „Hosse” wpadają sobie w ramiona. Nad sprawą spędzili 23 miesiące i to oni są nareszcie wolni.

Tydzień po akcji kilkunastu antyterrorystów dostaje po 400 złotych nagrody. Policjantom z wydziału do walki z terrorem, którzy rozpracowali cały gang, pozostaje satysfakcja. Pogratulowali im tylko koledzy z pracy. Za kilka dni, jak uporają się z papierami, dostaną kolejną sprawę do rozpracowania.

MICHAŁ WÓJCİK

To może być piękny dzień... o ile masz ABS



Pochmurny, słoneczny, a może deszczowy... Każdy dzień, niezależnie od pogody, może być piękny, ponieważ każdego dnia możesz czuć się pewnie i bezpiecznie. Kup Citroëna z limitowanej serii Control+ z ABS-em, a zapewnisz sobie lepsze panowanie nad samochodem – nawet w najtrudniejszych warunkach. Polubisz każdą drogę... i każdą pogodę!



Citroën C3 **CONTROL+** z ABS-em



Citroën Xsara **CONTROL+** z ABS-em



Citroën Berlingo **CONTROL+** z ABS-em



Sprecyzowanie oferty w autoryzowanych salonach Citroëna. Promocja dotyczy samochodów rok prod. 2004, zamówionych i odebranych od 23.02.2004. Ilość samochodów, modeli i wersji objętych ofertą ograniczona. Niniejsza promocja nie może łączyć się z żadnymi innymi ofertami promocyjnymi.

CITROËN poleca TOTAL

CITROËN Assistance 24h

CITROËN Kredyt

CITROËN Leasing

2 lata gwarancji bez limitu km

www.citroen.pl

Informacja o sieci koncesjonierów: 0801 111 555 (Koszt połączenia: 1 impuls TP SA)

Szlachectwo w Polsce przeżywa renesans. Powracamy do rycerskich wartości. Odradza się obrzydza za komunizmu etos szlachecki



Pasjonat poszukiwań genealogicznych Zygmunta Stężyckiego herbu Rola za trzy tysiące złotych może dotrzeć do przodków z początku XIX wieku



SZLACHECTWO ZOBOWIĄZUJE

Restauracja Hawelka w starym domu poselskim w Warszawie na początku lutego. Z karabelą u boku przechadza się jegomość w pomarańczowym kontuszu. Na rozstawionych stoiskach pyszną się rodowe herby. Ktoś sprawdza, czy encyklopedie wymieniają jego nazwisko wśród szlachetnie urodzonych, ktoś dyskutuje z genealogiem o korzeniach rodzinnych. – Ja się załamie, jeśli się okaże, że jestem jakimś plebejem – jęczy gotowąs o szlacheckim nazwisku. Trwa Giełda Szlachecka.

Ryszard Marceli Chęciński herbu Korczak organizuje giełdę po raz trzeci. Włos przyprószone siwizną, strój z epoki.

– Kontusz wkładam na specjalne okazje – mówi. – Na co dzień poły zawadzają o wystające przedmioty, ale na giełdzie jak bym wyglądał po cywilnemu? Tragedia!

Jego ród wywodzi się z Chęcina, ale nie z tych, gdzie stoi słynny zamek. Drzewo ge-

nealogiczne pana Ryszarda mimo wieloletnich poszukiwań ma jeszcze niezbadane gałęzie. Organizowanie giełdy rekompensuje mu braki w wiedzy o przodkach.

W żyłach większości Polaków płynie przynajmniej odrobina szlacheckiej krwi. Szlachectwo jednak dziedziczy się po mieczu. Dziecko matki szlachcianki i ojca nieszlachcica traci szlachectwo. Nie każdy więc może się tytułować szlachcicem, nawet jeśli nazwisko widnieje w herbarzu. Kowalskich jest w Polsce tysięcy, ale tylko niektórzy należą do rodu pieczętującego się Korabem, inni są potomkami kowali.

Dzisiaj rozbite środowisko szlacheckie odzwierciedla więzi rodzinne i towarzyskie. Istniejący od 1995 roku Związek Szlachty Polskiej zrzesza około 300 członków.

– Obserwujemy lawinowy wzrost zainteresowania ruchem szlacheckim – mówi Marcin Michał Wiszowaty herbu Pierzchała, sekretarz Związku. – Kiedyś przyjmowaliśmy mie-

sięcznie trzech–czterech nowych członków, ostatnio około 15.

Chłubi się dziady, pradziady albo inszymi przodki swymi

Na przestrzeni czterech–pięciu pokoleń drzewo genealogiczne rozrasta się do 200 osób. Andrzej Zygmunt Stężycki herbu Rola poświęcił badaniu dziejów swojej rodziny 25 lat. I dotarł do 1750 roku. Po latach pasja przerodziła się w zawód – zamówienie u niego badań dziejów rodziny kosztuje trzy tysiące złotych.

– To trwa około trzech lat, muszę opłacić wyjazdy, korzystanie z archiwów – mówi Zygmunt Rola-Stężycki. – Dobrze, jeśli wynagrodzenie pokrywa poniesione koszty.

Praca rozpoczyna się od wywiadu z klientem. Wystarczy najmniejszy punkt zaczepienia – nazwisko dziadka, miejsce pochówku. Rodzinne legendy na ogół są nieprzydatne, bo zawierają więcej mitów niż faktów. Następnie Stężycki przegląda zasoby własnej biblioteki:

herbarze, encyklopedie rodów, kopie ksiąg z kilkunastu parafii. Później księgozbiory Biblioteki Narodowej, kilku uniwersyteckich, Ossolineum. Zwykle już wtedy odkrywa pierwsze wskazówki. Zaczyna się sprawdzanie metryk w Polsce. Pomocne są archiwa mormonów, którzy gromadzą dane ludzi z całego świata, dążąc do odnalezienia biblijnego Adama. Często mają więcej informacji na temat polskich rodzin niż krajowe archiwa parafialne i diecezjalne.

Za zwyczajowe wynagrodzenie Rola-Stężycki dociera zwykle do początku XIX wieku, dalsze poszukiwania są możliwe, ale wiążą się z dodatkowymi kosztami. – Ustandaryzowane metryki urodzenia wprowadził dopiero Napoleon w roku 1808 – wyjaśnia genealog.

Nie zawsze efekty poszukiwań muszą doprowadzić szlachetnego urodzenia, czasem przeszłość rodu nie jest chwalebna. – Zdarzają się pijacy, złoczyńcy, infamie i banicje – mówi Rola-Stężycki.

– O wartości człowieka świadczą jego czyny, postawa – przekonuje Marcin Wiszowaty, sekretarz Związku Szlachty Polskiej. – Czy trzeba urodzić się szlachcicem, by postępować szlachetnie? Nonsens.

Związek przekonuje, że nie chodzi mu o wywyższanie jednego stanu. Szlachectwo to nie urodzenie, to szlachetny sposób bycia.

– Stryj przyjaciela prosił przed wojną o wsparcie szczytowego celu, nie mając przy sobie gotówki, bez namysłu wrzucił kosztowny sygnet do skarbonki. Z sygnetem na palcu czy bez niego każdy wystawia sobie świadectwo swoim postępowaniem – opowiada Wiszowaty.

W Związku Szlachty Polskiej pamiętają list, który przysłał młody mężczyzna z małej miejscowości. Opowiadał o braku sensu życia, którego szukał w butelce z piwem. Do momentu, gdy na wystawie księgarni zobaczył numer organu prasowego Związku „Verbum Nobile”. Przypomniał sobie opowieści dziadka o od-

Fot. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

Pewien prawnik dokumentacją dziejów rodziny zamierzał uczcić obronę dyplomu syna. Okazało się, że przodek w czwartym pokoleniu ożenił się z nowo ochrzczonej Żydówką, co klientowi wydało się faktem rzucającym cień na karierę latorośli.

Po skończonej pracy zleceniodawca otrzymuje kilkusetstronicową książkę zawierającą drzewo genealogiczne, kopie metryk, dokumentów, czasami portrety przodków. Kartki zadrukowane są jednostronnie, aby pozostało miejsce na nowe ślady. Odkrywanie przeszłości nigdy nie jest pracą skończoną.

Jeszcze nie to prawe szlachectwo, gdy cnotami nie będzie ozdobione

Wiele osób szuka na własną rękę. Malujący wizerunki herbów Zbigniew Nasiorowski pieczętujący się Ślepowronem wspomina klienta, który od kilku lat przegląda archiwa parafialne w poszukiwaniu przodków. Kupił nawet przyczepę kempingową, bo bywa, że jedno źródło odsyła go do kolejnego w zupełnie innym krańcu Polski.

– Nie znamy nazwisk pradziadów, rzadkością są archiwa rodzinne. W Polsce żyje się w beczcasowości – mówi mieszkający w Niemczech Ryszard Czarniecki. Od kilkunastu lat bada losy swej rodziny, ale nie zależy mu na dowodzeniu szlachectwa.

ważnym przodku noszącym herb w kształcie litery „W”. Pisał do redakcji, że poczuł wstyd, bo nosząc nazwisko bohaterskiego przodka, powinien inaczej postępować. Dowiedział się, że herb nazywa się Abdank, przestał pić, ukończył wieczorowo liceum.

Nie to szlachectwo co herbów nawieszają

Wciąż rzesza osób traktuje posiadanie herbu jak gadżet. Kupują stare srebra i szczytają się rzekomą błękitną krwią. W Związku Szlachty Polskiej znana jest opowieść gawera, do którego zgłosił się biznesmen w czerwonej marynarce i mokasytach z frędzelkami. Rzemieślnik zapytał, jaki herb chce zamówić. „A co teraz dobrze chodzi?” – usłyszał w odpowiedzi.

Dzisiaj jedynym sposobem nobilitacji jest otrzymanie tytułu z rąk któregoś z królów panujących w niektórych państwach europejskich. W Polsce na początku lat 90. pojawił się niejaki Leszek Wielki Książę Wierchowski, samozwańczy regent Polski. Założony przez niego Polski Ruch Monarchistyczny nadaje tytuły, nawet hrabiowskie. Podzielił kraj na księstwa. Wielkiego Księcia trzeba witać na rogatkach, jeśli przybywa samochodem, w przypadku autobusu lub pociągu – na dworcu. Związek Szlachty Polskiej nie ma nic wspólnego z tym kabaretem.

Zaś w prasie pojawiają się anonse: „Sprzedam tytuł szlachecki”. W 1999 roku ogłoszeniodawca życzył sobie stu tysięcy złotych za „nazwisko dobrej szlachty zagrodowej”.

– Zarzuca się nam, że na Giełdzie Szlacheckiej można kupić herb. Nieprawda! – przekonuje Marceli Chęciński. – Można nabyć jedynie wizerunek herbu, do którego jest się uprawnionym. A jeśli ktoś nieuprawniony nabędzie wizerunek, nie uczyni go to szlachcicem.

Albowiem szlachectwo prawe jest jakaś moc dziwna

W Europie nowoczesność świetnie koegzystuje z tradycyjnymi wartościami, nikt nie neguje istnienia szlachty i jej prawa do zabierania głosu w dyskusji na temat kształtu państwa. Szlachectwo traktuje się jako symbol awansu społecznego, wartość zobowiązującą do godnych zachowań. Związek Szlachty Polskiej ma nadzieję, że także w Polsce przestanie się traktować szlachtę jak relik minionych epok.

– Kiedy nasze wnuki będą po latach uzupełniać rodzinne kroniki, nie chcielibyśmy, żeby miejsce przeznaczone na nasze pokolenie pozostały puste – mówią członkowie Związku. – Znaczyłyoby to, że nie uczyniliśmy dla ojczyzny i dla drugiego człowieka nic godnego wzmianki. Że nie zasłużyliśmy na miano szlachty.

JOANNA MANIAK, KONRAD DULKOWSKI
SRÓDTYTUŁY POCHODZĄ Z „ŻYWOŃA CZŁOWIEKA
POCZWIĘGO” MIKOŁAJA REJA

Jaki powinien być następca Leszka Millera? Zapytaliśmy działaczy SLD, o jakim szefie marzą dla swojej partii. Zdania były mocno podzielone

W sprawie płci prze-
ważały głosy neu-
tralne. – Nieważne,
czy to będzie męż-
czyzna, czy kobieta
– mówi **KATARZYNA
PIEKARSKA**. – Najważ-
niejsze, żeby wiedział,

jak uzdrowić lewicę, rozbudzić w nas ducha walki i spowodować, że uwierzymy w sukces.

JERZY WENDERLICH: – Nieważna płeć, ważne uczucie... z jakim kierować będzie SLD.

Ale pojawiały się też głosy mniej lub bardziej wyraźnie optujące za konkretną płcią.

– Raczej mężczyzna. Idealny byłby przystojny i możliwie niestary – uważa **MICHAŁ TOBER**. Przeważały jednak opinie sprzyjające kobietom. – Jestem emancypowaną kobietą, ale nie feministką, więc w zasadzie to obojętne – deklaruje **BARBARA BLIDA**. – Choć byłoby dobrze, żeby na lewicy pojawiło się więcej kobiet, to ważniejsze są kompetencje.

Podobnego zdania jest **BRONISŁAW CIEŚLAK**: – Ja deklaruję swoją życzliwość dla płci pięknej. Sojusz jako pierwsza partia w Polsce zdobyłby się na odwagę, gdyby szefem została kobieta. Ale to nie jest najważniejsze, przede wszystkim to musi być osoba nowa, niefunkcjonująca dotąd w najwyższych kręgach aparatu partyjnego.

Nie zabrakło głosów bardziej zdecydowanych. – Dobrze, gdyby to była kobieta – twierdzi **IZABELA SIERAKOWSKA**. – Wśród tych wszystkich afer, nieprawidłowości nie ma kobiet. My w tym nie uczestniczymy. Jesteśmy i solidne, i przygotowane, pracujemy z oddaniem, pasją.

– Płeć jest kompletnie bez znaczenia – uważa inny nasz rozmówca. – Ale w gronie kierowniczym powinny być zachowane podstawowe proporcje. Bo jak się ogląda niektóre konwenty SLD i na sali siedzą sami faceci o wielkich dupskach, to ludziom odechciewa się wszystkiego.

WIEK?

– Nie za stary i nie za młody, taki, któremu jeszcze chce się chcieć, powiedzmy od 35 do 50 lat – mówi **KATARZYNA PIEKARSKA**. – Nie przekreślam jednak osób starszych, jeśli mają jeszcze wolę walki i dobre pomysły na zmiany.

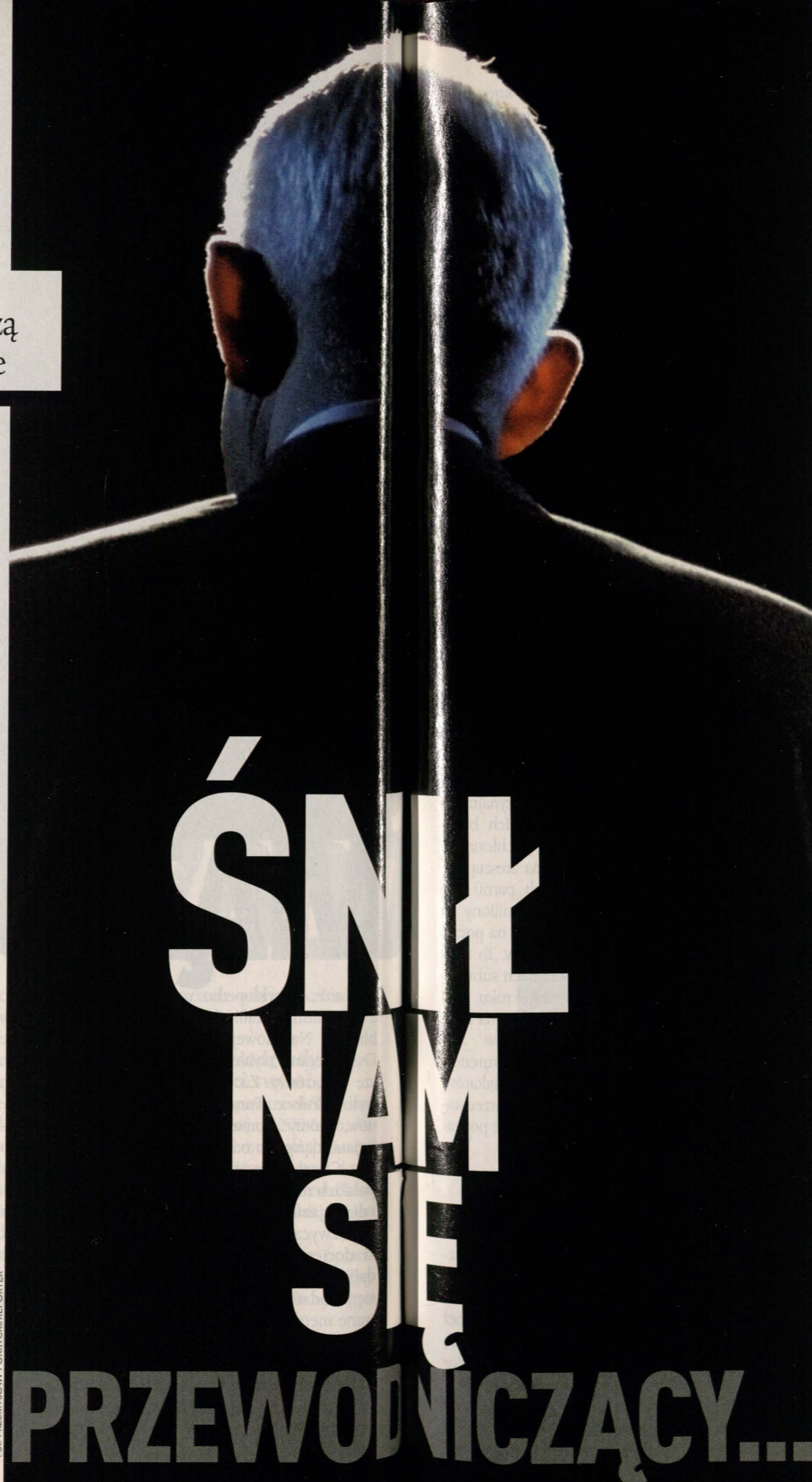
– Najlepiej, żeby to była osoba doświadczona, no ale emeryt, z całym szacunkiem, powinien wiedzieć, kiedy ze sceny zejść – dodaje **ANITA BŁOCHOWIAK**. – Koło 40 lat, choć o przedstawiciela „pokolenia stanu wojennego” w SLD najtrudniej – przypuszcza **MICHAŁ TOBER**.

– Między 40 a 60 lat – strzela **JOANNA SENYSZYN**. – Raczej nie młodszy, dlatego że przydaje się doświadczenie i zdolność spojrzenia wstecz. Z wiekiem człowiek nabiera łagodności, a ostrość, która cechuje młodość, niekoniecznie jest zaletą.

IZABELA SIERAKOWSKA stawia na młodzież: – Mówię to od lat, ale to jest jak walenie głową w mur. Na ostatnim kongresie młodzi zostali wycięci w pień, teraz prawie ich nie ma. Jest nawet kilku 25-, 26-latków bardzo rozsądnych, doskonale wykształconych, którzy śmiało mogliby współkierować partią. Bo idealnym szefem byłby zespół czterech szefów, którzy kierują partią w tych samych proporcjach. Gdyby w tym zestawie była dwójka młodych ludzi, to byłoby idealnie.

WYGLĄD?

Wysoki czy niski? Ładny czy brzydki? – pytaliśmy naszych rozmówców. – Nie



Fot. PRZEMYSŁAW FORNYCKI/REPORTER

niższy od Kazimierza Kutza, nie wyższy od Marka Pola – radzi **JERZY WENDERLICH**.

– To nie jest konkurs piękności – zastrzega **BRONISŁAW CIEŚLAK**. – Jakkolwiek ludzie źle myślą o SLD, nie sądzę, żeby ktokolwiek uważał, że to jest aż tak głupkowata partia, żeby niezwykle ważne miało być, po której stronie człowiek ma przedziałek.

– Kolor włosów jest bez znaczenia, bo nie u wszystkich pretendentów jest to cecha do ustalenia – zaznacza **JERZY WENDERLICH**.

– Gdy pytałam studentów, jakie cechy powinien mieć idealny wykładowca, 80 procent pisało „przystojny” – odpowiada **JOANNA SENYSZYN**. – Wygląd lidera powinien być godny, odpowiedni do stanowiska, co nie znaczy koniecznie przystojny. Gérard Depardieu wszystkim się podoba, chociaż przystojny nie jest.

– Typ urody nie może być nieprzyjemny dla oka – uważa **BARBARA BLIDA**. – Ta osoba musi mieć twarz, która coś mówi; twarz inteligentną, używając przenośni, „z wysokim czołem”.

PIOTR GADZINOWSKI w ogóle nie przywiązuje wagi do wyglądu lidera: – Idealny szef to taki, którego nie trzeba oglądać. Czasem mężczyźni, którym daleko do bycia przystojnym, cieszą się dużą sympatią, a kobiety, na które na pierwszy rzut oka lepiej nie patrzeć, też okazują się znakomitymi szefami.

RODZINA?

– Byłaby mile widziana – uważa **MICHAŁ TOBER**. Przeciwnego zdania jest **KATARZYNA PIEKARSKA**. – Nie interesuje mnie, czy ktoś ma trzecią żonę, czy jest rozwodnikiem albo kawalerem. Ale ważny jest jego stosunek do rodziny.

– To nie ma żadnego znaczenia – twierdzi **IZABELA SIERAKOWSKA**. – Część naszych panów ma takie poglądy jak LPR, ale jeśli taki szef miałby – powiedzmy – czwartą żonę, to znaczy po prostu, że nie udało mu się w życiu i chłopak wciąż szuka.

Pytanie o rodzinę irytuje **PIOTRA GADZINOWSKIEGO**: – A co mnie obchodzi życie prywatne? Jest to największy idiotyzm, w naszym kraju i nie tylko, że zazwyczaj pokazuje się rodzinę, fotografuje z piekiem, mamusią, żółciem i tak dalej. To przecież jest prywatna sprawa.

Podobnie tolerancyjne opinie wygłaszała większość naszych rozmówców. Odpada jednak hazard i bicie żony.

– Nie wyobrażam sobie jako przewodniczącego partii osoby, która dokonuje przemocy w domu lub prowadzi wyjątkowo hulaszczy tryb życia – dodaje **KATARZYNA PIEKARSKA**.

WIEDZA, CHARAKTER?

Nowy lider SLD koniecznie musi mieć poczucie humoru. – Ta osoba musi umieć się śmiać z siebie – uważa **BARBARA BLIDA**. – Nie może być jednak nadmiernie wrażliwa, bo w polityce jest jak na budowie: tam nie ma miejsca dla słabych psychicznie. To nie może być mimozą, która się łatwo obraża. Potrzebny jest ktoś twardy, a jednocześnie ciepły.

– Przywódca musi być pewny swych poglądów – uważa **ANDRZEJ CELIŃSKI**. – Ale nie może być bęcwałem, nie może być za pewny siebie. Musi być człowiekiem odważnym, umieć powiedzieć ludziom też to, czego nie chcą usłyszeć, i rozumieć rzeczywistość, czyli mieć trochę komórek pod czaszką.

Idealny lider powinien mężnie znosić niewygody. – Będzie potrafił zdjąć marynarkę i zasiąść do całonocnych rozmów i rano jeszcze funkcjonować. A na następny dzień zabierze reprezentacyjnie głos w języku obcym na forum międzynarodowym – uważa **ANITA BŁOCHOWIAK**.

– Powinien używać prostego języka, zrozumiałego dla ludzi, a nie tylko salonowych elit – twierdzi **JERZY WENDERLICH**. – Żeby jak najmniej używał słów „stratyfikacja”, „nieproliferaacja”, „konotacja”.

HOBBY?

– Dobrze, żeby miał jakieś hobby, bo to świadczy o szerszych zainteresowaniach – uważa **KATARZYNA PIEKARSKA**. – Ważne, czy dana osoba ma w domu jakieś zwierzę. Jeśli ktoś ma psa, kota czy konia, to zazwyczaj jest bardziej pogodny, lepiej nastawiony do świata.

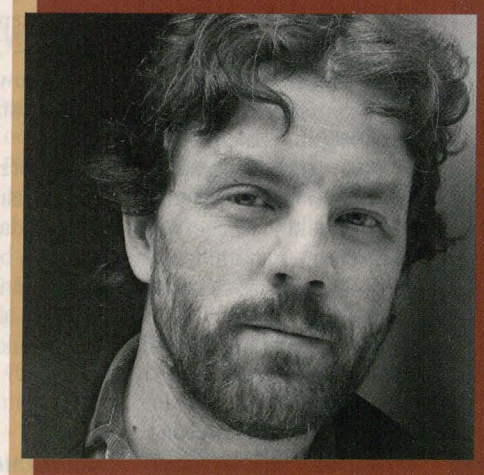
Podobnie uważa **IZABELA SIERAKOWSKA**: – Ludzie, którzy mają hopla na jakimś punkcie, są najwspanialsii. Tacy ludzie z pasją podchodzą do życia, także polityki, są z nią emocjonalnie związani, to jest piekielnie ważne.

Z partyjnymi koleżankami nie do końca zgadza się **PIOTR GADZINOWSKI**: – Hobby? Ale po co? Mrówki ma hodować?

MAX SUSKI
WSPÓŁPRACA AGNIESZKA PILAWSKA
I ANNA WOŹNIAK

Po co się męczyć i głosować?

W Polsce nie powstanie już żadna nowa partia polityczna. Chyba że jej założyciele postanowią łamać lub omijać prawo



Piotr Niemczyk

Fot. MAREK SZCZEPANSKI

Obowiązujące w Polsce prawo dyskryminuje partie polityczne, którym się nie udało albo jeszcze nie zdążyły wprowadzić swoich reprezentacji do parlamentu. Dotyczy to zarówno takich ugrupowań jak Alternatywa czy Unia Polityki Realnej, które istnieją od dawna, jak i tych, które powstały z nadzieją na sukces w najbliższych wyborach. Ani Zieloni 2004, ani partia Aldony Kameli-Sowińskiej praktycznie nie będą w stanie zebrać funduszy na widoczną w telewizji czy na ulicach kampanię wyborczą, jeżeli nie złamią prawa. Podobny los czekałby partie, które mogłyby powstać wokół prezydenckiej kandydatury Jolanty Kwaśniewskiej albo nowego politycznego centrum.

Do ustawy o partiach politycznych w 2001 roku wprowadzono nowe, restrykcyjne przepisy dotyczące finansowania partii. Jednocześnie największe ugrupowania uzyskały bardzo ważny przywilej – dotacje z budżetu państwa.

Trzeba jasno powiedzieć – bez pieniędzy nie da się uprawiać polityki. Kosztują biura partii, sekretarki, telefony, przejazdy, korespondencja. Najwięcej jednak kosztują kampanie wyborcze, a udane kampanie są przepustką do parlamentu i pieniędzy.

Ofiarność przyjaciół

Komitety wyborcze w 2001 roku zebrały na kampanię parlamentarną – według danych Państwowej Komisji Wyborczej – wielomilionowe sumy. Unia Wolności prawie 6,5 miliona złotych, PSL ponad pięć milionów, SLD ponad osiem. Te kwoty nie obejmują ani świadczeń niepieniężnych wniesionych przez wolontariuszy, ani pieniędzy, jakie kandydaci płacą na boku na przykład drukarzom czy kolporterom (to praktyka niezgodna z prawem, ale nagminnie stosowana).

Trudno dotrzeć do informacji o rzeczywistych kosztach kampanii Samoobrony, LPR, PiS oraz PO. Do komitetów wyborczych tych partii wpływały stosunkowo nieduże sumy, ale ich kampanie, sądząc po skali, również kosztowały wiele milionów. Można przypuszczać, że umożliwiła to ofiarność samych kandydatów i ich przyjaciół, ale trudno się spodziewać, by istniała w tej sprawie jakkolwiek dokumentacja.

Jedno jest pewne. Aby udało się przeprowadzić udaną kampanię, trzeba zebrać kilka milionów złotych. I to raczej pięć niż dwa. Jak nowo powstająca partia może takie fundusze zebrać? Praktycznie nie może.

Ile kosztuje partia

Aby założyć partię, trzeba zebrać podpisy tysiąca członków założycieli. Już to nie jest proste. W społeczeństwie, w którym nawet 60 procent obywateli deklaruje, że nie chce na nikogo głosować, trudno znaleźć chętnych do firmowania nowej organizacji politycznej.

Przyjmijmy jednak, że te tysiąc podpisów już mamy. Zaczynamy się rozglądać za pieniędzmi. Ustawa pozwala, by członkowie wpłacali składki, a sympatycy darowizny nie większe niż 15-krotność najniższego wynagrodzenia. I nic więcej. No, można jeszcze zaciągnąć kredyt bankowy. Ale niech mi ktoś pokaże bank, który da kredyt pod tak niepewny biznes jak nowo powstała partia polityczna.

Trzeba więc rozpocząć poszukiwania chętnych, którzy gotowi będą wpłacić darowiznę. Przypomnę: najniższe wynagrodzenie w Polsce obecnie wynosi 760 złotych. Czyli sympatyk może wpłacić na konto partii maksymalnie 11,4 tysiąca złotych.

Policzmy koszty działania. Partia, która chce prowadzić działalność na obszarze całej Polski (co jest jednym z warunków skutecznej kampanii wyborczej), musi mieć koła przynajmniej w większości miast powiatowych. Ich biura, pracownicy, organizacja spotkań pochłoną nie mniej niż milion złotych (ta suma zresztą rozśmieszy księgowych największych partii). Do tego trzeba zebrać minimum trzy miliony na najbliższą kampanię wyborczą. Czyli na początek trzeba mieć jakieś cztery miliony. To i tak mało, jeżeli porównamy, ile w ramach subwencji dostają największe partie w 2004 roku. SLD otrzyma prawie 22 miliony, Samoobrona i PiS ponad 11, a LPR ponad osiem milionów.

Dla nowej partii oznacza to, że konkurencja zasypie wyborców tonami ulotek i plakatów, a ona będzie miała kłopot nie tylko z przedstawieniem swego programu, ale nawet z powiadomieniem o własnym istnieniu.

Legalnie się nie da

Wróćmy jednak do naszego minimum czterech milionów. Wystarczy znaleźć 350 osób, które wpłacą po 11,4 tysiąca złotych. Proste, prawda? Jednak w Polsce, jeśli nawet na apel partii politycznej odpowie 350 osób, zaoferują one wpłaty raczej po sto niż po 10 tysięcy złotych. Akcję, w której zbierzemy kilkadziesiąt tysięcy, możemy więc uznać za dość udaną.

Spróbujmy analizować inne sposoby finansowania: mamy zaprzyjaźnioną fundację,

może ona coś wpłaci? Niestety, byłoby to nielegalne. To może zbiórka publiczna? Zabroniona. Z zagranicy, na przykład od jakiejś międzynarodówki politycznej, też nie wolno.

Zaczynamy szukać sympatyków, dla których wyłożenie dużych pieniędzy nie jest problemem. Nawet jeżeli znajdziemy bardzo zamożnego biznesmena, który uzna program nowej partii za bliski sobie, wkrótce się okaże, że ten sposób też jest nieskuteczny. Po pierwsze, w ogóle nie wolno brać pieniędzy od firm. Po drugie, biznesmen mógłby przelać na konto naszej partii nie więcej niż 11,4 tysiąca złotych w ciągu roku. Czyli zamiast walizki pieniędzy dostaniemy spory, ale tylko jeden przelew. A potrzebujemy ich 350. Możemy poprosić biznesmena (albo kilku), żeby dał pieniądze „pod stołem”, czyli bez żadnych przelewów, pokwitowań, dokumentów. Jeśli się zgodzi, mamy rozwiązana połowę problemu. Bo teraz trzeba tę gotówkę tak wprowadzić do kasy partii, żeby można ją było legalnie wydać. A mówimy przecież nie o tysiącach, lecz o milionach złotych.

To znowu wydaje się proste. Trzeba znaleźć 350 sympatyków, którzy po kawałku przeleją całą kwotę z prywatnych kont. Czyli złamią prawo, bo nawet dla nich będzie jasne, że piodają pieniądze z lewej kasy. To ryzykowne. Ktoś

się może wygadać, informacja dotrze do Państwowej Komisji Wyborczej, a to grozi przypadkiem pieniędzy.

Przy dużym pechu może się zdarzyć, że ktoś docieklivy zapyta członka partii, skąd wzięł 11 tysięcy na darowiznę dla komitetu wyborczego, gdy zarabia dwa tysiące miesięcznie. Afera gotowa.

Możemy jednak spróbować takie pieniądze wydać na kampanię z pominięciem funduszu wyborczego. To też nielegalne, ale wykonalne. Powstaje za to nowy kłopot. Przede wszystkim ktoś z wykonawców usług (drukarnia, kolporterzy, rozlepiacze plakatów) może powiadomić PKW, że wystawiał faktury nie na tę instytucję, co trzeba. Z przyjemnością zrobi to sympatyk konkurencji w jego okolicy musiała kosztować dużo więcej, niż wykazują sprawozdania.

To znowu oznacza ryzyko utraty ewentualnej subwencji w ciągu najbliższych trzech lat i koniec nadziei na miejsca w parlamencie.

Zamiast zakazów

W efekcie ustawa, która miała strzec polskiej demokracji przed korupcją i nieuczciwym lobbieniem, zablokowała jakąkolwiek

możliwość rozwoju nowych koncepcji politycznych. Parlamentarny establishment finansowany jest z budżetu, a wszelkie nowe prądy od ekologicznych po konserwatywne ledwo egzystują, bo nie stać ich na skuteczne powiadomienie wyborców o własnym programie.

Nikt jeszcze nie wymyślił idealnego systemu finansowania partii politycznych. Gdyby jednak ktoś szukał lepszego rozwiązania, z pewnością warto pomyśleć o takim, które zapewni pełną przejrzystość dawania kasy, także przez biznes: kto, kiedy, dlaczego i po co dawał pieniądze. Pomysł, aby zakazywać praktycznie wszystkiego, raczej się w Polsce nie sprawdził.

PIOTR NIEMCZYK

PIOTR NIEMCZYK MA 41 LAT. JEST CZŁONKIEM UNII WOLNOŚCI, DO NIEDAWNA BYŁ JEJ SEKRETARZEM GENERALNYM. W LATACH 80. NALEŻAŁ DO PODZIEMNEGO RUCHU WOLNOŚCI I POKÓJ, SIEDZIAŁ W WIĘZIENIU ZA DZIAŁALNOŚĆ POLITYCZNĄ. W 1989 ROKU ZACZĄŁ PRACĘ W „GAZECIE WYBORCZEJ”, W LATACH 1990–1994 PRACOWAŁ W URZĘDZIE OCHRONY PAŃSTWA. W 2001 ROKU, POD KONIEC RZĄDÓW JERZEGO BUZKA, BYŁ WICEMINISTREM GOSPODARKI.



Bez komentarza?

Nie zostawiaj wiadomości bez komentarza. Serwis Wirtualnej Polski umożliwia szybką wymianę poglądów na każdy temat. Wysoki poziom polemiki gwarantują nasi stali felietoniści – Rafał Ziemkiewicz i Daniel Passent. Sprawdź wiadomości, przeczytaj felieton.

...dodaj swój komentarz na www.wiadomosci.wp.pl



MIŁOŚĆ PRAWIE

KAZIRODNCZA

MARCIN FABJAŃSKI

Sondáže popularności polityków nie podniecają **NELLI ARNOLD**. Jan Rokita nie musi być dla niej premierem – wystarczy, że jest jej mężem, kochankiem i ojcem chrzestnym

W jasnym pokoju konferencyjnym przy placu Dąbrowskiego w Warszawie cztery członkinie zarządu „Elki”, czyli Europejskiej Unii Kobiet – pod dowództwem Nelli Arnold Rokity – obmawiają strategię rozwoju organizacji. Eleganckie ubrania, fryzury dopięszone, staranny make-up. W kącie dwie flagi polskie otulają uspokajająco flagę Europy, w powietrzu unosi się sennie zapach herbaty z dzikiej róży. Ten zapach uspił moją czujność.

– Jaki Wschód?! Polska to nie jest żaden Wschód! – Nelli Rokita prawie wybuchła, gdy pytam, dlaczego po tym, jak uciekła z rodziną ze Związku Radzieckiego do Niemiec, zdecydowała się znowu wrócić na Wschód. – Związek Radziecki zabrał mi Polskę! Tam się w ogóle nie mówiło o Polsce! Odkryłam jej wspaniałą historię dopiero w Niemczech. Przyjazd do Polski w roku 1985 był krokiem naprzód!

– Teraz pan widzi, że Nelli ma silną osobowość – tłumaczy jej koleżanki, gdy podnoszę filiżankę z herbatą z róży, żeby zyskać trzy sekundy na zebranie myśli.

– Idziemy do Sejmu! – rozkazuje Nelli Rokita. – Dobrze, że pan przyszedł, poniesie mi pan laptopa.

– Laptop kupił tata? – pytam.

– No jasne.

W październiku ubiegłego roku Nelli Rokita nie miała laptopa. „Super Expressowi” mówiła, że poprosi o jego kupno ojca, bo mąż nie da pieniędzy, ze skąpstwa. I dlatego że jest „ciężkim człowiekiem, z zasadami”. – To śmieszny wywiad – wspomina Nelli Rokita. I ma rację. Znane Polki rzadko udzielają takich wywiadów – w naszym kraju kobiety muszą udawać, że są feministkami. A Nelli Rokita mówiła o swoim mężu:

– Że jest apodyktyczny – „Po ślubie przyszliśmy do domu. I nagle powiedział: »Mam cię!«. Nie rozumiałam, co to znaczy. A on, że teraz ja mu nie podskoczę; mam go słuchać, bo tak jest w Biblii”.

– Że każe jej wyglądać jak elegancka krakowianka – „Przed wyjściem mnie kontroluje i czasem muszę się przebrać”.

– Że nie chciał jej kupić pierścionka zaręczynowego, a kiedy uległ i ona go zgubiła, był wściekły – „Nie nadasz się do noszenia biżuterii”.

– Że nie zamieniłaby go na żadnego innego kochanka.

Ostatnio w TVN24 na pytanie, dlaczego jej mąż demantuje doniesienia, że będzie kandydowała do Parlamentu Europejskiego, Nelli odpowiedziała: – Ja myślę, że to z miłości, z czystej miłości. Po prostu chcę mieć blisko siebie, a nie gdzieś w Brukseli.

WYPADEK

Ojciec Nelli Rokity nie żałował pieniędzy na laptopa – jest srebrny, cienki i lekki, co ma znaczenie przy dwóch kilometrach marszobiegu z placu Dąbrowskiego na Wiejską.

– Miałabym problemy z niesieniem laptopu – mówi Nelli Rokita, uroczo myśląc końcówki polskich wyrazów. – Wszystko przez ten wypadek.

Był rok 2000. Nelli zjeżdżała golfem z mostu Poniańskiego. Nie udało jej się włączyć płynnie do ruchu. Stary golf nie miał wielkiego przyspieszenia, ale samochód, który uderzył w jego bok, pędził o wiele za szybko. Pęknięta miednica, pół roku w łóżku, potem miesiącę o kulach. Nie przeklinała pirata drogowego.



Fot. ADAM GOLEC/AG 2)

Gdy Nelli brała chrzest, w jej wierze było tyle samo Jaśka co Boga, teraz Pan Bóg jest pierwszy



Od czasu ślubu z Janem Marią (1994 rok) Nelli stara się chodzić bardziej po kobiecemu

wiała je komunistyczna władza, która wsadziła jej brata na trzy lata do więzienia.

W Hamburgu wciągnął ją buddyzm. A może bardziej Mahesh Motiromani, Hindus starszy o cztery lata. W papierach była protestantką, wahała się między buddyzmem a religią katolicką. Wygrał katolicyzm („bo Europa ma chrześcijańskie korzenie”), a z nim pierwsi Polacy w jej życiu. Emigranci, którzy przychodzili na niedzielną mszę.

– „Patrz na ten przepych” – mówili moi znajomi protestanci. Katolicyzm to religia pychy, a nie rozmowy z Bogiem. Ale mi się ten katolicki przepych podoba, jest w nim radość – mówi Nelli Rokita.

CHRZEST

Marszobiegami posuwamy się pod sinym warszawskim niebem, mijamy szare kamienice, wdychamy lodowate powietrze. Nelli Rokita nie lubi miasta, w którym spędza większość czasu (resztę przeważnie w Krakowie i Hamburgu). Ale i tak chce sprowadzić tu ojca. Ma już 90 lat i rok temu zażądał, żeby go oddać do domu starców. Szukała starannie, zbadła kilka ofert, wybrała najlepszą – dom starców nienastawiony tylko na kasowanie pieniędzy.

Ludmiła Wesołowska, koleżanka z zarządu „Elki”: – Nelli jest bardzo emocjonalna, ale wyborów dokonuje na zimno.

Jednak ten wybór okazał się pudłem. Po miesiącu ojciec zadzwonił – nie wytrzyma w domu starców ani dnia dłużej. Dlatego Nelli Rokita przywiezie go do Warszawy. – Tak postanowiliśmy z Jasiem – mówi.

Czy tutaj ojciec ostatecznie pogodzi się z Bogiem? Nelli zrobiła to w Krakowie w roku 1993. Pięć lat po tym, jak przyjechała do tego miasta na stypendium badać tajniki socjalistycznej nowomowy i na zebraniu działaczy podziemia poznała Jana Marię Rokitę. Rozmawiali godzinami o Bogu i o życiu po śmierci. Dla niego niebo to była cisza, spokój i muzyka Bacha, dla niej – radośnie, pełne śmiechu miejsce.

Nelli Rokita: – Zgadaliśmy się z Jasiem co do jednego: że wszyscy ludzie będą zbawieni.

Nelli zdecydowała – ochrzci się. Jan Maria zdecydował – będzie ojcem chrzestnym.

Do krakowskiego kościoła Dominikanów przyszło kilka osób – znajomi, ciotka Jana. Nelli założyła białą bawełnianą sukienkę. Bardzo skromną.

– Wszyscy byliśmy wzruszeni, nawet moje dzieci – mówi przyjaciel Rokitów Zbigniew Fijak. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Chrztu udzielił ojciec Jan Kłoczowski: – Była przygotowana duchowo, podeszła do tego sakramentu z prostotą. Wcześniej długo rozmawialiśmy, bardziej na tematy egzystencjalne niż teologiczne. W polskim Kościele znalazła swój duchowy dom.

Znajomy Rokitów, anonimowo: – Gdy Nelli brała chrzest, w jej wierze było tyle samo Jaśka co Boga, teraz Pan Bóg jest pierwszy.

Po ceremonii poszli na obiad do restauracji. – Dostaje pani prezenty od chrzestnego zgodnie ze starą polską tradycją? – pytam.

– A skąd. Gdybym myślała o prezentach, wybrałabym kogoś innego.

Rok później był ślub, też u dominikanów. Tym razem uroczystość wywyższyła prasa. „Gazeta Wyborcza” wydrukowała zdjęcie – koledzy ściskają dłonie Jana Marii Rokity, a Nelli w białej sukni, butach i kapeluszu („zawsze miałam słabość do kapeluszy, noszę nawet do dżinsów”) pokonuje z zapalem krążek – dłonie zaciśnięte w pięści, postawa kulturysty na wybiegu. Jan Maria Rokita nie był szczęśliwy, gdy zobaczył to zdjęcie w gazecie.

Nelli Rokita: – Strasznie mnie za nie skrzyżował. No i teraz staram się chodzić bardziej po kobiecemu.

RYBK

Nelli nie mogła nie zauważyć wysokich notowań męża w sondażach, jest jego doradcą. Zastanawiała się nawet, co by było, gdyby Jan został prezydentem.

– Nie zmieniałbym się. Bardzo współczuję pani Kwaśniewskiej. Musi pełnić swoją rolę przy boku męża. Ma fundację, ale ja bym nie mogła działać tak jak ona. Interesuje mnie dawanie wędek, a nie karmienie rybek.

Wędki Nelli Rokita chce rozdawać przez Europejską Unię Kobiet. Po wypadku, leżąc w łóżku, postanowiła, że zostanie jej szefową.

Barbara: – Sama zgłosiła chęć kandydowania na przewodniczącą „Elki”. Powiedziała, że ma koncepcję rozwoju organizacji i że ją przeprowadzi. Przekonała nas, dostała 53 głosy.

Nelli: – Spojrzałam na nie i pomyślałam: „Ależ te kobiety mają potencjał!”

Pytam zarząd „Elki”, czy pozycję Nelli w organizacji wzmacnia bycie żoną Jana Marii?

Aleksandra Łukomska-Smulska (po namyśle): – Utrudnia. Musi ciągle udowadniać, że nie jest żoną przy mężu, że jest autonomiczna.

Ludmiła Wesołowska (z przekonaniem): – Ja uważam, że męża trzeba wykorzystać.

Krystyna Dowgiałło (rozczarowana): – Nigdy go nawet nie widziałyśmy.

Nelli Rokita: – My nie walczyliśmy z mężczyznami, nie pchamy się na barykady. My słuchamy mężczyzn.

Aleksandra Łukomska-Smulska: – Uwielbiamy facetów.

Jan Maria Rokita nie przyszedł nigdy na obrady „Elki”. Pojawił się za to na nich poseł Prawa i Sprawiedliwości z Torunia Antoni Mężydło. Szybko pożałował swoich pierwszych słów:

– Uważam, że kobiety nie powinny tylko siedzieć w domu – powiedział i nieźle zezłościł publikę w eleganckich kostiumach.

– Czy pan tu przyszedł wygłaszać oczywistości? – usłyszał uwagę z sali.

Nelli Rokita: – Nie jesteśmy organizacją feministyczną. Chcę pobudzić kobiety do dzia-

łania, współpracować z aktywnymi Polkami za granicą, odbudować terenowe oddziały „Elki”.

– I co pani już z tego zrealizowała?

– Wybrano mnie trzy miesiące temu. Rządowi wprawdzie daje się sto dni. Ale organizacja pozarządowa musi mieć więcej czasu, żeby zacząć skutecznie działać.

Nelli Rokita ma inny powód oprócz dowodzenia „Elką”, dla którego nigdy nie zostanie przykładową prezydentową. – Nie cierpię bankietów – wyznaje. – Zawsze się na nich nudzę. Nie wiem, jak się zachować. Jaś mi zabrania z niektórymi ludźmi rozmawiać, więc muszę się powstrzymywać.

Jeśli Jan Rokita zostanie prezydentem, nie dostanie też wsparcia od córki Nelli Katarzyny. Katarzyna Rokita myśli o bankietach to samo co jej mama. No i nie ma za dużo czasu – uczy się w szkole francuskiej w Warszawie i Hamburgu.

– Nie rozliczam jej z ocen – mówi Nelli Rokita. – Ale wiem, że nie grozi jej bezrobocie. Tak ją wychowaliśmy.

Katarzyna zna cztery języki, ma za sobą sześć lat szkoły muzycznej (fortepian). Rodzice wychowują ją twardo – to ona chodzi codziennie rano przed szkołą po zakupy.

HATSZEPSUT

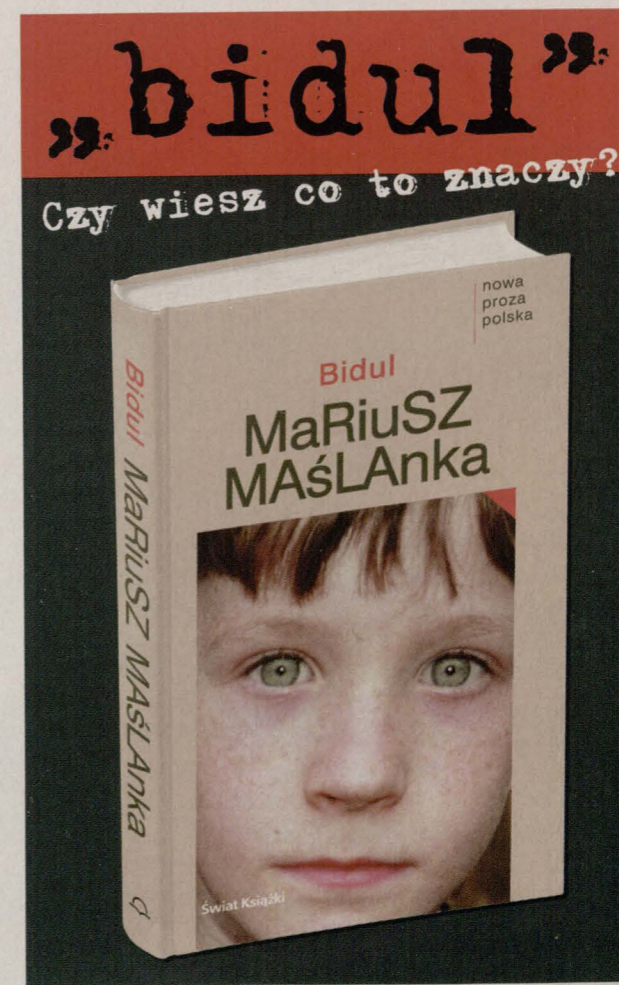
Odkąd pirat drogowy skasował na zjeździe z mostu Poniatowskiego golfa Nelli, szefowa

Europejskiej Unii Kobiet jeździ autobusem. Ma bilet miesięczny. Na wakacje Rokitowie też jeżdżą tam, gdzie tanio. Cztery lata temu, latem – do Egiptu. Przed wyjazdem Nelli rzuciła się na przewodniki. W jednym z nich znalazła opowieść o Hatszepsut – kobiecie faraonie. I o jej geniuszu politycznym. W Luksorze natychmiast pobiegła do jej świątyni.

1500 lat przed naszą erą Hatszepsut została regentką Egiptu w zastępstwie Totmessa III, nieletniego syna z nałożnicy jej męża. Władzy już nie wypuściła z rąk, odsunęła Totmessa od tronu i została królową. Rządziła dobrze, ale dwór miał jej za złe, że jest kobietą. Pod koniec życia zmniejszały się jej piersi, głos stawał się coraz grubszy. Kazała się portretować z przyklejoną brodą. Ale nawet to nie pomogło. Totmes III w końcu zdetronizował Hatszepsut. Kazał zniszczyć jej posągi i wymazać jej imię z naściennych napisów.

Nelli Rokita: – Hatszepsut strasznie mi imponuje. Była silna i mądra, taka jak kobiety w „Elce”. Ale ona też w końcu uległa. Teraz miałyby większe szanse. Cieszę się, że żyję w czasach, kiedy nie muszę się upodabniać do mężczyzny.

MARCIN FABJAŃSKI



nowa proza polska

Patroni serii:



Patroni medialni:



PORTAL KSIĘGARÓKI
www.książka.net.pl

MICHAŁ WÓJCİK: Prowadziła pani trzy kampanie wyborcze Jana Rokity. Pierwszą w 1997 roku. Czy medialny wizerunek Rokity się zmienia? NATALIA DE BARBARO:

Fot. KRZYSZTOF KAROLCZYŃSKI



Natalia de Barbaro (z prawej) w towarzystwie Jana Rokity przebranego za Rokitę podczas dorocznego Reality Shopka Show w krakowskim teatrze Groteska (2002 rok)

– Myślę, że dopiero dzięki pracom sejmowej komisji do sprawy Lwa Rywina ludzie zobaczyli coś, czego wcześniej nie widzieli – ogromną, bezinteresowną determinację Rokity w walce o to, żeby Polska była lepszym miejscem. Ostatnio często wysuwa dolną szczękę do przodu. Wygląda agresywniej. Ktoś go tego nauczył?

Czy polityk musi kłamać?

– Ruchy szczęki Rokity nie zależą od głosu doradców. Co do nauki, to właśnie on, prowadząc swoją kampanię, nauczył ludzi trochę innego myślenia o polityce. Pamiętam jedno ze spotkań wyborczych, gdy w remizie strażackiej opowiadał o swojej wizji państwa. Komendant straży podsumował dyskusję: „Chłopy! Chodzi o to, że jak zagłosujemy na pana posła, to on nam pomoże. Tak jest, panie posle?”. Rokita odpowiedział: „Tak. Z tym że jak na mnie nie zagłosujecie, to też wam pomożę”. To była nowość: polityka nie musi być targiem. Dlaczego Jan Rokita nie chciał się zgodzić na publikację zdjęć z sesji, podczas której wcielił się w Neo z „Matrixa”? Wyszedł świetnie.

– Myślę, że nie chciał być tak odebrany. Nawet jeśli takie zdjęcia nie zadziałyby szkodliwie, to są niepotrzebne. Rokita inaczej definiuje swoje społeczne zadanie. Uważa, że jego rolą jest działanie na rzecz dobra publicznego. Polityk, aby wygrać, musi być sobą. Zadaniem doradcy nie jest „usztucznianie” polityka, ale pokazywanie takiego jego kawałka, którego nie widać.

Przecież w czasie kampanii nie ma na to czasu. Spotkania są reżyserowane. Wyglądają identycznie, a kandydat uśmiecha się zawsze tak samo.

– Aby tego uniknąć, organizowaliśmy bezpośrednie spotkania z wyborcami: w kameralnym gronie, w prywatnych mieszkaniach. Rokita bardzo to lubił i główny kłopot polegał na tym, żeby go wyciągnąć z jednego spotkania na kolejne. Kiedyś byliśmy w tak zwanym tradycyjnym krakowskim domu: kilkanaścioro dystyngowanych pań i panów, porcelana, ciasteczka. Ktoś dał Rokicie pytanie, po czym wszyscy inni, nie pozwalając mu dojść do głosu, krytykowali je i zadawali kolejne, które też było krytykowane. W ten sposób kandydat niewiele powiedział, ale był absolutnie szczęśliwy. Powiedział mi potem: „To jest mój świat”. Żeby go jakoś stamtąd wydostać, w desperacji skłamałam, że musimy iść, bo na kolejnym spotkaniu będzie stu księży. Kiedy wyszło na jaw, że to nieprawda, przyjął to ze spokojem.

Piotr Tymochowicz mawiał swego czasu: „Dajcie mi człowieka, a zrobię z niego polityka”. Da się tak?

– Takim poglądem jest obraźliwy dla wyborców, bo niesie komunikat: jestem w stanie wam wszystko wmówić. W takim myśleniu są dwa błędy. Po pierwsze, to nieprawda. Po drugie zaś, nie każdy może zostać politykiem. Polityk idealny nie musi znać odpowiedzi na wszystkie pytania, ale musi wiedzieć, czego nie wie, o co i kogo pytać, i musi umieć słuchać. Powinien też lubić ludzi. No i przede wszystkim musi mu o coś chodzić. Większość z nas bowiem wie, że nie jest tak, jak być powinno. Polityka różni od nas to, że on chce coś z tym zrobić. Bo według mnie polityka to sfera tworzenia dobra społecznego.

To jest wizja wyidealizowana. A w życiu wygrywają cyniczni socjotechnicy.

– Cyniczny socjotechnik jest gotów pracować dla kogoś, na kogo sam by nie

NATALIA DE BARBARO doradza Janowi Rokicie, jak wygrywać wybory bez kłamstwa, manipulacji i z szacunkiem dla prawa

zagłosował. Chce spowodować, żeby tłumy obdarzyły zaufaniem człowieka bez koniecznych właściwości. Często ku wyborczej zgubie tego, dla kogo pracuje, koncentruje się na przysłowiowym kolorze koszuli. To jest festynowa wizja kampanii wyborczej i smutna wizja wyborcy. Od 11 lat przygotowuję kampanie i muszę powiedzieć, że w Polsce, niestety, panuje taki obustronny cynizm, gra między wyborcami i politykami, w której każdy wie, że druga strona oszukuje. Politycy wierzą, że wyborcy gremialnie pójdą do urn, tymczasem frekwencja zazwyczaj jest niska. Wyborcy zaś wierzą, że politycy chcą ich oszukać. Do tego dochodzi obraz doradcy politycznego jako kogoś, kto obraca się w tańcu słów: gra, zabieg, socjotechnika.

Liczy się skuteczność.

– Ludzie przeceniają manipulację, a nie doceniają sposobu „prostej drogi”. Sztuczki, przechytrzenie się i oszukiwanie ma krótkie nogi. Naszych wygranych kampanii nie zawdzięczamy technikom manipulacyjnym, ale szanowaniu wyborcy.

Pewien znany polityk fotografuje się na tle gdańskich mebli w swoim domu na wsi, jest opalony i ma elegancką siwiznę na skroniach. Falsz jego wizerunku jest wstrząsający, ale mimo to jego ugrupowanie ma ostatnio 18 procent popularności.

– Jest wielu ludzi w Polsce, którzy mają elegancką siwiznę i gdańskie meble, a nie mają takiego poparcia. Andrzej Lepper uzyskał ten wynik, bo zrozumiał i przyjął banalną zasadę w swojej medialnej polityce. To zasada powtarzalności przekazu. On ciągle mówi to samo. Powtarzanie w kółko swojego przekazu to na poziomie skuteczności wielka wartość. Bez względu na to, co mówi.

Czyli jednak wygrywa manipulacja?

– Jest w psychologii przestarzałe, ale nadal obowiązujące pojęcie „osobowości autorytarnej”. Tym pojęciem tłumaczono dojście Hitlera do władzy. Po prostu kontekst historyczny bywa taki, że ludzie silnie potrzebują złudze-

nia, że przyjdzie ktoś i wszystko zalać. To trochę oznacza, że nigdy nie nastąpi kres popularności populistów. Ważne jest, żeby istniały mechanizmy kontrolne, które mogą ich „wyhamować”. Gdy w 1991 roku przyglądałam się kampanii prezydenckiej w Stanach, uderzyły mnie dwie sprawy. Niesamowicie wysoki poziom reżyserowania kampanii. Widać było, że każdy spot reklamowy poprzedziły dokładne badania fokusowe. Z drugiej strony media dokładnie informowały, jak „czytać” oficjalne materiały kandydatów. W „The Washington Post” specjaliści klatka po klatce analizowali film promujący kandydata. A zatem media pomagały się bronić przed bezkrytycznym przyjmowaniem propagandy.

Jak powinna więc wyglądać uczciwa i skuteczna kampania?

– U nas błędem kampanii jest przestrost taktyki nad strategią. Siada sztab wyborczy kandydata i wymyśla, jak zaniżyć wyborców: może festyn? może plakat? może ulotka? Zadają pytanie „jak”, zanim zapytają „co” przekazać, aby wzrosły notowania. Przed wielu laty napisałam notatkę wyborczą o jednym z kandydatów. Jan Rokita wziął do ręki i czyta: „Zastępca... przewodniczącego... komisji... do spraw... zwalczania... przestępczości... o Boże!”. Pokazał mi, jak nie należy mówić do wyborców. Wyborca nie szuka listy stanowisk polityka, tylko „materiału dowodowego” na to, że dany kandydat coś osiągnął i warto mu uwierzyć. Dlatego nieważna jest komisja, w której zasiada, ale że dzięki jej pracom 200 policjantów więcej strzeże naszych ulic. To była pierwsza lekcja, jaką ja uzyskałam od Rokity.

Podczas kampanii działa reguła pięciu sekund. Dokładnie tyle czasu wyborca z polityczną ulotką w ręce idzie do najbliższego kosza na śmieci. Co można przekazać w pięć sekund?

Kocham Cię!

– To by było bardzo dużo! Tyle że jeszcze ktoś musi w to uwierzyć.

ROZMAWIAŁ MICHAŁ WÓJCİK

NATALIA DE BARBARO MA 33 LATA. JEST DORADCĄ JANA ROKITY. W INSTYTUCIE PSYCHOLOGII UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO PROWADZI SEMINARIUM „DORADZTWO POLITYCZNE W PRAKTYCE”. SZKOLIŁA POLITYKÓW NA UKRAINIE, W CHORWACJI, IZRAELU, BOŚNI I HERCEGOWINIE.

DLACZEGO
ROKITA
WYSUNĄ
SZCZĘKĘ?

DLACZEGO
ROKITA
WYSUNĄ
SZCZĘKĘ?

PRZECHYLIŃSKA

O.N.A. znikła, **CHYLIŃSKA** została.
Była wściekła, teraz jest wolna od kolegów z Kombi.
„Ciężko zapierdalałam – mówi.
– Ale lubię to, co robię”

ZDJĘCIA KRZYSZTOF OPALIŃSKI
/POMATON EM

JACEK SKOLIMOWSKI: Byłaś na pierwszym koncercie nowego Kombi w Operze Leśnej?

AGNIESZKA CHYLIŃSKA: Nie, choć miałam taką możliwość. Bezpośrednim powodem, dla którego pożegnałam się ze Skawińskim i Tkaczykiem, było właśnie to, że jako ostatnia dowiedziałam się o reaktywacji Kombi. Byłam wściekła i zniesmaczona. Teraz

mam przyjść na koncert, usiąść w pierwszym rzędzie i klaskać?

Dlaczego nagle, po ośmiu latach wspólnego grania w O.N.A., zdecydowaliście zakończyć działalność?

– Rozstaliśmy się w gniewie, ale to było do przewidzenia. W życiu jest tak, że kiedy przychodzi do ważnych decyzji i mocnych słów, to nikt się pierwszy nie rwie do głosu. Jak wyjdzie ta odważniejsza strona i powie: „Słuchajcie, ten układ nie ma sensu”, wtedy okazuje się, że wszyscy tak myśleli, ale nie mieli odwagi tego powiedzieć. Tak się stało w naszym wypadku. Powiedziałam głośno: „Dość”. Mam teraz własny zespół: Chylińska.

Jak to, O.N.A. nie było też twoim zespołem?

– Dla mnie O.N.A. zawsze było priorytetem. Liczyłam na to, że z czasem koledzy nie będzie już na mnie tak źli i że w końcu się do mnie dziej zaufają. Kiedy udowodnię, że

śpiewam, piszę teksty, to może w końcu któregoś dnia przestanę mnie tak kontrolować, skreślać słowa piosenek dla samego skreślenia i siedzieć nade mną w studiu, jakbym była dzieckiem specjalnej troski. Mówię konkretnie o Grześku Skawińskim. Chyba do końca nie pogodził się z tym, że pojawiłam się w zespole. On, wielka indywidualność, gwiazda Kombi, wówczas nieco już przebrzmiała. Nagle przychodzi dziewczuszka znikąd i zajmuje jego miejsce. Śpiewa i wszystko się udaje. Wymyślił sobie więc funkcję nauczyciela. Kiedy nagrywaliśmy pierwszą i drugą płytę, jego pomoc była jak najbardziej na miejscu. Ale przy nagrywaniu czwartej i piątej?! Powinien powiedzieć: „Aga, mam do ciebie pełne zaufanie”. On jednak uważał, że grupa odnosi sukcesy, ponieważ świetnie kontroluje Chylińską. I robił to dalej.

Skoro tylko Skawiński miał do ciebie pretensje, to nie mogliście kontynuować bez niego?

– Były takie plany. Zaczęliśmy je realizować podczas sesji „Mrok”. Grzesiek przychodził na 12 do studia i graliśmy utwory na płytę. Później jechał sobie na basen do znajomych, a my z resztą kapeli napierdalaliśmy nowe numery. Marzyliśmy o tym, jak to będzie, kiedy zostaniemy bez niego.

Kiedy w końcu powiedziałaś sobie: dość?

– Któregoś dnia, po przykrym incydencie w studiu, postanowiłam dalej z Grześkiem nie pracować. Nie podobało mi się, jak mnie traktował. Przyszłam do kolegów i powiedziałam: „Kurwa, albo on, albo ja!”. Wszyscy podnieśli rękę, łącznie z Waldkiem Tkaczykiem [basistą – przyp. red.] – wypierdalamy Skawińskiego i szukamy nowego gitarzysty. Doszło do kretyńskiej sytuacji, bo na jedną z prób, którą planowaliśmy, przyjechało dwóch muzyków, również nowy basista. Waldek odebrał to jako zdradę. Myślę jednak, że tylko szukał pretekstu, żeby być z Grześkiem. Znają się z czasów liceum, to stara przyjaźń. Nie chcę, żeby było to odebrane jako kopniak w ich stronę. Facet, który dobiega pięćdziesiątki, jest konformistą. Waldek miał do wyboru – albo pójść w nieznaną z Chylińską, która nie jest zainteresowana graniem muzyki typowo usługowej, albo wybrać ciepłą posadkę w Kombi.

A spadek koniunktury na O.N.A. nie wpłynął na sytuację w zespole?

– Moim zdaniem sukces Kombi popsuł Grzeska i Waldka. W latach 80. byli bardzo popularni. Dla nich O.N.A. zawsze było czymś gorszym pod tym względem. Owszem, pojawiły się pieniądze i koncerty, ale później przestaliśmy być już taką świeżynką. Zainteresowanie mediów i publiczności malało, więc zaczęto szukać winnego. Oczywiście, zostałam nim ja. Zarzucali mi, że gramy za mocno, że mój image jest zbyt skandalizujący. Wiesz, kiedy zdawał egzamin w kryteriach marketingowych, było wszystko OK. Teraz trzeba było to zmienić, bo system przestał funkcjonować. Mówię na przykład o „fuck off” dla nauczycieli. Tamto zdarzenie wpłynęło na wzrost sprzedaży płyty, chociaż wcale

nie o to mi chodziło. Sprzedaż płyt nigdy nie była dla mnie najważniejsza.

Teraz jeszcze bardziej podkreślasz swój agresywny image. Myślisz, że takiej właśnie chcą się ludzie?

– Nie jestem Ireną Santor. Nigdy nie będę cieszyła ogólną sympatią, bo jestem zbyt kanciasta, dla niektórych zbyt kontrowersyjna. Uważam, że chore i z gruntu niemożliwe jest dogodzenie wszystkim – babie w ciąży, robotnikowi, sołtysowi, intelektualście, biznesmenowi. Ja – jak to mówią dziewczyny z marketingu – znam swój target. Nie interesuje mnie tak zwana szeroka publiczność, bo wiem, że do niej nie trafię. I nie chcę. Zatrzymują się na poziomie „kurwa mać” i tatuaży. Nie widzą podwójnego dna i nie przejdą dalej.

Reakcje są takie, że starasz się szokować na siłę.

– To absurd. Nie jest tak, że siedzę sobie w domu, a później nakładam ciuchy i odgrywam Chylińską. Jakbyś poznał moich znajomych, toby ci powiedzieli: „Aga taka jest”. Chylińska jest po prostu prawdziwką. Poza tym chciałam w tym wszystkim powiedzieć coś o kobiecie. Zauważyłam,

od grania, a ja od dostawania po gębę. Nie odcinamy się od O.N.A. Chylińska jest ideowo kontynuacją grupy. Tutaj jest ten duch, wokalistka, jej teksty i lecimy naszym sznytem.

Dlaczego do Chylińskiej szukałaś muzyków z ogłoszenia? Mało dobrych, znanych na rynku?

– Miałam dość grania z nazwiskami, chciałam grać z ludźmi. Sama jestem znikąd, a okazało się, że mam talent. Jestem dużą szczęściarą. Mnóstwo płyt, które do nas trafiły, pozostało wiele do życzenia, ale Misiak [nowy gitarzysta – przyp. red.] okazał się świetny. Szukaliśmy prawdziwką, a znaleźliśmy zawodowca. Oczywiście, moim ideałem był genialny Thorgal z długimi czarnymi włosami, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, który super gra, dobrze wygląda, jest skromny, robi kawę i gotuje... [śmiech] Ale jak mówi Gołota – „Realia są właśnie takie, nie?”. Misiak wygląda jak Obelix, ale gra zajebiście. Bolo może też nie ma metra dziewięćdziesięciu, ale bas brzmi porządnie. Chciałabym podkreślić, że Chylińska nie robi wszystkiego. Podział obowiązków jest bardzo określony. Zbyszek Kraszewski jest odpowiedzialny za produkcję płyty. Pozostali koledzy czuwają nad komponowaniem piosenek.

Teraz zespół to monarchia absolutna, dyktatura. Firmuję to nazwiskiem i wszystko biorę na siebie

że kiedy przeklnie hiphopowiec, to jest to kultura hipopowa, a jeśli przeklnie kobieta, krzyczą: „Chamstwo!”. Że to do kobiety niepodobne, nienaturalne zachowanie. Takim kobietom jak ja albo zarzuca się sztuczność, albo wytacza proces, jak Dorocie Nieznalskiej. A tu chodzi o wolność i swobodę wypowiedzi.

W O.N.A. nie dawali ci swobody?

– Zawsze słyszałam: „Uważaj, co mówisz w wywiadach, bo to też splywa na nas”. Nareszcie mogę mówić za siebie i egoistycznie realizować swoją wizję artystyczną. Jeśli przy okazji realizują się w tym koledzy Kraszewski, Misiak, Horny i Bolo, to fantastycznie. Nie wierzę w demokrację i kompromis w twórczości. Nie dało się realizować naraz wizji mojej i Skawińskiego. Dlatego założyłam Chylińską. Teraz jest monarchia absolutna, dyktatura, ja, Chylińska. Firmuję to moim nazwiskiem i wszystko biorę na siebie. Jeśli są jakieś pretensje, to do mnie, a nie do kolegów. Oni są

Na płycie Chylińskiej nie brakuje ballad, przed którymi wzdrygałaś się, będąc w O.N.A.

– Wiesz, kiedy słyszę, że MUSZĘ zaśpiewać balladę, to mi się nie chce. Co innego, jeśli sama chcę ją zaśpiewać. Chylińska bywa liryczna. Nie chcę tworzyć chorego wizerunku osoby, której sączy się tylko wściekła piana z pyska.

Będą więc i kolejne teksty o tobie w kobiecych pismach?

– Raczej nie... Zrobiłam sesję zdjęciową ze związanymi łapami i z rozartą na twarzy szminką. To jest moja propozycja. Panie z jednego magazynu powiedziały: „O, nie. My chcemy panią z kwiatem, najlepiej lilią, i jeszcze takim spojrzeniem!”. Później pewnie będą mnie jeszcze pytać, jak u mnie z cyklem. Nie mogę w to wejść. Świadomie zawęzam sobie pole rażenia, bo wiem, że moi fani nie kupią na przykład „Elle”. To pismo dla nich za drogie, zafoliowane i interesuje ich tylko jeden artykuł. Przecież nie będą przeglądali reklam kremu przeciwzmarszczkowego. 17-latką, która nosi dziary i sznyty, z których jest dumna, ma to wszystko w dupie. Lepszy jest dla mnie jeden wywiad w piśmie skierowanym do moich fanów niż 10 tysięcy wywiadów o gotowaniu i pierdołach.

Często musiałaś odmawiać takiego sposobu promocji O.N.A.?

– Koledzy Tkaczyk i Skawiński zarzucali mi, że chcę grać niszową muzykę. Mówili: „Nie

chcesz występować w Opolu, to gdzie chcesz?”. Przecież to zmiekczało mój image! Zobaczą, jak artyści dają się robić w konia. Pamiętam straszliwie beznadziejny deal z pewną rozgłośnią radiową. Wydaliśmy płytę „Mrok”, a ja dostałam propozycję: „Pani Agnieszko, proszę założyć bikini i być na plakacie pod tytułem »Muzyka najlepsza pod słowem«”. Płyta nazywa się „Mrok”, a ja w bikini! Kumasz?! Albo dzwonią do mnie z jednego pisma: „Pani Agnieszko, jest wolne miejsce w samolocie. Jedziemy z jedną aktorką, pani by wsiadła i byśmy porobili zdjęcia w Tunezji, jak pani nurkuje!”. Ja rozumiem dobre intencje, drogie panie, ale nie do mnie z tym, ja nie jestem słynnym nurkiem. Zadzwonili do mnie z męskiego magazynu: „Jeszcze tylko pani się dla nas nie rozebrała”. Jak to brzmi? Jeszcze tylko pani nam nie pokazała cipy i cyców. Powiedziałam, że zgadzam się na sesję – pod warunkiem że inscenizujemy front wschodni 1944 roku. Wojska niemieckie wycofują się ze Stalingradu, ja jestem sanitariuszką i mam rozdartą pierś przez katusze. Widać cyc, więc OK. Wszystko mówiłam poważnym głosem. Obiecali się odezwać...

A pamiętasz jeszcze taki wywiad do kobiecego pisma, w którym opowiadałaś o życiu prywatnym i o tym, że lubisz Kubusia Puchatka i Gromita?

– Nadal lubię Gromita i mam w chuja łosi. Ale byłam wtedy tak bardzo zaścynowana nową sobą. Zrobiłam sobie zęby, schudłam 15 kilo. Po raz pierwszy spojrzalam na siebie i powiedziałam: „Ja pierdołę, fajna dupa!”. Nie wiesz, jak to jest. Masz 17 lat, są jakieś pierdolone amerykańskie walentynki, a ty nie dostajesz nic! Ty jesteś brzydka i nikt cię nie kocha.

A potem z dnia na dzień stajesz się gwiazdą rocka. Nagle światło jupitera świeci ci prosto w oczy, na twoją twarz, którą nie do końca chcesz pokazać, i na twoje nie do końca wykrystalizowane poglądy. Nie wstydzę się siebie ani z 1994, ani z 1998 roku. Na tamten wywiad zdecydowałam się po „fuck off”, kiedy najlepiej pomyj wylało się na moją głowę. Chciałam mieć święty spokój. Niepotrzebnie zrobiłam z tego sprawę i powiedziałam gazecie, że żyję sobie spokojnie z Krzyśkiem i jest fajnie. Prędko otrząsnęłam się z tego i wyciągnęłam wnioski. Nauczyłam się akceptować siebie i nie szarpać z moim prawdziwym „ja”. Zniknął strach. W wywiadach staram się mówić o muzyce. Oczywiście, nie każde pismo jest tym zainteresowane. Czasami chcą usłyszeć, że na przykład pieprzyłam się z taksówkarzem.

Takich historii na twój temat już trochę się nazbierało. Chciałabyś coś przy tej okazji wyprostować?

– W moim wypadku wszystko jest mi na rękę. Niech sobie piszą, co chcą. Co innego jednak, gdy to ja im sprzedaję jakąś rewelację, a co innego, gdy sami wymyślają przykrą bzdurę. Zawsze mi się wydawało, że jestem wystarczająco atrakcyjna dla kolorowych czasopism jako ta

z tatuażami i niewyparzoną gębą. A jednak nie. Gdzieś przeczytałam, że jestem z domu dziecka. To było po „fuck off” – w końcu tak może się zachować tylko dziewczyna z marginesu. Przykro było moim rodzicom, bo nie są żadnymi mętami społecznymi. Tata jest z wykształcenia historykiem, a mama nauczycielką. Wspierają mnie, a przecież też im się dostaje. Mamie za „fuck off”, a tacie [związane z Sopockim Klubem Tenisowym – przyp. red.] za „wszyscy tenisiści to pedały”. Powiedziałam to w wywiadzie, w afekcie – miałam osobistą utarczkę z takim jednym – ale wycięłam w autoryzacji, po czym znalazłam to w druku. W dodatku wyfluszczone.

Co myślisz, gdy mówią o tobie jako o jednej z niewielu osobowości na naszym rynku?

– Mój ojciec zawsze mi powtarzał: „Jeśli jesteś silna, to nie napinaj mięśni”. Jeśli uważasz się za osobę dobrą, to niech powiedzą to inni. Sama bardzo zraziłam się do Whartona, kiedy przyjechał do Polski i powiedział, że jest najwy-

bitniejszym pisarzem XX wieku. Przestałam go czytać. Natomiast uważam, że dobrze śpiewam. Ciężko zapierdalam, ale lubię to, co robię.

Kto w takim razie jest taką osobowością u nas?

– Według mnie na osobowość składa się wiele czynników. Taka osoba musi być inteligentna, mądra, musi mieć charakter, potrafić trafnie ocenić sytuację. Musi iść pod prąd albo jawnie i z premedytacją robić to, co inni chcą usłyszeć, zachowując przy tym dystans. Później śmieje się z tego – tak jak Wiśniewski. Przecież on sam nie wierzy w to, co robi. Ładnie to wymyślił i wychodzi na tym fantastycznie. Jest po prostu biznesmenem i przynajmniej nie każe nazywać się artystą. Tutaj pełny szacunek dla niego. Mnie brakuje dobrych rockowych wokalistek. Co prawda jest Kayah czy Edyta Górnica, ale nie ma konkurencji w rocku.

A Beata Kozidrak? Media niedawno donosiły, że chcecie nagrać duet!

– Nie, ona tak powiedziała, ale moją wypowiedź dziennikarze przekręcili. Nie planuję duetów i nigdy w nich nie biorę udziału ze względu na mój pogląd, że każdy wykonawca powinien dawać sobie radę sam. Kiedy artysta składa mi taką propozycję, zwykle wieszę jakiś podstęp. Beaty to nie dotyczy, ale uważam, że jej nie potrzeba nikogo. To artystka zdolna i popularna, sama jestem jej dużą fanką.

Ty jesteś na scenie już od 10 lat. Jak sobie wyobrażasz emeryturę takiej rockowej babci?

– Spójrzmy na Ozzy’ego Osbourne’a. Jest przykładem osoby, która świetnie sobie radzi mimo mało rockandrollowego wieku. Wydaje się cały czas autentyczny. Ja dziś nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, że usunę sobie dziury i zrobię koka na głowie. Takiej Chylińskiej z przyszłości dzisiejsza Chylińska obciąłaby łeb.

ROZMAWIAŁ JACEK SKOLIMOWSKI

Wydawaliśmy płytę „Mrok”, a ja dostałam propozycję: „Pani Agnieszko, proszę założyć bikini i być na plakacie pod tytułem »Muzyka najlepsza pod słońcem«”

AGNIESZKA CHYLIŃSKA OD PRAWIE DEKADY UCHODZI ZA NAJLEPSZĄ ROCKOWĄ WOKALISTKĘ W KRAJU. PIERWSZE KROKI STAWIAŁA NA SCENIE W WIEKU 18 LAT NA FESTIWALU PIOSENKI FRANCUSKIEJ W STAROGARDZIE GDAŃSKIM, PÓŹNIEJ DOŁĄCZYŁA DO GRUPY SECOND FACE. JEJ TALENT DOCENILI CZŁONKOWIE SKAWALKER I W 1995 ROKU ALBUMEM „MODLISHKA” ZACZĘŁA SIĘ ICH WSPÓLNA KARIERA JAKO O.N.A. PO ROZWIĄZANIU O.N.A. W STYCZNIU 2003 ROKU GRZEGORZ SKAWIŃSKI I WALDEMAR TKACZYK WRÓCILI DO KOMBI (GRAJĄ JAKO KOMBII), A CHYLIŃSKA (OBECNIE 27 LAT) ORAZ ZBIGNIEW KRASZEWSKI I WOJCIECH HORNÝ KONTYNUUJĄ KARIERĘ NA RYNKU ROCKOWYM. Z NOWYMI MUZYKAMI ZAŁOŻYLI GRUPĘ CHYLIŃSKA. ICH ALBUM „WINNA” UKAŻE SIĘ 19 MARCA



W poniedziałek 8 marca w Gazecie Wyborczej

gazeta **DUŻY FORMAT**



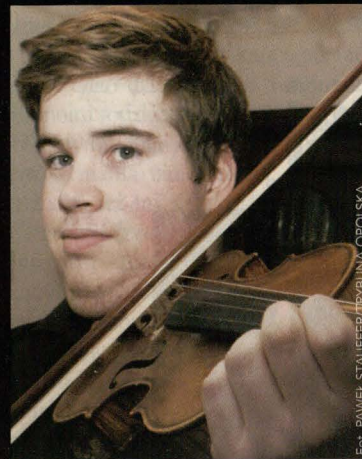
HAITI Bunt Ludożerców



Przeczytaj również:

- Od Holocaustu do Hollywood – wojenne wspomnienia Gene Gutowskiego, producenta filmów Romana Polańskiego
- Ballada o innym zabarwieniu, czyli prawdziwy żywot modelki Ilony Felicjańskiej
- Antykampania wyborcza Władimira Putina
- Rybacy dostaną więcej niż górnicy!
- Monday Manniak spotyka Mrs. Robinson

ŚWIECI



**Marcin Danilewski
SKRZYPEK W JAPONII**

Ma dopiero 17 lat, a międzynarodowa kariera stoi przed nim otworem. Marcin Danilewski, skrzypek z Opola, jako jedyny Polak wystartuje w młodzieżowym konkursie im. Czajkowskiego rozpoczynającym się 7 marca w japońskim mieście Kurashiki.

Będzie, nie licząc Rosjan, jedynym zaledwie trzech biorących udział w imprezie Europejczyków. Żeby zakwalifikować się do konkursu uważanego w branży za mistrzostwa świata wśród młodych skrzypków, młody opolanin nagrał w studiu Polskiego Radia płytę zawierającą trzy konkursowe utwory. Ich wykonanie przekonało sędziów, że Marcina warto zaprosić do Japonii. W Kurashiki będzie rywalizował głównie z muzykami z Dalekiego Wschodu, którzy nie musieli przechodzić etapu eliminacyjnego.

Marcin pochodzi z muzycznej rodziny, świetnie mówi po angielsku i niemiecku. Słucha każdego rodzaju muzyki poza techno i hip-hopem. Jego sukces jest o tyle istotny, że Marcin nie jest zwycięzcą żadnego plebiscytu w rodzaju „Idola”; do perfekcji doszedł po cichu własną pracą. Udowadnia, że w muzyce klasycznej też oplaca się być dobrym.

ŚWIECI



**Marian Blank
WYTRZYMAŁ**

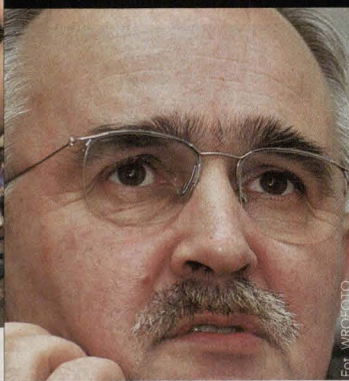
Każdego roku widok kąpiących się w lodowatej wodzie członków klubu morsów u zwykłych ludzi wywołuje dreszcze. Ale to, co zrobił pan Marian Blank, zmroziłoby nawet morsy. Mieszkaniec Brodnicy postanowił pobić rekord Polski w przebywaniu w lodowatej wodzie.

W wyrąbanym w jeziorze Niskie Brodno lodowym korycie pływał przez 25 minut, bijąc o sześć minut poprzedni rekord. Jak donosi „Gazeta Pomorska”, pan Marian mężnie zniósł próbę. Pływając żabką między pomostami, rozmawiał z publicznością, choć po 20 minutach kąpieli odzywał się już coraz rzadziej.

Woda miała +0,3 stopnia Celsjusza. Śmiałek raz zachłysnął się wodą, ale nic złego się nie stało. Na pytania ratowników odpowiadał zdawkowo: „Spoko”. Próba miała trwać równie pół godziny, ale sędziowie najwyraźniej dostrzegli, że zawodnik zaczyna posyłać coraz bardziej lodowate spojrzenia, więc namówili go na przerwanie kąpieli po 25 minutach. Mors został natychmiast odwieziony do domu.

Dobrze jest, kiedy ludzie mają pasję. Tylko dlaczego taką zimną? Gratulujemy i szczerze zazdrościmy odporności!

SPADA



**Józef Kusiak
WALCZY Z SATYRĄ**

Poczucie humoru to u polityka rzadka rzecz. Prezydent Jeleniej Góry Józef Kusiak (SLD), niestety, nie odbiega od schematu – za publikację satyrycznego tekstu w „Słowie Jeleniogórskim” zaciągnął dziennikarza gazety przed sąd. W lipcu 2003 roku Wojciech Jankowski napisał zjadliwy tekst na temat uroczystego otwarcia w mieście nowej ścieżki rowerowej, które odbyło się 22 lipca, w „sztandarowy” dzień władz PRL. Jankowski wytknął, że bankiet był „zafundowany przez wykonawcę wedle zasady: nie będzie bankietu, nie będzie zleceń. Za bankiet zapłacili podatnicy, bo wykonawca musiał doliczyć jego koszty do rachunku za prace budowlane”. Jankowski przed kilkoma dniami dostał wyrok – co prawda minimalny, ale nie został uniewinniony.

Prezydent Kusiak najwyraźniej nie zna życia – to oczywiste, że nawet jeżeli wszelkie procedury są w porządku, wykonawca poczuje się zobowiązany do zorganizowania bankietu, bo taki jest zwyczaj; w biednym kraju zwyczaj kontrowersyjny. Ponadto sąd został zobowiązany do oceny tekstu w zamierzeniach satyrycznego. Gdy już wszyscy będziemy ponurzy, zapamiętajmy wreszcie spokój.

SPADA



**Andrzej Brachmański
JAKIE AFERY?**

Jak bardzo punkt widzenia zależy od punktu siedzenia! Jeszcze kilka lat temu Andrzej Brachmański żądał wyrzucenia kilku działaczy SdRP z partii za to, że tamci ośmielili się wystartować w wyborach z innej lewicowej listy. Za swoją surowość został nawet na jednej z konwencji w Zielonej Górze okrzyknięty Führerem.

Dziś lubuski baron SLD, a od kilku dni wiceminister MSWiA, nie jest już tak kategoryczny w swych sądach. Przeciwnie, wobec partyjnych kolegów prezentuje zadziwiającą pobłażliwość, a obecność aferzystów w szeregach SLD tłumaczy rozmiarami ugrupowania: – Jesteśmy największą partią w Polsce i jest fizyczną niemożliwością, by nie trafiły się jakieś czarne owce. Nieprawidłowości w SLD rozdmuchuje do granic możliwości prasa.

Brachmański bagatelizuje zarówno aferę starachowicką, jak i aferę Rywina. Domniemanie niewinności wobec Sobotki opiera na tym, że przez 10 lat siedział z nim w ławce i „wie, do czego tamten jest zdolny”. Zanim znów dowiemy się, że wszystkiemu winna jest prasa, przypomnijmy, że w sprawie starachowickiej podejrzanych podsłuchiwali nie dziennikarze, ale policjanci.

Prócz 480000 zwykłych logo i dzwonek mamy także kilka wyjątkowych...

Sprawdź je:



polki.pl

Małe kolorowe logo:



ED 137671



ED 125917



ED 125921



ED 122090

Wpisz numer logo w treść SMS i wyślij go pod numer 7413. Pamiętaj o spacji pomiędzy ED a numerem.

Koszt logo 4 zł. + VAT.

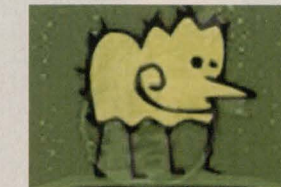
Dzwonki polifoniczne

- ▶ Temat muzyczny - Władca pierścieni ED 136399
- ▶ Outkast - Hey ya ED 135598
- ▶ Sean Paul - Get busy ED 135689
- ▶ The cure - Friday I'm in love ED 135718
- ▶ Kylie Minogue - Slow ED 134004

Wpisz numer dzwonka w treść SMS i wyślij go pod numer 7913. Pamiętaj o spacji między ED a numerem.

Koszt dzwonek polifonicznych 9 zł + VAT.

Tapety:



136330



129383



128485



100152

Wpisz numer tapety w treść SMS i wyślij go pod numer 7913.

Koszt tapety 9 zł. + VAT. Wersja pobrana na telefon komórkowy pozbawiona jest znaku wodnego.

Jak wysłać tapetę do znajomego?

W treści SMS'a wpisz numer wybranego obiektu a po kropce numer telefonu znajomego (np.: 136330.502131313)



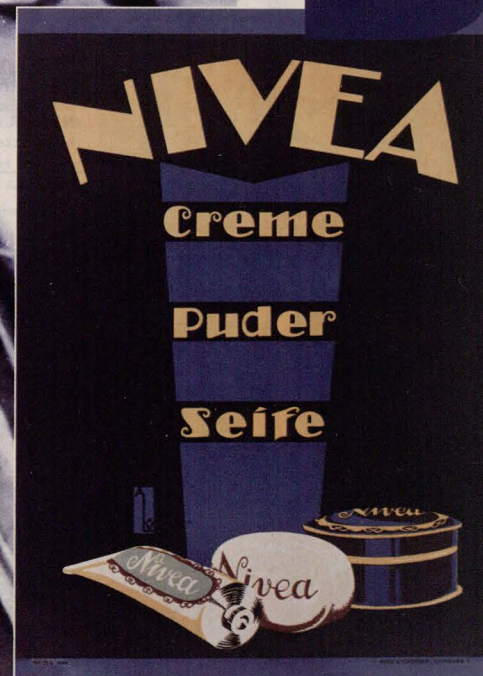
Zdjęcie reklamowe z lipca 1933 roku – kobieta trzyma w ręku pudełko kremu Nivea

Z prawej: Plakat z 1922 roku utrzymany w stylu art déco

Fot. ULLSTEIN/BERW

PUDEŁKO ZE ŚNIEŻNĄ BIEŁĄ

PAWEŁ WIECZOREK



Fot. NIVEA

Czy smarując się kremem Nivea, masz świadomość, że stworzył go i nazwał człowiek urodzony w Gliwicach?

W kilkadziesiąt krajach świata, także w Polsce, Nivea jest najlepiej rozpoznawalną marką kosmetyku. Od prawie stu lat pudełko z kremem, najpierw żółte, potem niebieskie, toczą się po świecie. Teraz sprzedawane są już w ponad 170 krajach świata. A przecież Oskar Tropowitz w młodości wcale nie marzył o zdobywaniu światowego rynku kosmetyków. Urodził się w Gliwicach w styczniu 1863 roku i bardzo chciał studiować historię sztuki.

KRNABRNY OSKAR

Żydowska rodzina, która w końcu XVIII wieku przeniosła się do Gliwic z Opawicy (podzielonej teraz między Czechy i Polskę), przyjęła nazwisko od niemieckiej nazwy miejscowości swego pochodzenia – Tropowitz. Louis, ojciec Oskara, był budowniczym. Postawił między innymi nieistniejącą już synagogę w Gliwicach. Stryj Oskara Simon zrezygnował w młodości z handlu spirytusem i zajął się sprzedażą win, stając się najpoważniejszym dostawcą tego trunku w regionie.

Pochodzący więc z dość już zamożnej rodziny Oskar został wysłany do gimnazjum we Wrocławiu. Po jego ukończeniu zamierzał studiować historię sztuki, ale ojciec ani myślał zgodzić się na uprawianie przez syna zawodu, który (w jego mniemaniu) skazywał Oskara na ubóstwo, a już na pewno na przejędenie zgromadzonego przez ojca majątku. Oskar był przecież jego dziedzicem, jedynym męskim potomkiem (miał jeszcze starszą siostrę).

Ratując biznesową karierę syna, Louis wysłał go na praktykę do berlińskiej apteki wuja

– Gustawa Mankiewicza. Po trzech latach Oskar – wydawałoby się już ustatkowany – wrócił do Wrocławia, by studiować farmację i zaręczyć się z kuzynką Gertrudą. Zaręczył się, ale studia przerwał. Wyjechał do Heidelbergu, a po kilku latach wrócił do apteki Mankiewicza jako doktor filozofii.

Nie porzucił jednak zainteresowania sztuką – już jako majątny przedsiębiorca zgromadził galerię 63 obrazów, w tym Renoira, Sisleya, Liebermanna. W 1909 roku wybrał się do Paryża i kupił (za podpowiedzią osobistego doradcy do spraw sztuki) obraz Pabla Picassa, stając się pierwszym w Niemczech właścicielem dzieła tego malarza. Ku przerażeniu żony Oskara Gertrudy obraz „Pijąca absynt” zawisł nad stołem jadalnym w willi Tropłowiczów. Gertruda preferująca bardziej tradycyjne gusta po śmierci męża szybko zdjęła obraz i sprzedała go do Kunsthalle w Hamburgu. Z kolei w 1937 roku naziszi dyskretnie wywieźli „Pijącą...” – przejaw „sztuki zdegenerowanej” – do Szwajcarii. Obraz krążył od aukcji do aukcji, teraz znajduje się w Muzeum Sztuki w Bernie.

MYDEŁKA NA SPRZEDAŻ

W maju 1890 roku Oskar Tropłowicz, nazywany przez znajomych „Tropo”, był pracownikiem berlińskiej apteki Mankiewicza. W tym czasie w Hamburgu 54-letni Carl Paul Beiersdorf stwierdził, że nie jest już w stanie prowadzić założonej osiem lat wcześniej firmy: składu aptecznego i laboratorium farmakologicznego, w którym wytwarzano maści, plastry i medyczne mydła. Aptekarz zajął się po samobójczej śmierci syna – 16-latek zastrzelił się, bo nie zdał do następnej klasy. Dodatkowo spekulacje pewnego Duńczyka wciąż uszczuplały majątek Beiersdorfa.

W branżowym piśmie farmaceutycznym dał ogłoszenie – oferował firmę na sprzedaż. Ogłoszenie przeczytał 27-letni Tropłowicz. Napisał do Beiersdorfa, pytając go o szczegóły. Cena – 70 tysięcy marek. Tropłowicz poprosił ojca o pieniądze. Dopinanie kontraktu trwało do września. 1 października panowie podpisali akt notarialny. Firma działała nadal pod szyldem Beiersdorfa. I działa do dziś. Sam Carl Paul Beiersdorf popełnił w 1896 roku samobójstwo – zażył truciznę.

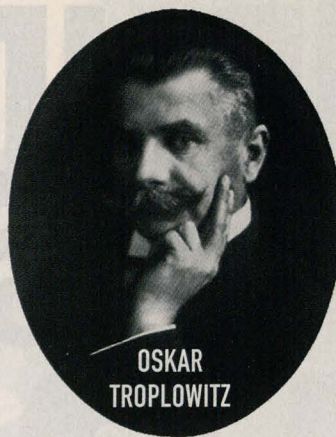
PLASTER JUŻ NIE DRAŻNI

Największym zyskiem z zakupu firmy Beiersdorfa okazało się przejęcie kontaktów z jej dotychczasowym doradcą – dermatologiem Paulem Gersonem Unną. Dzięki jego podpowiedziom firma wprowadzała na rynek wciąż nowe produkty, z których zyski pozwalały na wymyślanie kolejnych produktów.

Tropłowicz przeniósł się do Hamburga, mieszanie ręczne zastąpił maszynowym. Produkcja stała się tańsza i szybsza. Najważniejszym patentem Tropłowicza i Unny

Oskar Tropłowicz w 1890 roku kupił przedsiębiorstwo Beiersdorfa. Choć ten drugi tylko przez osiem lat prowadził firmę, do dziś jego nazwisko firmuje nazwę producenta między innymi kremu Nivea

Obok: Reklamy z polskiej prasy, lata 30. XX wieku



OSKAR TROPŁOWITZ



CARL P. BEIERSDORF



Poniżej: Promocja kremu Nivea podczas Tygodnia Przemysłu Polskiego, 1932 rok



Przez pierwsze ćwierć wieku działalności firmy Tropłowicz zwolnił tylko jednego pracownika



1911

w pierwszych latach działalności okazał się plaster. Używany dotąd w plastrach amerykańskich klej drażnił skórę. Dzięki dodaniu do kleju tlenku cynku plaster już nie wywoływał podrażnień. Gdy do plastra przyklejono nasączoną bawełnę, powstał znany od 1922 roku Hansaplast. Każdy z nas choć raz użył takiego plastra z opatrunkiem.

Sukces rynkowy pozwolił Tropłowiczowi wprowadzić nowatorskie osłony socjalne dla swoich pracowników. W 1900 roku skrócił czas pracy do 10 godzin dziennie, a potem – do ośmiu. Pracownicy otrzymywali trzy dni płatnego urlopu w roku, dodatkowe pieniądze na Boże Narodzenie, w firmie funkcjonowała kasa wypadkowa i emerytalna, zakładowe przedszkole. Przez pierwsze ćwierć wieku działalności firmy Tropłowicz zwolnił tylko jedną osobę.

I w ciągu tych lat chłonał wciąż nowe pomysły na rozwój. Paul Gerson Unna zwrócił jego uwagę na wynalazek Izaaka Lifschütza, który umożliwił produkcję kremu Nivea.

PATENT W FABRYCE

Urodzony w Pińsku (teraz Białoruś) Izaak Lifschütz studiował w Zurychu i Freiburgu chemię. W 1900 roku wyodrębnił z wełny owczej substancję zwaną euceryną. Dzięki niej pierwszy raz w historii ludzkości człowiek był w stanie połączyć tłuszcz i wodę w stabilną emulsję. Wcześniej kremy, produkowane z substancji rozpuszczonych w tłuszczu i wodzie, przypominały mazistą breję, która szybko się rozwarstwiała. Kremów nie sprzedawano więc gotowych, w pudełkach, lecz przygotowywano na zamówienie w aptekach.

Ale na początku wieku eucerynę wykorzystywano tylko w medycynie. Od 1909 roku Lifschütz był członkiem zarządu firmy Hegele & Brünings, gdzie produkowano oprócz tłuszczów i mydeł eucerynę na potrzeby aptekarzy. Tropłowicz zabiegał o odkupienie patentu na eucerynę od H&B – zamierzał wykorzystać ją do produkcji kosmetyków. Ale patent nie był na sprzedaż. Tropłowicz w 1911 roku kupił więc całą fabrykę, a wraz z nią – upragnione prawa do euceryny.

PRZEŁOMOWE WYMIESZANIE

W laboratoriach Tropłowicza przystąpiono szybko do eksperymentów z produkcją nowoczesnego kremu. W grudniu 1911 roku ustalono ostatecznie, że kosmetyk będzie się składał z euceryny, wody, tłuszczu, gliceryny, cytryny oraz – dla zapachu – z esencji różanej i liliowej. Uzyskany krem był śnieżnobiały. Dlatego Tropłowicz skorzystał z nazwy, którą obdarzył w 1905 roku białe mydło. Na żółtym, ozdobionym secesyjnymi zawijasami aluminiowym pudełku kremu pojawił się pochodzący od łacińskiego *nix*, *nivis* (śnieg) wyraz Nivea.



1924



1925



1926



1931



1935



1943



1949



1993

Krem w tym samym roku trafił nie tylko na rynek niemiecki, lecz także za granicę, również na tereny dzisiejszej Polski. Tropelowitz od początku czynił bowiem ze swojego przedsiębiorstwa firmę międzynarodową. Już w 1892 roku otworzył przedstawicielstwo w Nowym Jorku, potem w Austro-Węgrzech i w Londynie. Na początku I wojny światowej wyroby Beiersdorfa produkowano w Buenos Aires, Meksyku, Moskwie, Nowym Jorku, Paryżu i Sydney.

Końca wojny – i sukcesów marki Nivea – Oskar Tropelowitz nie dożył. 27 kwietnia 1918 r. podczas spaceru w Hamburgu dostał udaru mózgu. Zmarł w wieku zaledwie 55 lat.

CHŁOPCY I DZIEWCZĘTA

Po wojnie secesyjne ornamenty kremu Nivea wyszły z mody, a po kosmetyki sięgały już nie tylko elity. Lata 20. wymogły więc zmianę całego wizerunku marki. Pudełko kremu, kosztujące przy szalejącej inflacji w 1923 roku ponad sto miliardów marek, w roku 1925 zyskało nowy wygląd: proste litery na niebieskim tle. Reklam nie kierowano już do eleganckich dam, ale właściwie do wszystkich – na plakatach królowały wtedy trzech zado-

W czasach PRL polscy turyści sprzedawali krem Nivea w Bułgarii. Zarobione pieniądze pokrywały nawet koszty wypoczynku

wolonych z używania Nivei chłopców, do których wkrótce dołączyły trójki dziewczynki, a na plażach bawiono się ogromnymi, nadmuchiwanymi tubami z napisem „Nivea creme”.

Z takim wizerunkiem firma wkroczyła też do Polski. Opatentowano tu wyroby Beiersdorfa, w 1925 roku zarejestrowano w Katowicach firmę Pebeco (od nazwy C. Beiersdorf & Co.). W 1929 roku Pebeco SA znalazło siedzibę w Poznaniu, zaś w 1931 roku ruszyła produkcja w specjalnie wybudowanym, nowoczesnym budynku fabrycznym przy ulicy Chlebowej 6, gdzie dziś znów mieści się siedziba polskiego Beiersdorfa.

BRUNATNE PORZĄDKI

Także na początku lat 30. do marki Nivea dołączono w Niemczech olejek do opalania. Firma reklamowała i krem, i olejek, wydając co dwa tygodnie kalendarz z prognozą pogody. Pod

nazwą Nivea produkowano też między innymi brylantynę, mydło do golenia, szampon. Były też odwroty – wytwarzana od 1933 roku pasta do zębów Nivea została zastąpiona inną nazwą: Nivea miała kojarzyć się z delikatną ochroną skóry, a nie z brutalnym usuwaniem kamienia z zębów.

W 1933 roku władzę w Niemczech objęli naziści. „Nie używajcie już żydowskich kremów! Kremy Lovana są przynajmniej tak samo dobre, za to tańsze i czysto niemieckie” – przekonywał w ogłoszeniach jeden z konkurentów firmy założonej przez Tropelowitza. Popierany przez partię hitlerowską Alfred Queiser, producent Lovana, w piśmie do właścicieli aptek i drogerii wzywał, aby nie zamawiali już „żydowskiego kremu Nivea”, lecz wyroby „czysto aryjskie i narodowe”. Podpierająca się tą nazistowską retoryką konkurencja wykorzystywała obecność Żydów we władzach firmy: prezesa zarządu Williego Jacobsohna (sprawującego funkcję od śmierci Tropelowitza), dwóch członków zarządu oraz dwóch osób w radzie nadzorczej.

Pod naciskiem nazistów Beiersdorf musiał przeprowadzić „dobrowolną aryzację”. Żydzi ustąpili z władz firmy,

prezes Jacobsohn schronił się w Holandii. Nowym prezesem w 1933 roku został Carl Claussen, który kierował firmą do 1954 roku. Ożeniony z siostrzenicą Tropelowitza przeciwstawił się naciskom nazistów, którzy żądali rozwodu z Żydówką.

I choć hitlerowskie pismo „Der Stürmer” nazwało akcję „aryzacji” w Beiersdorfie „typowo żydowską mistyfikacją”, Związek Niemieckiego Przemysłu Zdrowotnego zażądał zakończenia kampanii przeciwko producentowi Nivei. Władze zgodziły się określić Beiersdorf jako firmę „pewną”, zaś organ SS „Das Schwarze Korps” uspokajał osiłeków w czarnych mundurach, że mogą znów pielęgnować skórę kremem Nivea.

LICENCJA NA SMAROWANIE

Od 1934 roku, także podczas II wojny światowej, reklamą Nivei zajmowała się Elly Heuss-Knapp – żona Theodora, póź-

niejszego pierwszego prezydenta Niemiec. Dzięki jej staraniom do reklam nie przedostały się żadne treści nazistowskie – na plakatach i w prasie prezentowano wysportowane, zrelaksowane dziewczęta. Heuss-Knapp konsekwentnie nasycała reklamy kolorami niebieskim i białym, co do dziś pozostaje wyróżnikiem promocji Nivei.

Po wojennych bombardowaniach produkcja w Hamburgu ruszyła dopiero w 1947 roku. Wkrótce firma zaczęła wykupywać na świecie prawa do marki Nivea zawłaszczzone w wojennej zawierusze przez działające wcześniej na podstawie licencji firmy. W latach 1952–1998 Beiersdorf odkupił prawa w 34 państwach, w tym w USA (1973), we Francji (1974) i w Wielkiej Brytanii (1992). Ostatnim krajem była Polska – Beiersdorf, podobnie jak Tropelowitz kupujący patent na eucerynę, kupił po prostu w 1997 roku byłe zakłady Pebeco w Poznaniu.

Wcześniej już raz włączono poznańskie Pebeco do Beiersdorfa – zrobiono to pod okupacją niemiecką, w 1940 roku. Po zbombardowaniu zakładów w Hamburgu wytwórnia produkowała wtedy coraz więcej opatrunków dla armii i kosmetyków. Dokupiono więc sąsiedni teren, na którym znajdowała się piekarnia mechaniczna Lechia. Po wojnie produkcja Nivei w Poznaniu ruszyła szybciej niż w Hamburgu – już w 1945 roku. Kilka lat po nacjonalizacji w 1946 roku nazwę firmy zmieniono na Lechia. Pozostało przy niej prawo do używania nazwy Nivea w Polsce, dlatego Beiersdorf, chcąc sprzedawać tu swoje kosmetyki, musiał... wnieść opłaty licencyjne.

Zorganizowany eksport kosmetyków Nivea z Lechii wspomagali w latach PRL turyści. Prywatna sprzedaż kremu Nivea w Bułgarii była w stanie zwrócić koszty wakacyjnego wypoczynku nad Morzem Czarnym.

POMNIK Z KREMU

Krążą szczątkowe i niepotwierdzone wiadomości, jakoby Oskar Tropelowitz miał podarować Gliwicom pomnik o nazwie „Arbeit” (praca). Rzeźba gdzieś zaginęła i tak naprawdę dziś już nie wiadomo, czy rzeczywiście istniała. Jeśli „Tropo” podarowaniem pomnika chciał zostawić po sobie pamiątkę, to chyba nie docenił swoich produktów. Bo najlepszym pomnikiem Tropelowitza są miliony pudełek z napisem Nivea obecne w każdej części świata.

PAWEŁ WIECZOREK



Przykład reklamy NIVEA Creme. Szwecja, lata czterdzieste.

Specjaliści to lekarze, którzy nie wiedzą tylko o jednym rodzaju chorób.

EDMUND FAUSTYN BIERNACKI (1866–1911), LEKARZ I FILOZOF

[z bliska]

GAŁĄZWA
(*Cothyloriza tuberculata*).
Ta planktonożerna meduza osiąga średnicę 30 cm. Można ją spotkać u skalistych wybrzeży Adriatyku i Morza Śródziemnego. Zawsze towarzyszą jej symbiotyczne rybki znajdujące schronienie pomiędzy jej licznymi krótkimi czółkami.



Głodny znaczy wrażliwy

Głód wyostża smak – to wynik badań opublikowanych w czasopiśmie „BMG Neuroscience”. Kubki smakowe nie tylko dostarczają nam przyjemności kulinar-



Fot. GETTY IMAGE/IFM

nych, lecz także są ważnym systemem ostrzegającym przed niebezpieczeństwem. Badacze sprawdzili, jak na rozmaite smaki reagują ludzie w zależności od tego, czy są głodni. Po kilkunastogodzinym poście podawali badanym napoje o różnych smakach i obserwowali reakcje. Okazało się, że „na głodniaka” znacznie silniej

odczuwa się różnice w stężeniach soli i cukru. Słodki smak sygnalizuje, że pokarm ma dużo łatwych do przyswojenia cukrów, a więc szybko uzupełni braki energetyczne w organizmie. Co ciekawe, odbiór smaku gorzkiego przy jego różnych stężeniach nie zmieniał się niezależnie od tego, czy badani byli głodni, czy syty. Dzieje się tak dlatego, że gorycz jest sygnałem niebezpieczeństwa – tak smakuje wiele trujących substancji, więc organizm stara się zawsze ostrzec z równą intensywnością.

Orbitalny pogrzeb

Tajwańczycy mają poważny problem – brakuje u nich miejsca nie tylko na mieszkania, lecz także na przyzwoty pochówek. Zwykły pogrzeb kosztuje około 12 tysięcy dolarów. Wobec tak kosmicznych cen tamtejsze przedsię-

biorstwo pogrzebowe Baushan Enterprise wpadło na pomysł nie z tej ziemi – skoro już trzeba wydać ogromną kwotę, może lepiej spożytkować ją w bardziej oryginalny sposób. W porozumieniu z firmą Celestis Inc. z Houston Baushan proponuje wysłanie prochów zmarłego w orbitę. Ostatnią podróż odbywają w aluminiowej tubce wielkości szminki, w której przez kilka miesięcy lub nawet lat będą orbitować wokół Ziemi, dopóki nie spłoną w atmosferze. Koszt takiego pochówku nie przekracza ceny typowego tajwańskiego pogrzebu. „Kiedy tylko wędzie księżyc, będzie można popatrzeć w niebo i przypomnieć sobie o zmarłym” – reklamuje nową usługę menedżer firmy Baushan.

Kobieta zmienną jest

Jako istoty świadome i kierujące się rozumem niechę-

nie przyjmujemy wiadomości sugerujące, że naszym postępowaniem kieruje raczej biologia niż kultura. Jednak naukowcy z uporem poszukują dowodów, że jest inaczej. Badania prowadzone w York University w Toronto pokazały, że kobiety różnie oszczędzają atrakcyjność innych kobiet w zależności od własnego cyklu płodności. Badane panie najsurowiej oceniały wygląd innych kobiet wtedy, gdy same znajdowały się w okresie płodnym. Zdaniem badaczy ten mechanizm jest przystosowaniem do starań o najatrakcyj-



Fot. GETTY IMAGE/IFM

niejszego partnera. Tę tendencję zdają się potwierdzać inne badania, z których wynika, że podczas płodnego kobiety najlepiej oceniają własny wygląd. Kobiety nie są więc przystosowane do bezpośredniej walki o partnera, lecz raczej do delikatniejszych zabiegów, w których znaczną rolę odgrywa pewność siebie.

Wahadłowiec bezpieczeństwa

Mimo że od katastrofy promu „Columbia” upłynął już ponad rok, NASA wciąż nie zdecydowała się na wznowienie lotów wahadłowców. Początkowo planowano je na jesień tego roku, jednak teraz mówi się o marcu 2005. Jedynym celem tych kosmicznych podróży ma być ukończenie budowy stacji orbitalnej Alfa. Aby zwiększyć bezpieczeństwo astronautów, NASA chce zapewnić każdemu wahadłowcowi

zabezpieczenie. Będzie ono polegało na tym, że podczas lotu gotowy do podróży będzie drugi prom, który w razie problemów zabierze na Ziemię załogę pierwszego. Nie znaczy to jednak, że zapasowy wahadłowiec będzie stał na wyrzutni – zadaniem specjalistów z NASA wystarczy, by był gotowy do

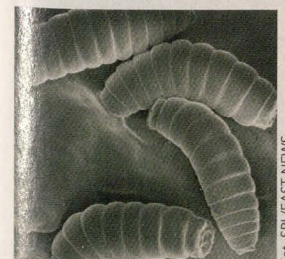


Fot. NASA

wystrzelenia w ciągu 45–90 dni. Zakładają bowiem, że z drobnymi awariami astronauta poradzą sobie sami, a w razie poważnych problemów poczekają na ratunek.

Oporany przyłóż

Bytyjskie władze zdrowotne zdecydowały, że tamtejsi lekarze będą mogli przepisywać pacjentom terapię w postaci larw much. Chodzi o leczenie trudno gojących się ran, w których pojawia się martwica. Larwy



Fot. SPL/FAST NEWS

związane się martwą tkanką oczyszczają z niej ranę, nie tykając żywego ciała. Taka – nieco makabryczna – metoda stosowana była przez stulecia. Zapomniało o niej dopiero wraz z pojawieniem się antybiotyków. Teraz metoda powraca i ma być stosowana między innymi przy leczeniu powikłań cukrzycy. Pacjent „czyszczony” larwami nie musi przebywać w szpitalu, co obniża koszty leczenia i zapobiega dodatkowym zakażeniom.

TRUDNE DECYZJE

Decyzja o pobraniu narządów do przeszczepu od zmarłego zawsze sprawia wiele problemów. Z jednej strony rozumiemy taką potrzebę, ale z drugiej – zwyciężają w nas emocje i obawy. Nie jesteśmy też pewni, kto powinien podejmować podobne decyzje.

65% ogółu Polaków uważa, że o pobraniu narządów od zmarłego powinna decydować rodzina

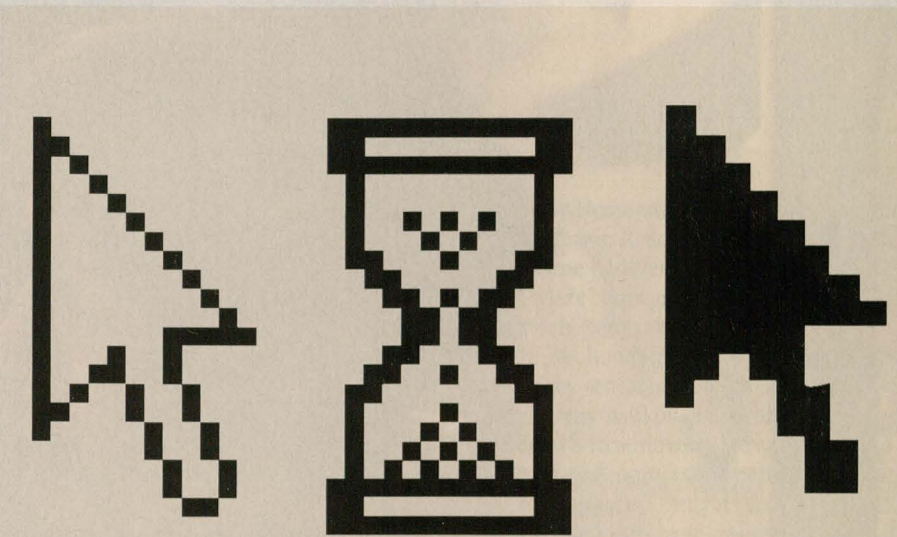
24% jest przekonane, że tę kwestię powinno regulować prawo

Inne zdanie mają lekarze:

55% spośród nich sądzi, że to przepisy powinny decydować

31% chciałoby uzależnić decyzję od zgody rodziny

Badanie przeprowadził w 2002 roku IP-SOS



Grunt to start

Gdzie najlepiej znaleźć informacje? Oczywiście w Internecie. Nic prostszego: włączasz komputer i... czekasz pięć minut, aż się do wszystkiego uruchomi. Już szybciej jest przewertować encyklopedię czy zadzwonić do znajomego erudyty. Komputery startują okropnie długo – dzieje się tak dlatego, że nasze systemy są coraz bardziej rozbudowane. W latach 80. ówczesne proste maszyny potrzebowały kilkunastu sekund, by być gotowe do pracy. Do dzisiejszego komputera podłączamy sieć, drukarkę czy skaner. Poza tym sam system operacyjny jest bardzo skomplikowany i zajmuje setki megabajtów. Wszystko to sprawia, że uruchomienie komputera trwa i trwa.

Producenci sprzętu i oprogramowania do niedawna udawali, że nie ma problemu. Jeden z szefów Microsoftu radził, by komputera po prostu... nie wyłączać. Wyliczono, że gdyby Amerykanie nie pozostawiali telewizorów, komputerów czy wież w trybie czuwania, USA mogłyby wyłączyć siedem ze swoich elektrowni.

Jednak niedawno pojawiła się nowa moda intensywnie lansowana przez branżę komputerową. Chodzi o to, by pecet stał się domowym centrum rozrywki sł-

żącym do odtwarzania muzyki, filmów czy sterowania systemem nagłośnienia. Tylko co to za centrum, które uruchamia się przez kilka minut. Ludzie przyzwyczajeni są do telewizorów, które startują w ciągu pięciu sekund, nie minut.

Powstają więc systemy, które mają być gotowe do używania w podobnym czasie. Pierwszym krokiem była specjalna edycja systemu Windows XP nazwana Media Center. Zastosowano tam sztuczkę polegającą na tym, że system operacyjny uruchamia się wielotorowo: kilka jego składników ładowane jest do pamięci komputera jednocześnie. Zdaniem Microsoftu powinno to skrócić oczekiwanie do pół minuty.

Jeszcze dalej poszła firma InterVideo. Jej okrojony system zwany LinDVD sprawia, że komputer może odtwarzać film czy muzykę już w 10 sekund od włączenia. Oparty na Linuksie program nie jest przechowywany na twardym dysku, lecz zapisany w pamięci umieszczonej w układzie scalonym. LinDVD ma na razie ograniczone możliwości – gdy chcemy, by komputer wykonywał poważniejsze zadania, uruchamiany jest normalny system Windows. A więc – chcieć to móc.

(PST)

[Zagadka]

CO TO ZA LICZBY?:

1. 11110011010
2. 8EAB700
3. 5708

ODPOWIEDŹ DO ZAGADKI Z NUMERU 9:

DZIEWCZYNA PŁACKA MA NIEBIESKIE OCZY, GDYŻ WTEDY RACJĘ MAJĄ WACEK I JACEK, A MYLI SIĘ GACEK. GDYBY MIAŁA ZIELONE, WÓWCZAS MYLILIBY SIĘ WSZYSCY TRZEJ. GDYBY MIAŁA CZARNE, WÓWCZAS WSZYSCY TRZEJ MIELIBY RACJĘ.

medycyna

MÓZG W BANKU

OLGA WOŹNIAK

Sześć tysięcy ludzkich mózgów. Oto kapitał dobrze zabezpieczony w... formalinie. Procenty od tej lokaty to przełomowe odkrycia medyczne

Informacje na temat oddawania narządów takich jak nerka czy serce, choć dla wielu wydają się etycznie kontrowersyjne, nie są już niczym nowym. Co jednak myśleć o oddawaniu mózgu? Spokojnie, to nie będzie opowieść o doktorze Frankensteinie.

Wyobraźmy sobie, że w jednej chwili – tej, którą zajęło nam otworenie gazety na tym artykule – przenosimy się do Stanów Zjednoczonych. Wybierzmy jedno z małych amerykańskich miasteczek. Przy drugiej przecznicy od supermarketu stoi niebieski dom. Spośród stojących obok wyróżnia go wywieszona na maszcie w ogrodzie amerykańska flaga. Powiesił ją właściciel domu, nazwijmy go Brown. Pan Brown już dawno nie był w stanie sam zdjąć flagi. Od blisko 20 lat chorował na alzheimera.

Dziś o godzinie 13 zmarł. Miał 72 lata. Rodzina pana Browna nie była zaskoczona. Wiedziała, że wkrótce to nastąpi. Normalnie syn pana Browna powinien teraz zadzwonić do zakładu pogrzebowego, by zabrano ciało.

– Czy to bank mózgów? – pyta. – Nazywam się Brown. John Brown z Nebraska. Mój ojciec właśnie zmarł.

Osoba, która odebrała telefon, znajduje się w Belmont, parę kilometrów od Bostonu. Jej pokój to jedno z wielu pomieszczeń Mailman Research Center przy

McLean Hospital. Tu mieści się Harvard Brain Tissue Resource Center, potocznie nazywane bankiem mózgów.

„Świeże” mózgi przybywają tu w specjalnych termoizolacyjnych pojemnikach. Pochodzą od ludzi, którzy życzyli sobie, by ten organ po ich śmierci został przekazany naukowcom. Pokryty płynem mózgowo-rdzeniowym i krwią beżoworóżowy kawał pomarszczonej tkanki przypomina raczej gadżet ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami. Normalnie waży blisko półtora kilograma i na pierwszy rzut oka wydaje się zbyt duży, by pomieścić się w przeciętnej ludzkiej czaszce.

Neuromekka

Banki mózgów – takie jak ten największy i najbardziej znany w Belmont – stanowią mekkę dla wielu naukowców, których specjalizacja zaczyna się od członu „neuro-”. Neurologzy, neuropsychiatrzy, neurolingwiści, neurochirurdzy dzięki zbiorom, jakie się tu znajdują, mogą zgłębiać wiedzę na temat biologicznych podstaw wielu chorób i zachowań człowieka. Choroba Alzheimera, Parkinsona, Huntingtona, schizofrenia, choroba afektywna dwubiegunowa, autyzm odślaniają tu swoje prawdziwe oblicze.

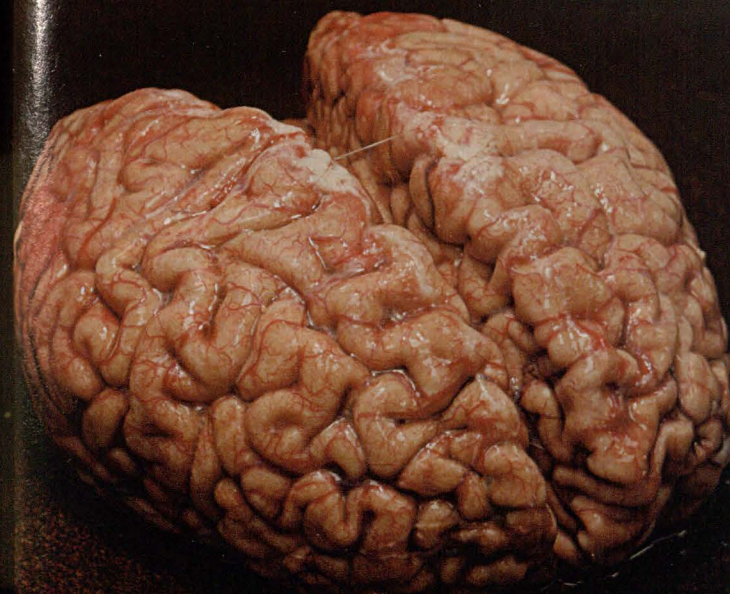
– By zrozumieć te schorzenia, musimy badać mózgi ludzi. U zwierząt te choroby nie występują – mówi neurobiolog Stephen Vincent.

Ogromny postęp w badaniach dokonał się zwłaszcza w ciągu ostatnich 10 lat. Świat medyczny wzbogacił się na przykład o wiedzę na temat biologicznych podstaw chorób psychicznych – wiele odkryć z tej dziedziny prowadzi właśnie do harwardzkiego banku mózgów.

Jednym z najtrudniejszych zadań w takim banku jest „zaopatrzenie”. Nie bez powodu chyba najbardziej rozwiniętym działem jest tutaj public relations. Bez przerwy organizowane są różnego rodzaju akcje społeczne propagujące działalność banku. Ich animatorzy wędrują z programami szkoleniowymi do fundacji, które skupiają ludzi cierpiących na choroby neurodegeneracyjne.

– Takich ludzi przekonać najłatwiej. Nie chcą, by ich cierpienie było bez sensu.

Pomarszczona, zewnętrzna część naszego mózgu – kora mózgowa – ma zaledwie trzy-pięć milimetrów grubości. W niej mieści się wszystko, co ludzkie: świadomość, uczucia wyższe, inteligencja



medycyna



Jedną z półkul mózgu laborant kroi na cienkie plasterki. Zostaną zamrożone lub wysłane do laboratoriów, które zamówiły tkanki do badań

Najtrudniej pozyskać mózgi zdrowe, a tych potrzebujemy choćby do studiów porównawczych, a także do badań genetycznych i biochemicznych – opowiada Francine Benes, dyrektor banku mózgow.

Trudno się dziwić. Mózg kojarzony jest – słusznie – ze świadomością, charakterem, istotą naszego człowieczeństwa. Pozwolić zaglądać do niego to trochę tak, jak pozwolić zajrzeć w duszę, myśli, marzenia. Psychologiczny opór zdrowych ludzi jest bardzo trudny do pokonania. Idealny „zdrowy” mózg powinien pochodzić od osoby, która nigdy nie doznała uszkodzeń głowy, nie cierpiała na delirium alkoholowe, nie była uzależniona od narkotyków i alkoholu.

Harwardzki bank w ciągu jednego roku dostaje blisko 350 mózgow, z czego zdrowe egzemplarze to niemal 15 procent.

Z tej ilości „materiału” powstaje blisko siedem tysięcy próbek. Zamawiają je laboratoria na całym świecie. „Wewnętrzna” kolekcja banku to 22 półki z kontenerami wypełnionymi masą szarych komórek – prawie sześć tysięcy sztuk.

I pocieszyciel, i fachowiec

– Osoba, która odbiera telefon od rodziny zmarłego, ma trudne zadanie. Dzwonią do nas często ludzie zrozpaczeni, w szoku.

Zdrowi ludzie niechętnie „obdarowują” naukowców mózgi. To tak, jakby pozwolić grzebać w najtajniejszych zakamarkach duszy

Musimy mieć wycucie psychologiczne, by z nimi rozmawiać. Zdarza się, że nasz dyżurny jest pierwszą osobą, z którą kontaktuje się syn, córka, mąż zmarłej osoby. Musi pełnić funkcję powiernika, pocieszyciela i do tego powinien kompetentnie wypełnić swoje zadanie – mówi Benes.

Transport mózgu to skomplikowana operacja logistyczna, czas gra tu ogromną rolę. By w organie nie zaszły zmiany czyniące go bezużytecznym do badania, trzeba dostarczyć go bankowi w ciągu 24 godzin od śmierci pacjenta.

Do zmarłego, który przed śmiercią wyraził wolę podarowania mózgu nauce, wysłany jest specjalnie wyszkolony patolog. Po braniu organu jest dość proste. Patolog nacina skórę z tyłu czaszki od jednego ucha do drugiego. Podnosi jej płat, by dostać się do kości. Ścina czubek czaszki, przez powstały w ten sposób otwór wyjmując mózg. Następnie umieszcza kość na swoim miej-

scu, naciąga skórę i ją zszywa. Po uczesaniu zmarłego nie widać śladu operacji.

Na pół i na półkę

Do przewiezienia mózgu bank zatrudnia kurierów, którzy specjalizują się w transporcie organów do transplantacji.

Tak właśnie przybywa do Belmont mózg pana Browna z Nebraski. Asystent, który będzie go badał, przebiera się w fartuch i zakłada rękawiczki. Określa „jakość” mózgu według specjalnej skali opisującej jego kolor, kształt, konsystencję. Następnie przecina organ na połowy. Lewa zostaje na blacie, prawa wędruje do słoja z formaliną. Będzie wykorzystana do badań anatomicznych.

Obejrzy ją też dyżurny neuropatolog banku. Wtedy postawi diagnozę, na co chorował pacjent. Stuprocentowej pewności można nabrać, jedynie badając mózg po śmierci chorego. W 10 procentach okazuje się, że za życia błędnie rozpoznano choro-

Anatomopatolog może zbadać tkankę już w trakcie pierwszej „obróbki”. Określa jej budowę, kolor, konsystencję. Szczegółowe badania wymagają specjalistycznego sprzętu i metod

bę. Raport z badania otrzyma rodzina dawcy i jego lekarz.

Tymczasem laborant tnie lewą półkulę na cienkie plasterki. Mają konsystencję sera tofu. Są fotografowane (zdjęcia można obejrzeć na stronie <http://www.brainbank.mclean.org:8080>). Laborant notuje swoje obserwacje. Wyniki wszystkich badań będą nieodpłatnie udostępnione naukowcom z całego świata na stronach internetowych banku.

Pocięte fragmenty zamrażane są w ciekłym azocie i chowane w lodówce, która utrzymuje temperaturę -180 stopni Celsjusza. To zabezpiecza znajdujące się w mózgu substancje: hormony, neuroprzekazniki, białka. Gdy zgłosi się jakaś zainteresowana placówka, otrzyma odpowiednią próbkę do badań. Dzięki temu badacze mogą na przykład sprawdzić, w jakich miejscach w mózgu produkowane są różne neuroprzekazniki, oraz prześledzić, jak działają w mózgu różne leki.

Pokrojone części będą też badane genetycznie. Wielu badaczy na całym świecie zajmuje się opracowaniem „mapy aktywności” genów w różnych komórkach mózgu.

Efekt ich prac pozwoli na lepsze zrozumienie procesów rozwoju mózgu, podłoża różnych zachowań i chorób. Ułatwi też opracowanie nowych metod leczenia schorzeń związanych z zaburzeniami w rozwoju mózgu, chorób psychicznych i neurodegeneracyjnych.

Drzwi lodówki zostają zatrzasknięte. Tak oto w ciągu niespełna godziny 72 lata myśli, uczuć, wspomnień i upodobań starszego mężczyzny z Nebraski stają się eksponatem numer 5187.

Chińskie są inne

Harwardzki bank powstał w 1978 roku. I choć od tego czasu rozwinęły się techniki obrazowania mózgu takie jak funkcjonalny rezonans magnetyczny czy pozytronowa tomogra-

fia emisyjna, nic nie zastąpi bezpośredniego badania tkanki. Za pomocą rezonansu czy PET-u można obejrzeć aktywność żywego mózgu. Zobaczyć, które jego części są aktywne w jakich okolicznościach.

To duże ułatwienie. Ale taka maszyna nie pozwala zajrzeć do komórki nerwowej. Jest dla neurobiologa tym, czym dla archeologa satelita. Pokazuje, gdzie szukać, ale potem trzeba wziąć łopatę i kopać.

Banki mózgow to organizacje non profit. Znajdują się w wielu krajach na całym świecie.

Kilkanaście dni temu informację o otwarciu swojego banku podali agencjom prasowym uczeni z Hongkongu. Uważają, że chińskie mózgi mogą mieć pewną specyfikę, której nie zauważają uczeni z Zachodu ze względu na niedostateczną liczbę próbek. Czy tak jest w istocie, czy to jedynie kolejny pomysł mający pozwolić chińskim władzom na wgląd w umysły ich obywateli? Badania pokażą...

OLGA WOŹNIAK

KORZYSTAŁAM MIĘDZY INNYMI Z MATERIAŁÓW HARVARD BRAIN TISSUE RESOURCE CENTER ZAMIESZCZONYCH NA STRONIE [HTTP://WWW.BRAINBANK.MCLEAN.ORG/](http://www.brainbank.mclean.org/) ORAZ Z TEKSTU „THE FUTURE OF NEUROLOGY LIES IN A ROOM FULL OF TUPPERWARE IN BELMONT” Z „THE BOSTON PHOENIX” Z 8-15 KWIEŚNIA 1999 R.

JAK JEST W POLSCE?

W naszym kraju nie ma ani jednego banku mózgow. Oddziały neuropatologii przy niektórych ośrodkach klinicznych mają jednak niewielkie zbiory organów, z których mogą korzystać badacze. Pozyskuje się je podczas sekcji zwłok osób zmarłych z przyczyn schorzeń neurologicznych.

OGŁOSZENIA MODUŁOWE • grazyna.janiak@edipresse.pl tel. 0503134293; stac. 022 584 21 72

APARTAMENTY Z WIDOKIEM NA MORZE
wypoczywasz i zarabiasz

VELAVES
sprzedaż II etapu

KOMPLEKS APARTAMENTOWO-HOTELOWY
Władysławowo-Cetniewo
30 m do morza, dwa baseny: kryty i otwarty

SPRZEDAŻ:
(058) 774 73 11
0 603 596 863
e-mail: info@velaves.sky.pl
www.velaves.sky.pl

INTERAKTYWNE KURSY 3 x CD-ROM
dla początkujących i zaawansowanych

Niemiecki i **Angielski**

tylko 89,-

300 godzin nauki
w cenie 2 godz. korepetycji!

- podręcznik, testy, ćwiczenia
- przygotowanie do egzaminu FCE/ZD
- 8 godzin nagrań - native speakers

EDGARD
www.jezykiobce.pl, 022 855-44-02

zdrowie

Stan zapalny to pierwsza obrona organizmu przed infekcją, ale najnowsze badania pokazują, że może prowadzić do poważnych chorób: ataków serca, raka jelita grubego, choroby Alzheimera, cukrzycy

Z dnia na dzień stany zapalne stały się jednym z najpopularniejszych tematów badań medycznych. Okazuje się bowiem, że może zamiast różnych terapii skierowanych na zwalczanie konkretnych dolegliwości: chorób serca, raka, schorzeń neurodegeneracyjnych czy cukrzycy, wystarczy jeden sposób na wiele chorób – usunięcie stanu zapalnego.

Co to jest stan zapalny? To postawienie w stan gotowości komórek układu odpornościowego. Zgrupowanie ich i działanie w miejscu infekcji. Zwykle ma to na celu walkę z bakteriami, wirusami czy pasożytami. Zdarza się jednak, że „w dobrej wierze” nasz układ obronny może nam bardziej zaszkodzić, niż pomóc. W wyniku jego działań mogą wywiązać się najrozmaitsze choroby.

Odkryto, że chroniczne zapalenie może prowadzić do ataków serca, a nawet wylewów krwi. U osób dotkniętych chorobą Alzheimera stan zapalny niszczy komórki nerwowe w mózgu. Może też przyczyniać się do rozpowszechniania w organizmie wynaturzonych komórek i ułatwiać przekształcanie ich w komórki rakowe.

Mechanizm zapalenia

Aby lepiej zrozumieć całe zamieszanie, dobrze jest wiedzieć nieco więcej o tej podstawowej reakcji obronnej organizmu.

Jak to się zaczyna? Wyobraźmy sobie, że w palec wbija nam się drzazga. Specjalne komórki-strażnicy rozstawione na rubieżach całego organizmu natychmiast ostrzegają system odpornościowy o obecności bakterii, które próbują wtargnąć razem z drzazgą.

Część tych komórek-strażników (nazywa się je komórkami tucznyimi) wydziela substancję chemiczną zwaną histaminą, która sprawia, że okoliczne drobne naczynia krwionośne stają się nieuszczelnne i przeciekają.

To ułatwia przedostanie się do miejsca zakażenia grupom szturmowym – makrofagom. One otaczają i „pożerają” wroga, jednocześnie wydzielając kolejne substancje (cytokiny). To znak dla organizmu, że strażnicy potrzebują wsparcia. Wkrótce na miejsce urazu przybywa cała armia komórek, które niszczą zarazki i zajęta przez nie tkankę.

Strażnik naszego organizmu – makrofag (biały) „pożera” bakterie (żółte) dwinki rzeżączki

SPALANAS WEWNĘTRNY OGIEN

CHRISTINE GORMAN, ALICE PARK, ERISTIRIA DELL

JAK MOŻESZ SIĘ BRONIĆ
Zgubne skutki stanów zapalnych można minimalizować za pomocą leków, diety, a nawet higieny jamy ustnej.

ASPIRYNA

Jest w stanie ograniczyć reakcje zapalne w naczyniach wieńcowych i jelicie grubym. Daje też obiecujące wyniki w ograniczaniu stanów zapalnych w mózgu osób chorych na alzheimera.

STATYNY

Leki, które nie tylko obniżają poziom cholesterolu, lecz także zmniejszają poziom białka CRP i innych białek występujących w stanach zapalnych.

ĆWICZENIA

Komórki tłuszczowe to wydajne fabryki produkujące czynniki zapalne. Wynikiem tego może być cukrzyca, nadciśnienie, choroby serca. Spalanie kalorii prowadzi do ograniczenia komórek tłuszczowych.

MAŁO TŁUSZCZÓW

Nie jest jasne, które tłuszcze spożywcze najlepiej walczą ze stanami zapalnymi, ale nie od rzeczy jest unikać tłuszczów nasyconych w czerwonym mięsie i produktach mlecznych, a trzymać się ryb i olejów roślinnych.

OWOCE I WARZYWA

Im bardziej kolorowe, tym lepiej, ponieważ barwne rośliny mają najwięcej antyutleniaczy – doskonale zwalczających wolne rodniki produkowane w czasie stanów zapalnych.

NIĆ DENTYSTYCZNA

Choroby przyzębia, czyli tkanki otaczających i podpierających zęby, są wywoływane przez bakterie. Te same bakterie wydzielają toksyny, które rozprzestrzeniając się po organizmie, prowadzą do stanów zapalnych i chorób układu krążenia. We krwi osób z chorobami przyzębia wykrywa się wysoki poziom niektórych białek związanych z rozwojem stanu zapalnego. Regularne czyszczenie zębów może zmniejszyć ryzyko choroby dziesiąt i groźniejszych schorzeń.

Lekarze określają tę reakcję organizmu wrodzoną odpornością. Nawet tak prymitywne zwierzęta jak rozgwiazdy bronią się w ten sam sposób.

Wyższe organizmy rozwinęły też bardziej precyzyjny system obronny, który pomaga ukierunkowywać i wzmacniać tę reakcję. W trakcie życia stykamy się z wciąż nowymi bakteriami i wirusami. Nasz organizm uczy się je rozpoznawać i wytwarza przeciwciała wyspecjalizowane do walki z konkretnym drobnoustrojem (ten mechanizm wykorzystuje się na przykład w szczepionkach). To tak zwana odporność wyuczona. Mechanizmy odporności wrodzonej i wyuczonej wspólnymi siłami toczą zaciętą walkę, dopóki nie zostaną unicestwione wszelkie zarazki, jakie zdołały wtargnąć do organizmu.

Gdy sytuacja wydaje się opanowana, wydzielane są substancje hamujące stan zapalny. Obrońcy wycofują się i rozpoczyna się rekonwalescencja.

Problem pojawia się wtedy, kiedy z jakiejś przyczyny stan zapalny nie ustępuje i staje się chroniczny.

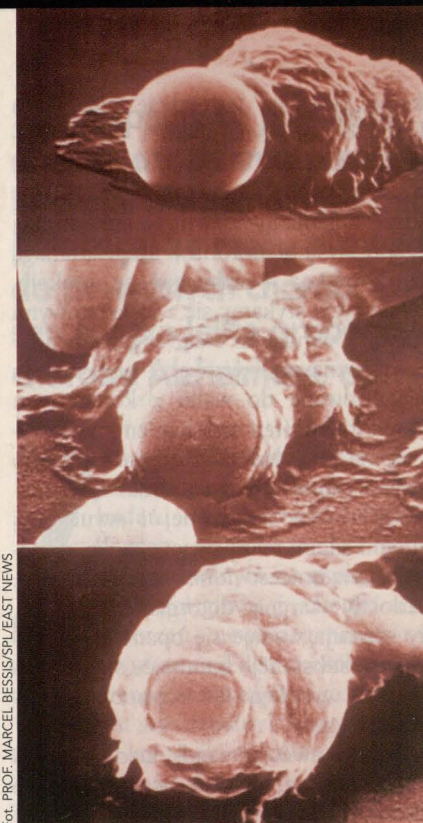
Gdy serce płonie

Kardiolodzy jako jedni z pierwszych zauważyli, że stan zapalny odgrywa kluczową rolę w chorobach serca.

Z upływem lat wnętrze głównych arterii zaopatrujących serce w krew (naczyń wieńcowych) zarasta odkładającym się na ich ściankach tłuszczem. Zmniejsza się światło naczynia krwionośnego, aż w końcu dopływ krwi do serca zostaje zablokowany. Materiał do owych blokad pochodzi z krążących we krwi cząsteczek o nazwie LDL, czyli tak zwanego złego cholesterolu. Osoby o wysokim poziomie LDL narażone są na większe ryzyko chorób serca.

Ta piękna teoria ma jedną wadę: aż połowa wszystkich ataków serca przydarza się ludziom o normalnym poziomie cholesterolu. Co więcej, okazuje się, że najgroźniejsze blokady cholesterolowe wcale nie muszą być wielkie. W wielu przypadkach do zawału dochodzi, gdy jakiś tajemniczy czynnik sprawia, że blaszki miażdżycowe wyścielające naczynia krwionośne nagle pękają, obtłupują się i zatykają naczynie krwionośne. Co wywołuje tę reakcję?

Już w latach 90. doktor Paul Ridker, kardiolog z Brigham and Women's Hospital, był przekonany, że odpowiada za to stan zapalny. Przeprowadzając badania krwi u pacjentów zagrożonych zawałem, zauważył, że niemal wszyscy mieli nieco podwyższony poziom pewnego białka. Nazywa się ono CRP albo białkiem ostrej fazy. Jest produkowane w wątrobie. Jego poziom podnosi się,



Sekwencja zdjęć pokazuje, jak makrofag „zjada” czerwoną krwinkę. Te ostatnie nie mają zdolności samonaprawy. Żyją tylko 120 dni. „Zużyte” są sprzątane przez makrofagi

Fot. PROF. MARCEL BESSIS/SPUEAST NEWS

torów w naczyniach. Stan zapalny sprzyja pękaniu tych zatorów, co powoduje ataki serca.

Dlatego kardiolodzy badają poziom tego białka u osób o stosunkowo wysokim ryzyku wystąpienia choroby naczyniowo-wieńcowej. Podwyższony poziom CRP pozwala na zastosowanie bardziej zdecydowanej terapii, na przykład aspiryną czy statynami.

Rak: rozszalałe rodniki

W latach 60. XIX wieku znany patolog Rudolf Virchow spekulował, że guzy rakowe rozwijają się w miejscach chronicznych stanów zapalnych. Sto lat później onkolodzy zwrócili większą uwagę na rolę, jaką w przeobrażeniu i w końcu rakowaceniu komórek odgrywają rozmaite mutacje genetyczne.

Dziś badacze sprawdzają, czy mutacje i stany zapalne nie wzmacniają procesu, który niekontrolowany jest w stanie przekształcić nasze komórki w śmiertelnie niebezpieczną tkankę rakową.

Jak może do tego dochodzić? Jedną z najgroźniejszych broni makrofagów i innych komórek układu odpornościowego biorących udział w stanie zapalnym są tak zwane wolne rodniki. Mają one za zadanie niszczyć DNA napotykanymi komórek, co ma prowadzić do ich śmierci. Choć pierwotnie przeznaczone są głównie dla wrogów organizmu, nie mają za dużo rozumu i jak się już rozpędzą, atakują wszystko na swojej drodze – także DNA własnych komórek.

Uderzenie wolnych rodników może prowadzić do mutacji genetycznej, która nie zabije komórki (choć taki był zamiar). Co więcej, pozwoli jej nadal rosnąć i dzielić się. – Nadmierny wzrost to jeszcze nie guz rakowy – mówi Lisa Coussens, biolog specjalizujący się w chorobach nowotworowych z Cancer Center na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco. – Ale system immunologiczny traktuje go jako intruza, którego należy się pozbyć. Na miejsce zostają wezwane komórki układu odpornościowego – wyjaśnia Coussens. – Pojawiają się i ze wszystkich sił dążą do zwycięstwa. Ale zamiast powodować gojenie, często karmią zwyrodniałe komórki.

Aspiryna na alzheimera?

Kiedy specjaliści od alzheimera przyjrzeni się bliżej, kto zapada na tę chorobę, wpadli na obiecujący trop: ci pacjenci, którzy brali przeciwzapalne leki na artretyzm lub choroby serca, zwykle później zapadali na alzheimera niż ci, którzy takich leków nie zażywali.

Za tę chorobę winę ponoszą najprawdopodobniej tak zwane komórki glejowe. To takie opiekunki neuronów (komórek nerwowych).

Mają im dostarczać jedzenie, sprzątać i komunikować się z nimi. Tymczasem, gdy coś się w nich zepsuje, prowadzą do tworzenia się w mózgu złożeń, które niszczą komórki nerwowe, powodując demencję.

Naukowcy odkryli, że komórki glejowe mogą też działać podobnie jak komórki tuczne – produkować wywołujące stan zapalny cytokiny, które wzywają do działania kolejne komórki układu immunologicznego.

– Komórki glejowe próbują przywrócić mózg do normalnego stanu – wyjaśnia Linda Van Eldik, neurobiolog z Akademii Medycznej Feinherga na Northwestern University w Chicago. – Ale z jakiego powodu w przypadku chorób degenerujących tkankę nerwową, takich jak alzheimera, ten proces zaczyna się wymykać spod kontroli. Komórki glejowe stale są aktywne, co daje w efekcie stan zapalny.

Wydaje się, że część ludzi jest bardziej wrażliwa na odkładające się w mózgu substancje. Być może to kwestia predyspozycji genetycznych. A może to sprawa długotrwałych infekcji bakteryjnych, które prowadzą do chronicznego stanu zapalnego.

Wstępne badania sugerują, że niewielkie dawki aspiryny i kapsulek z rybim olejem (oba środki ograniczają działanie zapalnych cytokin) najwyraźniej zmniejszają ryzyko zachorowania na alzheimera. Niestety, owe środki zapobiegawcze należy stosować dużo wcześniej, nim pojawią się problemy neurologiczne.

– Niezwykle trudno jest poprawić stan osób, które już zapadły na demencję – mówi doktor Ernst Schaefer, profesor medycyny i żywienia w Szkole Żywności Tufts’a Friedman w Bostonie. – Ale być może da się ustabilizować stan pacjentów jeszcze przed demencją i zapobiec chorobie.

Naukowcy badają dziś wiele leków przeciwzapalnych. Sprawdzają, jak już znane (na przykład aspiryna) będą sobie radzić w naszych chorobach, i wynajdują nowe specyfiki, które potrafią bardziej precyzyjnie likwidować stany zapalne. Tymczasem, aby ugasić nasz wewnętrzny ogień, możemy sami dla siebie zrobić kilka rzeczy. Część porad może wydać się dziwnie znajoma, ale są nowe powody, by ich udzielać.

CHRISTINE GORMAN, ALICE PARK, ERISTIRIA DELL
WSPÓŁPRACA DAN CRAY, LOS ANGELES

© 2003. TIME INC. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. TŁUMACZENIE I PRZEDRUK Z „TIME MAGAZINE” ZA ZGODĄ TIME INC. POWIELANIE CAŁOŚCI LUB CZĘŚCI ARTYKUŁU W JAKIKOLWIEK SPOŚÓB I W JAKIKOLWIEK JĘZYKU BEZ UPRIEDNIEJ PISEMNEJ ZGODY TIME INC. JEST ZABRONIONE

15 MARCA
SUN RA ARKESTRA
OPERA ŚLĄSKA W BYTOMIU

info: tel. 32/ 257 09 19 • www.jazzrazporaz.pl

40. WROCŁAWSKI FESTIWAL JAZZOWY
Jazz nad Odrą
WROCŁAW 19-21 marca 2004

19 MARCA 2004
PRZEGLĄD KONKURSOWY
MAJEWSKI QUINTET "ZAMYŚLENIE" + goście specjalni
BIG BAND ALEKSANDRA MAZURA + goście specjalni

20 MARCA 2004
GRAZYNA AUGUŚCIK, PAULINHO GARCIA
i gość specjalny JANUSZ MUNIAK

21 MARCA 2004
ROZDANIE NAGROD LAUREATOM KONKURSU
LIZZ WRIGHT
PATRICIA BARBER

W ramach Festiwalu "JAZZ NAD ODRA NOCĄ" wystąpią:
PINK FREUD JACEK KOCHAN & CO



GIANT Giant Polska sp. z o.o., ul. Migdałowa 4, 02-796 Warszawa, tel. 22/ 645 14 34, fax 22/ 645 14 36, e-mail: info@giant-polska.com.pl, www.giant-bicycles.com

www.terytoria.com.pl

ANNA BOLECKA
Biały kamień
słowo / obraz terytoria

słowo / obraz terytoria
zimowa premiera
3 marca 2004

Anna Bolecka
Biały kamień
Mit, czas, historia.
Powieść o dzieciństwie,
dojrzewaniu i śmierci.

Patronat medialny
PRZE KROJ
poleca kulturalnie
AKTIVIST
www.aktivist.pl
wp.pl

**Nie zaśmieci elewacji**

Uniwersalna antena wewnętrzna ANT 950 firmy THOMSON nie oszpeca mieszkania i nie zaśmieca elewacji. Dzięki wbudowanemu wzmacniaczowi poradzi sobie nawet ze słabym sygnałem.
140 złotych
www.thomson.pl

Bez podłokietników

Fotel M2 zaprojektowany przez Thomasa Meyerhoffera dla firmy CAPPELLINI wyściełany jest mięciutkim poliuretanem. Nie ma podłokietników, za to można dokupić do niego podnóżek. Dostępny w kolorze białym, srebrnym i pomarańczowym.
10 300 złotych
W salonach Idea+Forma

**Stabilny obraz**

Kamera CANON MV700 z 18-krotnym zoomem optycznym i czujnikiem 800 tysięcy pikseli obejdzie się bez statywu, bo jest wyposażona w stabilizator obrazu, który ogranicza frustrujące drgania podczas filmowania.
2400 złotych
www.canon.pl

**Odporny na wstrząs**

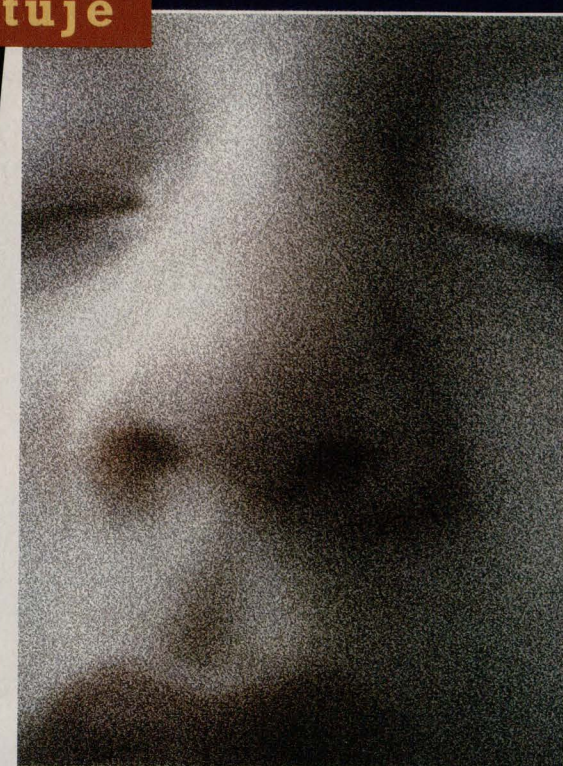
Idealnie okrągły przenośny odtwarzacz CD i MP3 ATRAC firmy SONY nie boi się wstrząsów. 200-sekundowy bufor G-protection zapewni nieprzerwaną pracę w najcięższych warunkach. A oprogramowanie SonicStage 2,0 umożliwi nagranie 30 płyt CD na jednej płycie CD-R.
719 złotych
www.sony.pl

**Otwarty tygrys**

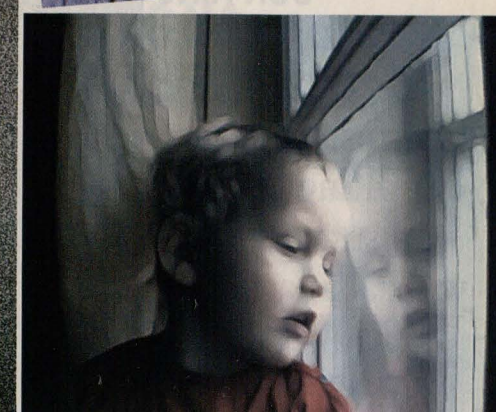
OPEL TIGRA TWIN TOP to dwuosobowy kabriolet coupé z największym w swojej klasie bagażnikiem o pojemności 440 litrów. Tyle przestrzeni zapewnia składany elektrohydraulicznie dach, który chowa się pionowo za siedzeniem, a nie – jak w innych kabrioletach – w bagażniku.
W salonach jesienią 2004 roku.
www.opel.com.pl

[popmoda]

FOT. BOGDAN KRZEL, AGATA PANKIEWICZ, MAREK... SERWIS FIRMOWY (7)



Zdjęcia zrobione telefonami Motorola były pokazane na wystawie, którą przygotowali Jennifer Kabat (krytyk) i Aleksander Ante (fotografik)

**Zakazane zdjęcia**

Rynek komórek opanowało nowe szaleństwo – telefony z wbudowanymi aparatami fotograficznymi. Producenci sprzętu i operatorzy sieci zacierają ręce, ale niedługo radosny rozwój nowej technologii może napotkać niespodziewane kłopoty. Wszystko za sprawą komórkowych podglądaczy. W Internecie nietrudno znaleźć pornograficzne strony pełne zdjęć robionych ukradkiem w basenowych przebieralniach czy klubowych toaletach.

Na ochronę – przystawka

W niektórych krajach tamę tej radosnej twórczości postanowiło postawić państwo. Tak dzieje się w Korei Południowej. Tamtejsze ministerstwo komunikacji nakazało, by każdy telefon w momencie wykonywania zdjęcia wydawał dźwięk o natężeniu co najmniej 65 decybeli. Policja ma prawo w razie podejrzenia sprawdzić każdy telefon. Jeszcze dalej poszły władze Arabii Saudyjskiej i Kuby – w obu tych krajach po prostu zakazano posiadania komórek z aparatami. Oczywiście

w pierwszym przypadku chodzi o kwestie obyczajowe, natomiast w drugim – polityczne. Reżim Fidela boi się, że ciekawi turyści sfotografują swoimi małymi telefonami coś, czego nie powinni.

Większość krajów jednak podchodzi do całego problemu spokojniej. Włosi wydali dość ogólne prawo zakazujące robienia zdjęć z ukrycia, w Wielkiej Brytanii wiele klubów czy basenów po prostu zabrania wnoszenia telefonów z aparatem. Problem w tym, że podobne przepisy trudno egzekwować – ochrona musi oglądać każdy telefon, a przecież do wielu z nich można po prostu podłączyć małą przystawkę z aparatem.

W Polsce jakoś się tym wszystkim na razie nie martwimy. Wręcz odwrotnie – w jednej z reklam telewizyjnych widać chłopaka przebranego za sprzątaczkę, który w damskiej szatni pstryka zdjęcia i wysyła je do kolegi. Co prawda na koniec łapie go policja, ale wszystko odbywa się w tonie radosno-żartobliwym i jest raczej zachętą niż ostrzeżeniem.

Rozmywające ograniczenie

Jednak telefon z aparatem to tylko narzędzie – od nas zależy, jak je wykorzystamy. Niedawno w Krakowie odbyła się wystawa pod patronatem Motoroli. Grupa znanych fotografów dostała na dwa tygodnie telefony tej firmy z prośbą o wykonanie ciekawych zdjęć. Nie narzucano im tematu, jedynym ograniczeniem były możliwości techniczne telefonu. Efekty okazały się zaskakujące – mimo że jakość niedużych zdjęć nie jest wybitna, artyści wykorzystali to charakterystyczne rozmycie obrazu, tworząc trochę senne, nastrojowe fotografie.

PIOTR STANISŁAWSKI



Andrzej Gołota wraca. Najślynniejszy bokserki promotor **DON KING** zapowiada, że zrobi z niego mistrza świata. Don King sam jest mistrzem świata w działaniach dość kontrowersyjnych

KRÓL Z WULGARNYM JĘZYKIEM

Uparty, ambitny, konsekwentny, nie boi się wyzwań i ryzykownych przedsięwzięć. Liczy się dla niego tylko sukces, czyli – wielkie pieniądze. Przeciwnicy nazywają go pogardliwie hieną, lecz większość rodaków uważa go za gwiazdę i spełnienie amerykańskiego snu: z pucybuta milioner. Dlatego chcą nazywać jego imieniem ulice. I są w stanie wybaczyć mu wszystko, nawet zbrodnie.

BEZWZGLĘDNY I GROŹNY

15 września 2001 r. miał się odbyć pojedynek Portorykańczyka Feliksa „Tito” Trinidada z Amerykaninem Bernardem Hopkinsem o tytuł mistrza świata wagi średniej. Po zamachu na WTC walka najpierw miała być odwołana,

ostatecznie przełożono ją o dwa tygodnie. Don King, który organizował mecz, stawał na głowie, by pojedynek się odbył. – Nie pozwolmy, by terroryści wygrali raz jeszcze – nawoływał.

Przed poprzedzającą walkę konferencją prasową w San Juan (Portoryko) Hopkins połamał portorykańską flagę, którą trzymał Trinidad. Cudem uniknął linczu. Uciekł helikopterem. Afera wzbudziła ogromne emocje i zainteresowanie kibiców przed meczem, który stał się kolejnym kasowym sukcesem. To Don King miał namówić obu zawodników, żeby upozorowali awanturę na konferencji.

Urodził się 74 lata temu w czarnym getcie w Cleveland. W latach 60. zaczął robić karierę – w przestępczym świecie. Kilkrotnie aresztowano go za handel narkotykami i nielegalne po-

siadanie broni. W 1954 roku zastrzelił włamywacza, który próbował okraść jego kasyno gry. Został uniewinniony. W połowie lat 60. śmiertelnie pobił mężczyznę, który był mu winien pieniądze. Podobno dostał szału, gdy krew dłużnika ochlapała mu buty. Został skazany na cztery lata. Wyszedł po trzech i pół. Za krattami – jak głosi legenda – przysiągł, że zmieni swoje życie.

Zajął się organizacją walk bokserkich. Zorganizowany przez niego pojedynek pomiędzy George'em Foremanem a Muhammadem Alim w stolicy Zairu Kinszasie w 1974 roku pobił wszelkie rekordy oglądalności. Od zairkiego dyktatora Mobutu Sese Seko pięściarze otrzymali ogromne jak na tamte czasy wynagrodzenie – po pięć milionów dolarów.

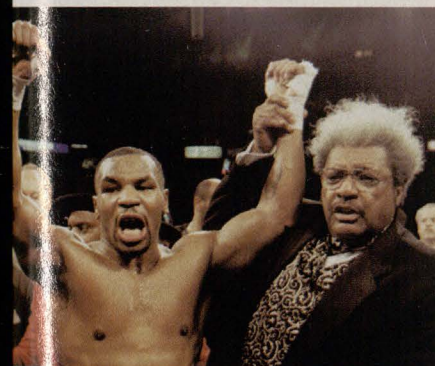
W świecie boksu Kinga okrzyknięto królem. Zorganizował ponad 500 widowisk. Wyhodował 40 mistrzów świata. Są wśród nich: Evander Holyfield, Felix Trinidad i Cory Spinks. Czy kolejnym będzie Gołota?

MÓWIĄ, ŻE KRADNIE

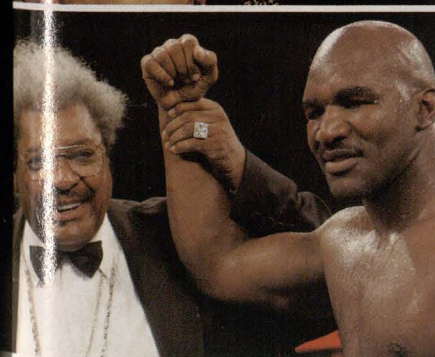
Andrzej Gołota podpisał niedawno z Kingiem trzyletni kontrakt. Ma walczyć o mistrzostwo świata w wadze ciężkiej. 10 kwietnia rozegra pierwszy pojedynek w kasynie Mandalay Bay w Las Vegas.

Jeszcze nie wiadomo, z kim zawalczy Gołota. – Niech się King martwi, kogo mi dać – mówi polski pięściarz. – Najlepiej, żeby walczył z kimś, komu wleję. Muszę tylko zapieprzać na treningach.

Don King nie ma dobrej opinii wśród bokserów. Jego byli podopieczni często wytaczają mu procesy i twierdzą, że ich okradł. Tyson żąda



Don King organizował mecze najlepszych i najsłynniejszych. U góry z Mikiem Tysonem, u dołu z Evanderem Holyfieldem



Fot. REUTERS/FORUM (2)

100 milionów dolarów, Julio Cezar Chavez 350 tysięcy, Tim Witherspoon mówi, że King nie zapłacił mu za walkę z Thomasem Pinklonem. – Zaczęłam mieć z nim kłopoty. A kiedy masz kłopoty z Kingiem... O, chłopie, to masz przechlapane – powiedział Witherspoon w jednym z wywiadów. – Zapisali mnie na czarną listę. On za to będzie się smażył w piekle.

– Wszyscy mówią, że okradam bokserów. Przecież oni przychodzili do mnie z niczym – dziwi się King. – Z czego miałbym ich okradać, skoro nie mieli nawet co na siebie włożyć?

Przytakuje mu dawna bokserka sława Larry Holmes. – Zarabiałem więcej pieniędzy z Kingiem, który mnie okradał, niż gdybym dostawał sto procent wynagrodzenia od każdego innego promotora.

Menedżer Andrzeja Gołoty Ziggy Rozalski uważa, że King ich nie oszuka. – Podpisaliśmy bardzo dobry kontrakt – mówi. – Przed każdą walką będziemy negocjować wynagrodzenie.

Kilka lat temu Gołota nie chciał wejść w spółkę z Kingiem. Być może po ostatnich niepowodzeniach potraktował promotora jako swoją ostatnią szansę na zdobycie mistrzostwa świata.

Po podpisaniu kontraktu z Polakiem Don King oświadczył: – Bóg mnie dziś oświecił Gołota chce, żeby walczył z nim mistrza. Zrobię. Jeżeli nadal będzie bił poniżej pasa, to chwycę kij golfowy i sam go nim zdzielę. A ty – dodał, zwracając się do Rozalskiego – dołożysz mu stołkiem.

Gołota uważa, że King to niesamowicie inteligentny człowiek. – Mimo 74 lat nic nie stracił ze swej bystrości i przebiegłości. Muszę uważać na tego dziarskiego staruszka – mówi.

AMERYKAŃSKI WZÓR

W 1993 roku King trafił do Księgi Guinnessa, gdy na zorganizowany przez niego mecz na stadionie w stolicy Meksyku przybyło 136 tysięcy widzów. Poprzedni rekord wyniósł 132 tysiące. Przed telewizorami gromadzi miliony.

W 1997 roku został uznany za jednego z 40 najbardziej wpływowych ludzi w sporcie w ciągu ostatnich 40 lat. „The New York Times” zaliczył go z kolei do grona stu czarnych Amerykanów, którzy mieli najbardziej pozytywny wpływ na historię Ameryki w ostatnim stuleciu.

Amerykanie nie zapominają, że King bierze udział w imprezach charytatywnych, a na pomoc dla szpitali i przytułków dla ubogich przeznaczają grube miliony dolarów. Zachwycają się też jego karierą. Pojawił się nawet pomysł, by imieniem Kinga nazwać jedną z ulic w Atlantic City. Zwolennicy przekonywali, że może on służyć jako przykład dla młodzieży. – Młody bandzior stał się szanowanym obywatelem, człowiekiem sukcesu – argumentowali.

King szybko zdobywał popularność. Jego zdjęcia pojawiały się na okładkach największych magazynów. A on sam chętnie brał udział w telewizyjnych i radiowych talk-show i dyskusjach. Do dziś szokuje rozczochraną fryzurą i językiem pełnym wulgaryzmów.

Za wzór do naśladowania, oprócz sukcesów w biznesie, służy jego ustabilizowane i spokojne życie rodzinne. Jest dbającym mężem, ojcem i dziadkiem. Mieszka na Florydzie z żoną Henriettą. Ma trójkę dzieci: dwóch synów Carla i Erica, córkę Debbie i pięcioro wnucząt.

Mimo dość zaawansowanego wieku King nie zamierza zwalniać tempa i rozstać się z karierą promotora. Mówi, że ma plany na najbliższych parę lat. Ostatnio zaczął namawiać 55-letniego George'a Foremana, by schudł 25 kilogramów i wrócił na ring. Obiecał mu za walkę 20 milionów dolarów. Miałaby się ona odbyć 30 października – dokładnie w 30. rocznicę walki Foreman – Muhammad Ali w Kinszasie.

DOROTA SAJNUG



KING NA OSTATNIE LATA

Rozmowa z **PRZEMYSŁAWEM SALETĄ**, mistrzem świata w kick boxingu i zawodowym mistrzem Europy w boksie

DOROTA SAJNUG: Dlaczego Andrzej Gołota dopiero teraz zdecydował się na współpracę z Donem Kingiem?

PRZEMYSŁAW SALETA: Bo to już ostatnie lata jego kariery. Ma jeszcze szanse na zdobycie mistrzowskiego tytułu. A King jest uznawany za człowieka, który w boksie może załatwić niemal wszystko. Mam na myśli załatwienie przeciwnika o światowej sławie, ale takiego, którego Andrzej mógłby pokonać. Skąd pewność, że to akurat Gołota ma być tym, który wygra? – Wszystko wskazuje na to, że King Andrzeja faworyzuje i że zależy mu na nim.

A może King liczy po prostu na widowisko z udziałem Gołoty, na którym mógłby zarobić duże pieniądze... I nie jest ważne, kto wygra, a kto przegra.

– Nie wykluczam takiej możliwości. Oczywiście, że przede wszystkim liczy się dobry show, na który ludzie wykupią bilety. King jest niebezpieczny głównie dla młodych, zdolnych i spragnionych pieniędzy i sławy zawodników, którzy podpiszą każdą umowę, nawet za pięć tysięcy dolarów. Umie wykorzystywać ludzi. Andrzej i jego menedżer do takich nie należą. Znani są z tego, że liczą każdy grosz.

Więc decyzja Gołoty była słuszna. – Tak. King jest obecnie najlepszym na świecie promotorem. To cwaniak kuty na cztery nogi. Zna się na boksie i ma doskonałe podejście do zawodników. Oczywiście wtedy, kiedy chce. Poza tym Andrzej nie miał specjalnie wyjścia. King nie boi się kontrowersyjnych pięściarzy, a Gołota u innych promotorów jest spalony.

ROZMAWIAŁA DOROTA SAJNUG

LUDZIE SĄ SMACZNI

OLGA WOŹNIAK

Dwa afrykańskie lwy ludojady zabiły blisko 130 osób. Teraz, po stu latach, w miejsce kaźni powraca badacz o tym samym nazwisku co ówczesny pogromca drapieżników. Nie zabija. Odkrywa tajemnice groźnych zwierząt

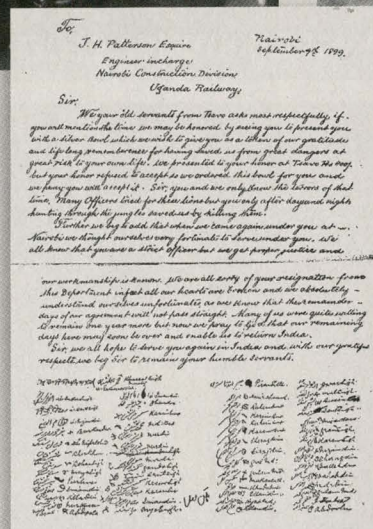
Duch i Mrok, lwy ludojady terroryzujące pod koniec XIX wieku robotników pracujących przy afrykańskiej linii kolejowej. Ich wygląd odtworzono na podstawie zachowanych skór i czaszek. Można je oglądać w muzeum Field w Chicago

Fot. DZIEKI UPRZEJMOSCI THE FIELD MUSEUM, CHICAGO (3)



Powyżej: Pułkownik John Patterson

Obok: List dziękczynny robotników, którzy pracowali na budowie Pattersona



Jeden z ludojadów z Tsavo ze swoim pogromcą. Potężne zwierzę musiało nieść aż dziewięciu ludzi



Kroki pułkownika zachręściły na dywanie z kości. Wiele spośród nich było ludzkich

Wtem przez gwar budowy przedał się straszny krzyk. Ludzie przerwali swoje zajęcia. Pobiegli w tamtą stronę. W jednym z najbardziej wysuniętych w sawannę punktów budowy ziemia znaczyła smuga krwi. Ginęła w rozkołysanych trawach. Kilku mężczyzn uzbrojonych w strzelby i noże ostrożnie weszło w sawannę. Nie uszli daleko. Nad rozszarpanymi zwłokami hinduskiego robotnika brzęczało kilka much. Miejscowy lekarz przeprowadził sekcję. – Tego człowieka zaatakowało wielkie zwierzę – orzekł. – Po śladach pazurów i kłów można sądzić, że to lew.

Przychodziły jak duchy, najpierw tylko po zmroku, coraz częściej atakowały jednak za dnia. Z czasem głodne bestie rozruchwały się na tyle, że wyciągały śpiących robotników z namiotów. Nigdzie, o żadnej porze nie można było czuć się bezpiecznie. Nie pomagało kolczaste ogrodzenie obozu, lwy nie były się rozpalanych przy namiotach ognisk.

Ludzie zaczęli szemrać. Do otwartego buntu doszło, gdy liczba ofiar sięgnęła 30. Budowa stanęła. Nikt nie miał zamiaru narażać życia dla jednego mostu.

John Patterson nie należał jednak do ludzi, którzy łatwo się poddają. Był dobrym myśliwym. W deszczowej Anglii częściej miał co prawda sposobność strzelania do lisów i kuropatw niż do lwów, jednak nie mógł dopuścić, by jego budowa utknęła w miejscu.

Zaczął tropić ludojady. Okazało się, że lwy są dwa. Idąc ich śladem, niecałą milę od trasy kolei Patterson natknął się na jaskinię, która wydała mu się schronieniem lwów. Kroki pułkownika zachręściły na dywanie z kości. Wiele spośród nich było ludzkich. Niektóre – sądząc po pozostałych strzępach ubrań – należały do tubylców.

Obóz budowniczych kolei. Pułkownik Patterson przed swoim namiotem. Był dumny z tego, że nie krył się za żadnym ogrodzeniem



Nazwano je Duch i Mrok. Kim były? Miejscowemu mówili, że to duchy szamana, który chce zatrzymać marsz białego człowieka przez Afrykę. O ich przybycie oskarżano też diabła. Były ziemi, które krążyły po Tsavo. Dlaczego wybrały właśnie to miejsce? Bo Tsavo znaczy „miejsce kaźni”.

Tę nazwę wioska w Kenii dostała setki lat wcześniej, nim zasłynęła z jedynych na świecie lwów ludojadów. Tutejsze plemiona opowiadały, że pojawiały się tu duchy przodków domagające się ofiary z ludzkiej krwi. W 1898 roku duchy przyjęły postać dwóch bezgrzywych lwów. W ich żołądkach miało zginąć 130 osób.

POCIĄG NA KSIĘŻYC

Pod koniec XIX wieku Wielka Brytania zajmuje kolejne afrykańskie tereny. Brytyjska

Kompania Wschodnioafrykańska obejmuje protektoratem dzisiejszą Ugandę, a z pozostałymi lokalnymi państwami zawiera umowy gwarantujące Brytyjczykom wpływ na politykę wewnętrzną. Brytyjski rynek zyskuje nowe tereny do eksploatacji. Nie jest to jednak proste. Trasy handlowych karawan wiodą przez niebezpieczne tereny. Wędrujących kupców niepokoją dzikie zwierzęta i wrogo nastawieni tubylcy.

Pojawia się pomysł wybudowania na Czarnym Łądzie linii kolejowej, która stanie się symbolem dominacji Korony i połączy podległe jej ziemie. Trasa wiedzie od stolicy Brytyjskiej Afryki Wschodniej Mombasy do leżącego nad Jeziorem Wiktorii Kisumu.

W tym celu rząd brytyjski sprowadza do Afryki z Indii 35 tysięcy robotników. Linia

kolejowa posuwa się szybko. Dziennie przybywa po trzy kilometry torów.

Gdy trasa dochodzi do rzeki Tsavo leżącej na terytorium dzisiejszej Kenii, na plac budowy przybywa brytyjski inżynier – pułkownik John Patterson. Specjalizuje się w budowie mostów.

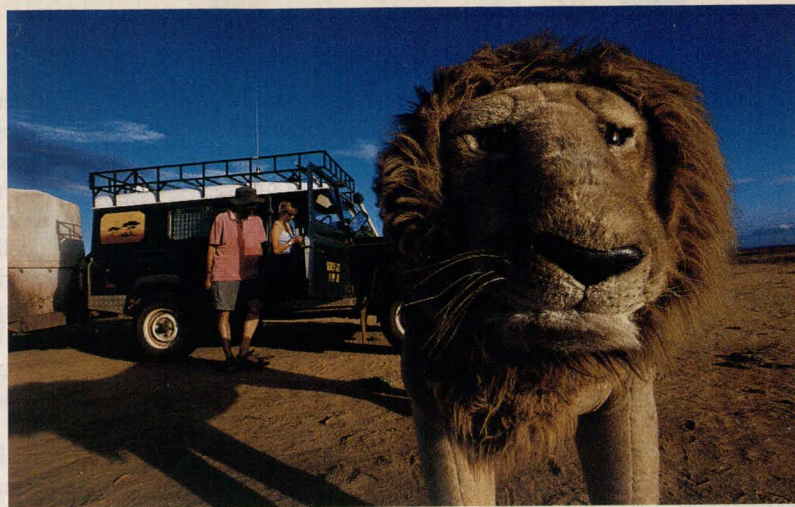
Pułkownik Patterson jest idealistą, marzy cięciem. Afryka wydaje mu się rajem na ziemi. Budowa mostu ma małej rzece nabiera dla niego znaczenia symbolicznego. „Połączę dwie ziemie, dwa narody – afrykański z brytyjskim” – pisze w dzienniku.

Na razie jednak z obozu robotników znikają ludzie. Po prostu giną bez śladu. Patterson podejrzewa, że uciekają. Praca jest ciężka – nie bez powodu linia Mombasa – Kisumu zyskuje mało pochlebny przydomek „Księżycowego ekspresu”.

Jej trasa wiedzie przez istic księżycowy krajobraz. Dla wielu robotników jest ziszczeniem nocnych koszmarów. Upał, susza, nieprzyjazne tereny afrykańskiej sawanny. Pracujących przy budowie robotników nękają plemiona, na których terytoria wdiera się linia kolejowa. Wielu nie wytrzyma tych warunków. Umiera. Pochowani są byle jak, byle szybciej. Czasem nie grzebie się ich wcale, tylko porzuca w trawach sawanny, a budowa posuwa się dalej. Nic dziwnego, że zdarzają się ucieczki.

DUCH I MROK

Ten dzień nie różnił się niczym od poprzednich. John Patterson nadzorował budowę mostu, część robotników zajęła się kładzeniem torów po drugiej stronie rzeki.



Obok: Specjaliści prowadzili badania bezgrzywych lwów, konfrontując je z modelami „grzywiastych” kuzynów

Dziś na terenie zamieszkiwanym przez lwy ludojady utworzono Kenijski Park Narodowy. Lwy nadal napadają na ludzi



FOT. ROBERT CAPUTO/INPA/ROBORA/PROGRESS (2)

Patterson postanowił zastawić pułapkę na krwiożercze zwierzęta. Wiele nocy spędził na drzewie, wypatrując w mroku sylwetki drapieżnika. Wreszcie udało mu się zastrzelić jednego z nich. Lew był ogromny. By go unieść, potrzeba było dziewięciu ludzi. Minęło wiele kolejnych dni, przybyło ofiar, gdy – mało nie przyplacając tego życiem – pułkownik zastrzelił drugie zwierzę. Zbudował specjalną platformę, na której czekał, stanowiąc żywą przynętę. Poza skórami i czaszkami lwów, które zabrał na pamiątkę, po tym spotkaniu został mu ślad kłów i pazurów na nodze.

Most na rzece Tsavo ukończono. Budowa „Księżycowego ekspresu” dobiegła końca w roku 1901.

Co tymczasem działo się z Johnem Pattersonem? Napisał cztery książki, wygłosił kilka odczytów dotyczących wydarzeń z Tsavo. Skóry lwów i ich czaszki podarował The Field Museum w Chicago, gdzie do dziś można oglądać zrekonstruowane na ich podstawie zwierzęta.

Gdy wybuchła I wojna światowa, pułkownik walczył w brytyjskich oddziałach. Zmarł w roku 1947. Ale to nie koniec historii lwów z Tsavo. Sto lat po pułkowniku Johnie Pattersonie w Tsavo pojawił się doktor Bruce Patterson, zoolog z The Field Museum.

– Z Johnem Pattersonem nie łączy mnie żadne pokrewieństwo – to chyba najczęściej powtarzane przez zoologa zdanie. Czy sprawił to jednak duchowy spadek po Pattersonie, czy zwykły przypadek, dość, że Bruce Patterson również związał swoje życie z lwami ludojadami. Właśnie ukazała się książka jego autorstwa, w której stara się wyjaśnić wiele związanych z nimi zagadek.

A lwy? Myliłby się ten, kto sądziłby, że wraz ze śmiercią Ducha i Mroku zniknął strach przed ludojadami. Lwom z Tsavo nadal zdarza się próbować ludzkiego mięsa. Będzie to trwało tak długo, jak długo będzie żyć w tych okolicach choć jeden lew.

Dlaczego lwy zaczęły polować na ludzi? Można powiedzieć, że sami podaliśmy się im na tacy

LUDZIE PODALI SIĘ NA TACY

– Lwy to jedyne koty, które żyją w stadzie – mówi doktor Anna Złamał zajmująca się drapieżnikami w warszawskim zoo. – Jeśli nauczą się polować na jakiegoś zwierzę, przekazują sobie tę wiedzę. Samice uczą młode, jak podchodzić do ofiary, jak ją atakować. Ten wzorzec utrwała się wśród wielu zwierząt zajmujących określone terytorium. Choć trzeba przyznać, że koty rzadko polują na ludzi. Niełatwo namówić je do zmiany menu. Jeśli przyzwyczają się jeść określony rodzaj mięsa, muszą zająć naprawdę poważne okoliczności, by zmieniły upodobania.

Jak to się stało, że lwy z Tsavo zaczęły polować na ludzi? Teorii jest kilka. Z wszystkich jednak wynika jasno, że to sami ludzie je do tego skłonili.

Wszystko zaczęło się w latach 80. XIX wieku. Wtedy przez wschodnią Afrykę przeszła zaraza (być może przywleczone tu razem z bydłem białych ludzi), która zdziesiątkowała stada dzikich antylop, zebr i gazelii stanowiących dotąd głów-

ne pożywienie lwów. Zwierzęta musiały poszukać czegoś innego. Można powiedzieć, że wtedy sami podaliśmy się im na tacy.

Zanim między Mombasą a Kisumu powstał szlak kolejowy, trasę tę przemierzały karawany handlowe. Bardzo często prowadziły niewolników. Gdy ci chorowali albo stąbli, nikt nie zawracał sobie nimi głowy. Porzucano ich na sawannie – zmarłych nie grzebano w ziemi. Stanowili łatwą ofiarą dla wygłodniałych zwierząt.

Powód drugi: w latach 1880–1890 nieopodal Tsavo znajdowała się wioska tubylców. Trzy czwarte jej populacji zginęło z powodu przywiezionej przez białych czarnej ospy. Zmarłych było tak wielu, że nikt ich nie chował. Zwłokami szybko zainteresowali się padlinożercy – za nimi przybyły lwy.

Trzeciej przyczyny rozsmakowania się drapieżników w ludzkim mięsie badacze upatrują w zwyczajach pogrzebowych tubylców. Ludy te nie chowały zmarłych w ziemi. Zostawiały ich w jaskiniach, w pozycji siedzącej.

Niewykluczone, że właśnie taki „grobowiec” znalazły dwa lwy z Tsavo. Gdy skończyły im się „zapasy”, postanowiły zapolować na żywe ludzkie mięso, które w sporej liczbie uwijało się nieopodal ich kryjówek.

Poczuły się tym bardziej zachęczone, że odkrywały porzucone przy torach ciała zmarłych robotników.

Człowiek okazał się łatwą zdobyczą. Prawdopodobnie pierwsze smaku ludzkiej krwi zakosztowały lwy słabe i chore, które nie były w stanie upolować czegoś większego. Ludzie zaś byli odpowiednio słabi. Z badań stomatologicznych wynika, że część ludojadów miała chore zęby, tak że nie mogły złapać większej i silniejszej ofiary za kark – jak zwykle to robią. Być może od nich polowania na ludzi nauczyły się także zdrowe lwy.

ŁATWA ZDOBYCZ

Biorąc pod uwagę, jak łatwo nas upolować, dziwi fakt, że tak rzadko drapieżniki włączają nas do swego menu. – Jesteśmy bardzo niety-

powymi zwierzętami – mówi doktor Anna Złamał. – Chodzimy na dwóch łapach, a pozostałymi dwoma wymachujemy, wydajemy głośnie dźwięki, krzyczymy. Subiektywnie wydajemy się kotom więksi od nich – normalnie więc raczej nas unikają.

Poza lwami z Tsavo znane są jeszcze jedne drapieżniki ludojady. To tygrysy bengalskie z Indii.

Stada żyjące u ujścia Gangesu w lasach mangrowych w ciągu jednego roku w XIX wieku zabiły ponad tysiąc Hindusów. W Indiach opowiada się o zwierzęciu, które zabiło 430 osób. Do dziś w tych okolicach zdarzają się napaści tygrysów na ludzi.

Koty polują w bardzo specyficzny sposób. Podkradają się do ofiary od tyłu, niepostrzeżenie. Dlatego, by je zmylić, próbowano różnych sztuczek. Ludzie z indyjskich wiosek nosili na przykład z tyłu głowy maski imitujące twarze. Rozstawiano także elektryczne manekiny ubrane jak wieśniacy. Nie skutkowało. Podobnie nieskuteczne wobec lwów

z Tsavo okazywały się metody wypróbowywane w Indiach na tygrysach.

GRZYWA GRZEJE

Pierwsze poważne badania afrykańskich drapieżników rozpoczęto sześć lat temu. Doktor Bruce Patterson z grupą ochotników pojechał do Afryki studiować zachowanie i fizjologię tych zwierząt. Oprócz ich „ludożerności” chciał rozwiązać jeszcze jedną zagadkę: dlaczego lwy z Tsavo nie mają grzyw?

U ogromnej większości lwów samce wyróżniają się bujną grzywą. Do czego im służy? Po pierwsze, świadczy o ich atrakcyjności. Im piękniejsza i bujniejsza, tym bardziej można się spodziewać, że noszący ją samiec jest zdrowy. To ważny sygnał dla lwicy szukającej partnera. Grzywa to także sygnał siły istotny dla ewentualnych rywali. Sprawia, że samiec wydaje się większy i groźniejszy.

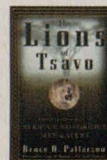
A jednak lwy z Tsavo zrezygnowały z tej ozdoby. Czy ma to jakiś związek z ich kulinarnymi upodobaniami?

Nie jest to wykluczone. Z badań doktora Pattersona wynika bowiem, że ta odmiana lwów ma znacznie więcej testosteronu – męskiego hormonu – niż ich inni afrykańscy kuzyni. To może być powodem utraty grzywy, gdyż testosteron powoduje mniejsze owłosienie głowy, o czym dobrze wiedzą mężczyźni na próżno walczący z powiększającymi się zakolami. Testosteron jest też odpowiedzialny za zwiększenie agresji – dlatego lwy obdarzone większą jego ilością mogły znaleźć w sobie więcej odwagi, by zaatakować dziwne dwunożne zwierzę, jakim jest człowiek.

To oczywiście tylko jedna z hipotez. Inna mówi, że brak grzywy może być wynikiem warunków naturalnych, w jakich przyszło żyć tym lwom. Ich sawannę porastają wyjątkowo gęste trawy i kłujące krzewy. Lwy z grzywami wplątywałyby się w nie, co znacznie utrudniałoby im polowanie. W tym rejonie Afryki jest też wyjątkowo gorąco i sucho – lżej oddycha się bez ciepłego szala z włosów.

Być może poznamy kiedyś wszystkie tajemnice lwów ludożerców. Badania trwają. Tymczasem okazy zastrzelone przez pułkownika Johna Pattersona możemy podziwiać na wystawie w chicagowskim muzeum.

Jest też dobra wiadomość dla szczególnie zainteresowanych sprawą. Co roku doktor Bruce Patterson organizuje wyprawę badawczą do Tsavo. Szuka ochotników, którzy chcieliby z nim jechać jako asystenci. Więcej informacji na ten temat można uzyskać na internetowej stronie The Field Museum www.fmnh.org. Jest jeden szkopuł – to oferta tylko dla mało apetycznych...



OLGA WOŹNIAK
ZA POMOC W PRZYGOTOWANIU MATERIAŁU
DZIĘKUJEMY BRUCE'OWI D. PATTERSONOWI,
AUTOROWI KSIĄŻKI „THE LIONS OF TSAVO”



Kandydat Lis

Przeczytałem oba wywiady Piotra Najsztuba – z Panem Lisem i Panem Walterem. Szczerze mówiąc, nie potrafię uwierzyć „potencjalnemu kandydatowi”, który z jednej strony kreuje się na ofiarę „złego prezesa”, a z drugiej strony tworzy wizerunek młodego i inteligentnego obywatela, jakże zatroskanego losem Polski. Abstrahując od istniejącego w publicznej wyobraźni dylematu: Jolanta czy Tomasz, pytam się wszystkich, czy prezydentem 40-milionowego kraju może zostać dziennikarz, który interesuje się piłką, ma sliczną żonę i napisał jedną książkę. Tomasz Lis nie wyklucza kandydowania!!! Co za skromność! I jest bezrobotny. Jakże to smutne. A tak ciężko było wynegocjować samochód służbowy. Rozumiem, że mamy takie czasy, że brakują „nowych twarzy” w polityce. Chodzi jednak o to, by nie szukać samych twarzy, ale czegoś więcej.

ROBERT MORAWSKI,
Klaudyn

Błąd w reklamacji

Jestem waszym czytelnikiem od kilku miesięcy. W zasadzie

nie mam żadnych zastrzeżeń. Bijecie konkurencję na głowę. W ostatnim numerze jest bardzo ciekawy artykuł o zakupach w Sieci, mam jednak zastrzeżenia do jego treści. A właściwie do ostatnich zdań. Podaliście, że z zakupów w portalu Allegro korzysta około 3 milionów internautów, a reklamacji jest 0,04 procent. Według mnie $0,04\% \times 3\ 000\ 000 = 1200$, a nie 120 tysięcy, jak wynika z waszych wyliczeń. Poza tym numer jak zwykle super!

Pozdrawiam

MARCIN MAJDAŃSKI

Jak słusznie zauważyli uważni czytelnicy, do mojego tekstu „Sieć polknęła bazar” wkradł się błąd wynikający z czytania przeze mnie prasy zamiast słuchania nauczycielki na lekcjach matematyki. 0,04 procent od 3 milionów rzeczywiście wynosi 1200. Jednak jeśli weźmiemy pod uwagę, że każdy nieuczciwy sprzedawca oszukuje średnio kilka osób, to liczba się zwielokrotni. Poza tym, jak mówią sami policjanci, niewielu poszkodowanych zgłasza oszustwo organom ścigania. Mimo wszystko błąd popętleń, biję się za to w piersi i obiecuję następnym razem zasięgnąć rady fachowców od liczenia.

KONRAD DULKOWSKI

Religia jest nieracjonalna

Zainteresował mnie artykuł Pana Doktora Marcina Fabjańskiego dotyczący oceny etycznej eksperymentów genetycznych prowadzonych przez południowokoreańskich naukowców. Byłem niemile zaskoczony komentarzami

Pana Doktora dotyczącymi „nieracjonalnego” oceniania ww. eksperymentów przez doktrynę Kościoła katolickiego. Moim zdaniem komentarz Pana Doktora jest przejawem niezrozumienia istoty religii chrześcijańskiej oraz wynikającej z tego niezrozumienia nietolerancji. Można by odnieść wrażenie, iż autor artykułu chce udowodnić czytelnikowi, że oto o wiele lepszą i bardziej w czasie religią jest buddyzm i właśnie ta religia nie zniewala ludzi tak jak te skostniałe i nienadążające za postępem technicznym dogmaty katolickie.

Szanowny Panie Doktorze, nie da się zastosować pojęcia racjonalizmu do prawd wiary, tu ma Pan rację, lecz nikt tego nawet nie próbuje stosować, bo religia sama z siebie jest nieracjonalna. Nie musi Pan rozumieć chrześcijańskiej dogmatyki, lecz nie może jej Pan oceniać negatywnie, nie rozumiejąc jej. Dla chrześcijanina ważniejsze jest osiągnięcie zbawienia niż osiągnięcie zdrowia w życiu ziemskim. Owszem, wyhodowanie sobie części zamiennych jest bardzo kuszące, ale czy za cenę zbawienia? Mówi Pan również, iż dogmatyka Kościoła przesłania nauki Chrystusa... Dogmatyka Kościoła jest na naukach Chrystusa oparta – gdyby tak nie było, Kościół nie przetrwałby i stu lat. I proszę się nie przejmować tym, iż Kościół nie trafia do „racjonalnie” myślącej młodzieży – siła Kościoła jest w jego wartościach, które zawarte są w Dekalogu, i którymi w swoich wypowiedziach kierują się watykańscy etycy. Łącząc wyrazy najgłębszego szacunku

FELIKS KOBIERSKI

PRZE KROJ
Założony w roku 1945 w Krakowie
Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL

E-MAIL:
redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY - WYDAWCA:
Piotr Najsztub

PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Agnieszka Dajbor

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy

SEKRETARZE REDAKCJI:
Magda Gędziogowska, Marcin Sendrecki, Maria Świelik (zastępca)

ASYSTENTKA:
Anna Romotowska

KULTURA:
Bartek Chaciński (szef), Marceł Andino Velez, Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Justyna Sobolewska

KRAJ:
Magda Papuzińska (szef), Marcin Fabjański, Joanna Gorzelińska, Dorota Sajnog, Max Suski, Paweł Wieczorek, Michał Wójcik

ŚWIAT:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Filip Łobodziński, Andrzej Łomanowski, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk

NAUKA:
Olga Woźniak (szef), Piotr Stanisławski

ROZRYWKA:
Marcin Pieszczyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Patrycja Kühn, Małgorzata Łaska, Agata Loth, Maciej Morus, Krzysztof Zakrzewski

PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:
Tomasz Kniołek (szef), Marcin Kapica, Marcin Kędryna, Bogdan Kręzel (fotograf), Olga Pilśniak, Marek Szczepański

KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatjana Hardej, Dariusz Janiszewski

ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok

PRZYGOTOWALNIA:
Edipresse Polska – Zbigniew Szymański (dyrektor)

REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor

SEKRETARIAT: Iwona Chmielewska

EDIPRESSE
POLSKA

WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA.
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierata

WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski

DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochonek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit

PUBLIC RELATIONS:
Marcin Fedisz

DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:
Iwona Zabielska-Stadnik

DZIAŁ DYSTRYBUCJI I PRODUKCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:
Adriana Oliczak, Magda Ojedzka
KONKURSY@PRZEKROJ.PL

BIURO REKLAMY:
Ewa Kozłowska – dyrektor,
Anna Orłowska – zastępca dyrektora,
Artur Dudek, Jagna Federowicz, Maciej Grelak,
Grażyna Janiak, Anna Maślińska, Małgorzata Skorupa
ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa
tel. (0-prefiks-22) 5842-295, -297, -311, -584, -594
faks (0-prefiks-22) 584 22 92

DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – NOVAPRESS 90 G,
PRODUKENT – STORA ENSO
ŚRODEK – GALERIE BRITTE 60 G,
PRODUKENT – M-REAL

PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL
PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL

PRZEZ POCTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE
NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31,
FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

NA CAŁYM ŚWIECIE W INTERNECIE
WWW.EXPORTIM.COM
FAKS/TEL. +46-8-6639963

ARTYKULÓW NIEZAMÓWIWONYCH NIE ZWRACAMY.
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN
I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKULACH I LISTACH.

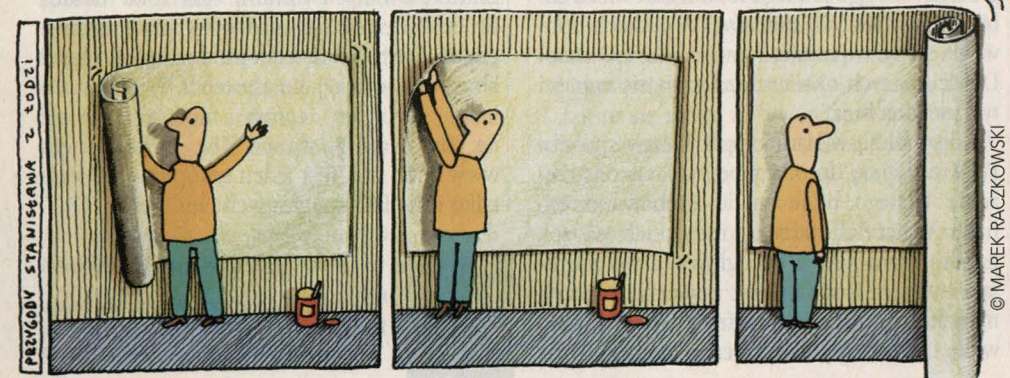
„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

CAŁY TY!

Jego warto posłuchać już choćby po to, by zrozumieć różnicę między amerykańskim i brytyjskim hip-hopem. W Warszawie wystąpi ze swoją grupą raper i producent Ty. Nigeryjczyk urodzony w Londynie, rozkochany w muzyce afro beat – niezwyklej, afrykańskiej odmianie funku. Przyjedzie niemal dokładnie w 10. rocznicę powstania firmy Ninja Tune, dla której filii (Big Dada) nagrywa. W Bytomiu tego samego dnia grają inni reprezentanci zasłużonej Ninja Tune. Tym razem didżeje, którzy na żywo mikсовать będą muzykę przeróżnych stylistyk: hip-hop potrafią połączyć z disco, a czarny funk z romantyczną piosenką z lat 80. O albumie wydanym na urodziny Ninja Tune piszemy na stronie 87. (BACH)

TY – 6.03 WARSZAWA, CDQ

SOLID STEEL & NINJA TUNE NIGHT, DIDZEJE DK I PEST
– 6.03 BYTOM, JAZZ CLUB HIPNOZA



© MAREK RACZKOWSKI

DZIEŁO SPOŁECZNE



Targi Sztuki Współczesnej ARCO '04 w Madrycie

Obok: Królowa Zofia (pierwsza z prawej) w towarzystwie minister kultury Pilar del Castillo i burmistrza Madrytu Alberta Ruiz Gallardona ogląda performance greckiej artystki Eleni Lyra

Dalej: Obraz brazylijskiego malarza Luisa Coquena. Poniżej: Hiszpański artysta Manuel Rosado obok swej rzeźby „Upadek”

Nie ma pieniędzy na kulturę? Bzdura. Nie ma tylko pomysłu, jak je wydawać. Tego możemy się nauczyć od Hiszpanów

To będzie o sztuce, polityce kulturalnej i wchodzeniu Polski do Unii, ale skoro to, co nas podnieca, to się nazywa kasa, zacznę od niej. PKO Bank Polski ogłosił niedawno wyniki finansowe. W 2003 roku zarobił na czysto 1,22 miliarda złotych. W ramach inwestowania w kulturę narodową w ubiegłym roku zasponsorował produkcję knota pod tytułem „Chopin – pragnienie miłości”, uruchomił portal pkokultura.pl, z którego korzystają chyba wyłącznie jego twórcy, i odebrał tytuł Mecenasa Kultury 2002 nadany przez Ministerstwo Kultury.

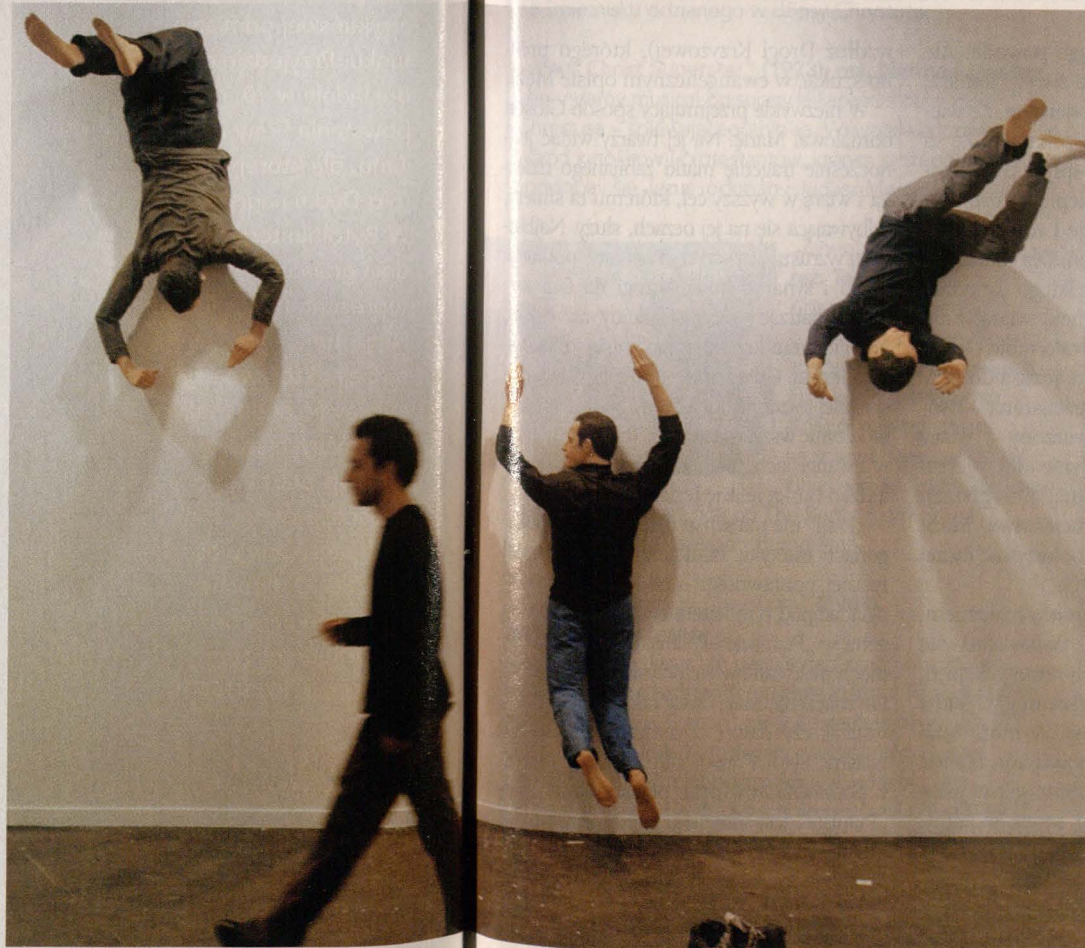
Tytuł bankowi z pewnością się należał, bo wiele imprez kulturalnych w ogóle by się nie odbyło, gdyby nie hojność wielkiego detalisty. Nie chodzi więc o to, że PKO BP nie wspiera kultury. Chodzi o to, że nie ma wizji, jak to robić i po co. Podobny problem ma wiele polskich instytucji finansowych, choćby Kredytbank, który utopił górę pieniędzy w ekranizacjach polskich lektur szkolnych. Choćby najpotężniejsza instytucja finansowa w Polsce, doktor Jan Kulczyk i jego żona Grażyna, którzy w ubiegłym roku zachwycili socjetę otwarciem Centrum Handlu, Sztuki i Biznesu w Starym Browarze w Poznaniu. A mogliby zachwycić instytucją o wielkiej randze, która skupiłaby na ich rodzinnym Poznaniu uwagę całego świata – Muzeum Sztuki Współczesnej im. Kulczyków. Zabrakło wizji.

Bo jak jest wizja, to pieniądze się same znajdują. I jeszcze procentują. Skąd ta pewność? Zza Pirenejów.

Utopia domu kultury

Oto wycieczka dla zagranicznych dziennikarzy akredytowanych przy 23. Międzynarodowych Targach Sztuki Współczesnej ARCO '04, które w lutym odbyły się w Madrycie. Autokar krąży po hiszpańskiej stolicy, każdy zaproszony trzyma w ręku listę instytucji, które odwiedzimy. Mamy poznać tylko te muzea i centra kulturalne, które powstały ostatnio lub które właśnie się rozbudowują. Przy każdej nazwie w nawiasie podane nazwisko architekta, który cacko zaprojektował. Herzog & de Meuron, Jean Nouvel, Rafael Moneo – najwięksi z wielkich. Nazwiska symbole. Cel objazdu – oszłomić przybyłych dziennikarzy. Pokazać, jakie ambicje ma stolica Hiszpanii.

Tu nowe skrzydło Prado, tam nowe skrzydło Narodowego Muzeum Sztuki im. Królowej Zofii. Zabytkowa elektrownia przebudowana na Casa Encendida – Gorejący Dom. To mamucich rozmiarów instytucja, gdzie młodzież, imigranci i osoby niezamożne mogą rozwijać swoje pasje twórcze, korzystać z warsztatów, urządzeń audiowizualnych, działać. Gwar jak w ulu. Socjalistyczna utopia domu kultury o porównywalnym



programie działania. Wszystko za darmo, nikt nikogo nie prosi o dokumenty. – To ważne dla nielegalnych imigrantów – tłumaczy oprowadzający nas dyrektor placówki.

Na królewskim froncie

To wcale nie państwo finansuje ów Gorejący Dom. Łoży na niego bank Caja Madrid w ramach wieloletniego projektu o szumnej nazwie „Obra Social” – „Dzieło Społeczne”. Logo banku wita każdego, kto wchodzi do budynku. Nie ma się czego wstydzić. Caja Madrid zarobił w zeszłym roku 440 milionów euro, niewiele więcej niż PKO BP. Oprócz Gorejącego Domu bank ma rozbudowany system stypendiów artystycznych i nagrodę dla młodych twórców. W Polsce dopiero w ubiegłym roku pewien bank po raz pierwszy odważył się na nagradzanie młodej sztuki. Był to Deutsche Bank.

Podczas otwarcia targów ARCO '04, które z wielkim zapalem kreowane są przez organizatorów na jedną z najważniejszych imprez artystycznych na świecie, burmistrz Madrytu Alberto Ruiz Gallardon mówił: „Madryt kontynuuje ambitny proces modernizacji, którego celem jest utrwalenie wizerunku miasta jako jednej z wielkich stolic Europy” – i tak dalej.

Ale władze miasta ani kraju nie są sponsorami tej stricte komercyjnej imprezy. Targi to targi. Zarobią na siebie same. Samorząd i rząd Hiszpanii robią za to wszystko, by organizatorom umożliwić, udostępnić, pójść na rękę. Król i królowa zostają skierowani na front „nadawania królewskiej oprawy”, zaproszonych z całego świata dziennikarzy, nosi się na rękach. W końcu to oni mają zgłosić, że Hiszpania to supernowoczesny kraj, który ma prawo żądać należnej mu liczby miejsc w Komisji Europejskiej i gdzie tam jeszcze akurat będzie trzeba.

Muzeum, nie plaża

Gorączka budowania muzeów nie ogranicza się do Madrytu. Zaczęło się parę lat temu, gdy umiejętna współpraca władz lokalnych Kraju Basków, miasta Bilbao i potężnej nowojorskiej Fundacji Salomona Guggenheima doprowadziła do powstania jednego z najbardziej niesamowitych budynków świata, muzeum sztuki współczesnej Guggenheim Bilbao.

Miasto, którego chyba nikt poza jego mieszkańcami i geografami nie potrafił wskazać na mapie, nagle stało się celem wycieczek dla milionów turystów. Dorobiło się miejsca w zbiorowej świadomości i setek milionów euro. Fenomen ten, znany dziś jako „efekt Bilbao”, próbuje od kilku lat naśladować inni.

Próbuje na przykład andaluzyjska Malaga, stolica słonecznego regionu Costa del Sol. Słonecznego, ale za bardzo zurbanizowanego

i zdominowanego przez wielopiętrowe hotele. Z tej hotelowej pustyni w ostatnich latach odpływało coraz więcej turystów przyciąganych przez tańsze Egipt, Turcję i Tunezję. Ale jest nowa strategia: odwrót od zorganizowanej turystyki „plażowej” – zresztą przecież jej konsumenci nigdy nie pachnieli groszem. Region (jak i inne w Hiszpanii) przeorientowuje się na bardziej wyrobioną i zamożniejszą klasę średnią, która uprawia indywidualną turystykę kulturalną.

To wspólnie zaplanowane i konsekwentnie wprowadzane w życie „przeorientowanie” ma postać na przykład nowego, otwartego pod koniec ubiegłego roku, Muzeum Picassa w Maladze (MPM), rodzinnym mieście malarza. To co prawda piąte na świecie Muzeum Picassa, ale jego zbiory są unikatowe – 204 dzieła ofiarowane przez synową i wnuka malarza plus drugie tyle wypożyczonych. Najbardziej osobiste, rodzinne płótna, szkice, rzeźba i ceramika. Od lat niepokazywane obrazy. W ciągu pierwszych sześciu zimowych tygodni MPM odwiedziło 130 tysięcy osób (bilety po osiem euro). A to tylko zima!

Co komu wolno

Towarzystwa MPM dotrzymuje Centrum Sztuki Współczesnej CAC Malaga. Na razie, by wywalczyć pozycję, pokazuje artystów światowych. Aktualnie obszerną monograficzną wystawę Gerharda Richtera, niemieckiego giganta malarstwa. Mało znani artyści lokalni muszą poczekać, aż instytucja okrzepnie, aż Niemcy, Francuzi, Anglicy i Amerykanie przestaną się dziwić, że Malaga to ważne centrum kulturalne. I zaczną przywozić swoje karty kredytowe do lokalnych hoteli i knajp.

Fundatorem MPM i CAC Malaga są banki i hiszpańskie firmy. Na bankiecie uświetniającym otwarcie targów ARCO '04 w Madrycie pytam przedstawicielkę fundacji ARCO, czy w Hiszpanii wszyscy ci finansiści, bankierzy i politycy faktycznie znają się na sztuce współczesnej, skoro tak się nią starają. – No, część na pewno, wielu to kolekcjonerzy – odpowiada mi na ucho. – Ale nie o to chodzi. Teraz ta pompa jest po to, by Hiszpania dobrze wypadła i Madryt uzyskał prawa do organizacji igrzysk olimpijskich w 2012 roku. Olimpiada to jest dopiero fors!

Olimpiady z ich miliardowymi kontraktami, zamożni turyści podążający za kulturą – to wszystko dociera tylko do krajów, które mają pomysł na siebie. Które umieją przedstawić siebie jako nowoczesne społeczeństwa, nawet jeśli są nimi od niedawna. I takie kraje mogą Francuzom i Niemcom śmiało powiedzieć: „Nicea albo śmierć”. A Polska?

MARCEL ANDINO VELEZ



„Pasja” od chwili premiery jest w Ameryce najczęściej oglądanym filmem, ale tu nie chodzi tylko o filmowe walory

ZOBACZ, W CO WIERZYSZ

„Pasja”
to film
wstrząsająco
brutalny,
ale przeszy-
wająco
wierny
i pełen wiary.
Należałoby
go
pokazywać
w kościołach
zamiast
w kinach

Są dwa filmy, podczas których przez kilkanaście minut zamiast w ekran wbijałem wzrok w podłogę. Z każdego wychodziłem niepomiernie bogatszy, a jednocześnie głęboko przeświadczony, że żadnego z nich nie chcę kiedykolwiek ponownie obejrzeć. Pierwszy to „Pianista”, drugi to „Pasja”.

Kto u Polańskiego ujrzał na własne oczy okrucieństwo i bezwzględność Holocaustu, ten w „Pasji” zobaczy mękę i śmierć Jezusa, jakby był tego dnia w Jerozolimie. To nie jest film piękny ani brzydki, dobry ani zły. Przede wszystkim to nie film, tylko przesywająco wierny zapis końcowych rozdziałów Ewangelii. Zgodnie z tytułem obraz męki – ale nie tej abstrakcyjnej i symbolicznej, do której przywykliśmy, tylko tej prawdziwej – wstrząsająco brutalnej, niekończącej się i okrutnej, w której zakatowano Jezusa.

„Pasja” to przeciwieństwo biblijnych filmów Zeffirellego z wiecznie uśmiechniętym, dobrotliwym Jezusem. Ale u Gibsona nie ma przesady. Jezus czuł i widział, jak wbijali mu gwoździe w dłonie. Śmierć też potrafi być kolorowa, plastyczna i widowiskowa.

Po co oglądać to okrucieństwo, skoro większość z nas zna przebieg Męki Pańskiej? Przed obejrzeniem „Pasji” też my-

ślałem, że nie ma żadnego powodu. Ale okazuje się, że rację miał święty Tomasz, apostoł przezywany Niewiernym. Że wiedzieć to nie to samo co zobaczyć. Że są wyjątki, kiedy obraz nie słyca treści, tylko ją pogłębia, pozwala lepiej zrozumieć, uchwycić sens, proporcje i rozmiar znanych na pamięć wydarzeń. Dla mnie „Pasja” jest namiastką Wielkiego Tygodnia – konfrontuje mnie z moją wiarą, unaczynia, jak wiele kosztowało moje Odkupienie i jak bardzo śmierć Jezusa dotyczy także mojej – jako chrześcijanina – osoby. „Pasja” to film stworzony z wiary i przez to czytelny jedynie dla wierzących. Bez klucza religijnej interpretacji jest tylko apoteozą okrucieństwa. Może dlatego powinno się go pokazywać raczej w kościołach niż w kinach.

Tak jak sama Męka poraża realizmem, Jezus sprzed pojmania, pojawiający się podczas filmu w krótkich retrospekcjach, wydaje się mało przekonujący, jakby przesadnie uduchowiony. A może właśnie taki był? Tutaj obowiązuje *licentia poetica* Gibsona – podobnie jak w przypadku obłędu Judasza, który w filmie przybrał postać manii prześladowczej, czy pojawiającego się co jakiś czas uosobionego diabła (na przykład przemycającego w tłumie gapiów zgromadzonych

wzdłuż Drogi Krzyżowej), którego próżno szukać w ewangelicznym opisie Męki. W niezwykle przejmujący sposób Gibson odmalował Marię. Na jej twarzy widać jednocześnie tragedię matki zabijanego dziecka i wiarę w wyższy cel, któremu ta śmierć odbywająca się na jej oczach, służy. Najbardziej wzruszająca scena „Pasji” to spotkanie matki i syna w środku drogi na Golgotę. Maria, patząc, jak syn kolejny raz upada pod ciężarem krzyża, przypomina sobie małego Jezusa. Gdy podbiega, słyszy słowa niespisanej jeszcze Apokalipsy: „Spójrz, matko, oto czynię wszystko nowe”. Tej sceny nie ma w Ewangelii, ale doskonale ilustruje ona ludzko-boską relację Jezusa z Marią.

„Pasji” nie ma sensu rozpatrywać w kategoriach estetyki, sztuki filmowej czy politycznej poprawności – tak jak nie sposób oglądać pod tym kątem egzekucji na bruku getta w „Pianście” Polańskiego. W obu filmach treść całkowicie przysłoniła formę. Jakie znaczenie mają nasze odczucia – zgroza, wstążę czy nawet obrzydzenie – jeśli tak właśnie było? Prawda nie musi być piękna i poprawna, by była przekonująca. Jeśli „Pianista” jest filmem o istocie Zagłady, to „Pasja” – jakkolwiekbyśmy się przed tym bronili – dotyka istoty chrześcijaństwa.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

ODWROTNOŚĆ NUDY

EWANGELIA KRĘCONA PASJAMI

W filmie Jezus bywał już hipisem, komunistą i mężem. Wszystkie ekranizacje jego ewangelicznych losów wzbudzały kontrowersje – często większe niż „Pasja” Mela Gibsona



„Ewangelia według Mateusza” (1964), reż. Pier Paolo Pasolini
Skrzynie realistyczna wizja dziejów Chrystusa. Zbawiciela zagrał kierowca ciężarówki o... komunistycznych

przekonaniach. Film ten, choć różni się od standardowych ekranizacji biblijnych, zyskał aprobatę Watykanu, podobał się też publiczności.

„Pilate i inni” (1971), reż. Andrzej Wajda

Ta ekranizacja „Mistrza i Małgorzaty” Bulhakowa, której reżyser skupił się na wątku Jezusa i Pilata, kilkanaście lat przeleżała na półce. Dyskusje wywołała scena ukrzyżowania na śmietniku odzianego w dżinsy Chrystusa.

„Jesus Christ Superstar” (1973), reż. Norman Jewison

Legendarny musical opisujący kilkanaście dni z życia Chrystusa – śpiewającego hipisa. Wywołał kontrowersje wśród katolików i protestantów, którym szczególnie nie spodobał się Jezus rockman i Judasz Murzyn.



„Żywot Briana” (1979), reż. Terry Jones
Absurdalna komedia o Brianie, który omyłkowo zostaje uznany za mesjasza. Film krytykowany przez Kościół między innymi za sprawę sceny, w której Brian wisi na krzyżu i śpiewa

piosenkę „Always Look on the Bright Side of Life” – „Zawsze patrz na życie z humorem”.

„Ostatnie kuszenie Chrystusa” (1988), reż. Martin Scorsese

U Scorsesego Jezus nie panuje nad emocjami, boi się śmierci i bólu fizycznego, ma żonę i dzieci. Film okazał się kasową kląpą, w Stanach zarobił zaledwie około ośmiu milionów dolarów. Kontrowersje wokół niego trwają do dziś. W 1993 roku przeciwko wyświetleniu filmu w poznańskim kinie studyjnym protestował poseł Marek Jurek. Od 2000 roku dostępny w Polsce na DVD. (IK)



Na amerykańskich pokazach „Pasji” publiczność odwracała wzrok

GIBSON NIE ZGRZESZYŁ

Mel Gibson wiernie podąża za biblijnymi zdarzeniami, nie obarcza ich komentarzem ani nie intelektualizuje

Zadziwiający film. Zadziwiający zwłaszcza dla mnie, który nigdy specjalnie nie cenilem Mela Gibsona, a jego nadużywające zwolnionych zdjęć „Walczone serce” uważam za nieudaną parodię parodii Monty Pythona. Zwolnionych zdjęć nie brak i w „Pasji”, z całym jednak podziwem przyznaję, że tym razem Gibson pokazał realizatorską klasę. Nie zgrzeszył pychą spektakularności, oparł się pokusie monumentalnego widowiska.

Niewiele jest w tym filmie szerokich planów, uwaga twórców skupia się na twarzach i gestach postaci wtopionych w wyschnięty krajobraz. Od uderki w Ogródca po śmierć na krzyżu towarzyszymy – etap po etapie – Chrystusowi (James Caviezel) w jego drodze. Wciąga nas ona w bolesny, fizyczny trudny do wytrzymania trans. Chropowate, przyćmione zdjęcia Caleba Deschanela nie kuszą pięknościami, które mogłyby wywieść widza na estetyczne manowce. Od czasu do czasu pojawiają się krótkie i powściągliwe retrospekcje z przeszłego, szczęśliwego życia Jezusa. Języki aramejski i łacina, którymi posługują się bohaterowie (przypomnijmy, że w Stanach film wyświetlany jest – co niespotykane w wypadku typowych produkcji – z angielskimi napisami), początkowo sprawiają wrażenie mowy rodem z jakiegoś fantasy, ale stopniowo stają się jeszcze jednym elementem wyobcowania z porządku konwencjonalnej hollywoodzkiej opowieści.

Pomijając ideowe czy ideologiczne spory wokół filmu, jedno trzeba podkreślić – Gibson nie szczędzi nam obrazów przemocy i cierpienia. Tortury, cierniowa korona, ciężar krzyża, kolejne upadki, wbijanie gwoździ w ręce i nogi... Krew, pot i łzy. Nie został pominięty ani jeden detal Drogi Krzyżowej, przez co męka Chrystusa jest widzialna i namacalna. Ponad religijnymi podziałami my, widzowie, łączymy się w poczuciu zgrozy i wielkiego współczucia dla skatowanego, sporniewieranego, krwawiącego, cierpiącego i opuszczonego ciała.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

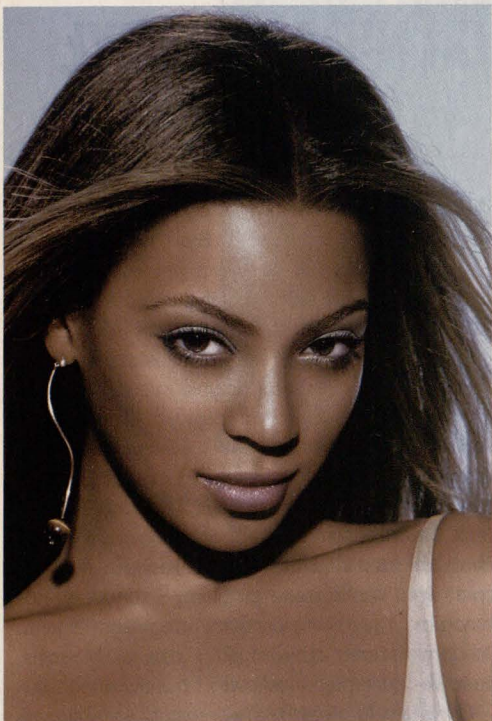
„PASJA”, REŻ. MEL GIBSON,
USA 2004, dystr. Monolith,
premiery 4 marca



KARMELOWY ANIOŁ

Beyoncé na ekranie, choć na razie bez wizji

Nieprędko zobaczymy, jak w swojej drugiej aktorskiej próbie (w roli liderki chóru gospel) wypadła niedawna zdobywczyni pięciu nagród Grammy. Fakt, że Beyoncé jest dziś największą gwiazdą amerykańskiego show-biznesu, wciąż chyba nie przekonuje polskich dystrybutorów filmu



Fot. SONY



MUZYKA FILMOWA „THE FIGHTING TEMPTATIONS”, Sony

„The Fighting Temptations”. Pozostaje ścieżka dźwiękowa. A po tę warto sięgnąć już choćby tylko dla Presleyowskiego „Fever” w cudownie swingującym wykonaniu Beyoncé. Jej fani nie mogą narzekać: siedem premierowych piosenek karmelowej piękności to nie lada rarytas, świetne są duety z Angie Stone i Bilalem oraz tytułowa kompozycja nagrana w towarzystwie raperki Missy Elliott i MC Lyte. Do perfekcyjnie wyprodukowanego R&B skrojonego na przebojową nutę panna Knowles przyzwyczaiła nas już dawno, ale posłuchajcie, jak śpiewa gospel, a zrozumiecie, że ten talent w ciele anioła musiał wstrząsnąć światem.

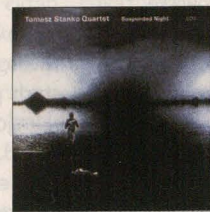
BARTEK WINCZEWSKI



Fot. ANDRZEJ TYSZKOWICZ/ECM RECORDS

ZACZĘLI OD BACHA

Stańko znów zaskakuje, tworzy klasykę na nowe tysiąclecie



TOMASZ STAŃKO QUARTET „SUSPENDED NIGHT”, ECM

Z początku nowa muzyka Stańki brzmi łatwo. Niemal bez wycieczek w trudne harmonie. Muzyka zdolna zachwycić i wymagająca publiczność w klubie, i przypadkowego słuchacza na domowym przyjęciu. Znajdą się i malkontenci, którzy powiedzą, że nic w tej muzyce ich nie drażni, nie zaskakuje, że dźwięki toczą się bezboleśnie i nie stawiają wyzwania, jakiego należy oczekiwać od artysty tego pokroju, z takim stażem i o takim wizerunku. Lecz po pierwsze: staż i wizerunek pozwalają Stańce grać dokładnie to, na co ma ochotę, i nie przejmować się poprzeczkami, jakie stawiają mu recenzenci. Po drugie: czy „ładnie” ma z mety znaczyć „błaho”? „Suspended Night” to zapis sesji z lipca zeszłego roku, podczas których kwartet Stańki zarejestrował „Song for Sarah” i 10 „Suspended Variations”. W większości są to autorskie kompozycje lidera, tylko dwie wariacje wyszły ze wspólnego procesu twórczego całego zespołu. Słowo „lider” może mylnie sugerować, że trębacz dominuje nad towarzyszącymi mu młodymi muzykami znanymi już z obfitej nagrodami „Soul of Things” sprzed dwóch lat. Ale pianista Marcin Wasilewski, kontrabasista Sławomir Kurkiewicz i perkusista Michał Miśkiewicz

nie są ludźmi, których warto zdominować. To wrażliwi i inteligentni muzycy, przed którymi otwarta droga po wielkie laury. Stańko jest dumny z ich potencjału i daje chłopakom pogrążyć się w klubie, a dzięki tej czujnej postawie lidera kwartet rzeczywiście brzmi bardziej jak kwartet smyczkowy niż jak solista z akompaniatorami.

Porównanie do kwartetu smyczkowego nie jest zresztą wzięte z powietrza. Nowy album zespołu Stańki przygotował bowiem coś, co – przy zachowaniu proporcji – można porównać do Bachowskiego „Die Kunst der Fuge”. Tam pierwszy „Contrapunctus” stanowi punkt wyjścia do prezentacji rozmaitych technik kompozytorskich i do summy poglądów Bacha na sposoby rozwijania tematów. Tu wstępna pieśń też jest zaproszeniem, opisem przestrzeni, w jakiej przez dalszą godzinę będziemy się poruszać. Muzycy proponują różne sposoby prowadzenia rozmowy. Nie osłepiają techniką, improwizują z namysłem i z rozmysłem. Album staje się podręcznikiem rozgrywania skupionej akcji muzycznej przez jeden czteroosobowy organizm. A że przy okazji jest urokliwie ładnie? Z pewnością to dodatkowa zaleta.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



ODWROTNOŚĆ NUDY



Mel B i jej wokowy sobowtór

Fot. CORBIS SYGMA/FREE

Londyńskie muzeum figur woskowych Madame Tussaud ma zamiar przetopić podobizny nieistniejącego już zespołu popowego Spice Girls. Ze specjalnie zrobionej ankiety wynika, że spiczki nie cieszą się już dużą popularnością wśród zwiedzających. „Zainteresowanie zaczęło drastycznie spadać po 2000 roku, kiedy zespół się rozpadł – mówi jeden z pracowników. – To miejsce mogą zająć inne gwiazdy, z którymi ludzie będą chcieli robić sobie pamiątkowe zdjęcia”. Wśród zwiedzających największym uznaniem cieszą się obecnie woskowe Jennifer Lopez i Kylie Minogue. Na kogo przetopią Spice Girls – nie wiadomo.

SPICE GIRLS GORSZE OD HILERA?

Podobny los jak Spice Girls spotkał niegdyś starszą figurę księżnej Dian, ale jej podobizna została po paru dniach odtworzona. Stało się to po jej śmiertelnym wypadku samochodowym. Diana powróciła wtedy do Madame Tussaud w białej sukni, z dala od królewskiej rodziny. Cały czas stoi za to w muzeum figura Adolfa Hitlera, na którą przechodnie po prostu pluja, co od niedawna utrudnia im szyba.

DAWID MUSZYŃSKI

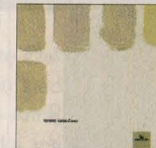


Z POLSKIEJ KOLONII

●●●●●○

Kiedyś mieszkał w Słupsku i grał punka. Później przeprowadził się do Kolonii i zajął się muzyką elektroniczną. Paul Wirkus jest kolejnym dowodem na to, że Polak potrafi... najlepiej, jeśli wyprowadzi się z naszego kraju. Paweł aktywną działalność na najciekawszej scenie współczesnej elektroniki rozpoczął pięć lat temu. „Intelettero d'Amore” pokazuje, że zadomowił się tam już na dobre. Pierwszy album wydany przez pododdział ważnej firmy Staubgold wyróżnia Wirkusa z grona związanych z nim artystów. Utwory Paula są skomponowane z drobnych dźwięków, szumów i trzasków poukładanych w delikatne melodie i rytmy. W jednym debiutuje nawet w roli wokalisty! Jeśli wszystko dobrze się potoczy, ten rok może okazać się dla Pawła przełomowy.

JACEK SKOLIMOWSKI



PAUL WIRKUS „INTELETTORO D'AMORE”, Quecksilber

Paul Wirkus, Kammerflimmer Kollektief
4.03 Poznań, W Starym Kinie,
5.03 Warszawa, Jazzgot,
6.03 Lublin, Chatka Żaka,
7.03 Kraków, Święta Krowa

RYBA ZNOWU FRUWA



Jacek Ostaszewski

Fot. JERZY GUMOWSKI/AG

Osjan to bestia, która co jakiś czas podnosi swój niezwykły łeb i rusza po Polsce, by jednakowo cieszyć swoich rówieśników i najmłodszych wariatorów szukających niebanalnego wzruszenia muzycznego. Historia zespołu sięga już trzydziestki, choć tylko Jacek Ostaszewski pozostaje w nim od początku. Zawsze jednak była to, jak mówi lider, „muzyka fruwającej ryby”, czyli coś na pograniczu jazzu, medytacji i etnicznego natchnienia – i to już w czasach, gdy o muzyce świata świat jeszcze nie słyszał. Stabilny od dekad skład z Ostaszewskim, Wojciechem Waglewskim (w Osjanie od 1981 roku), Milo Kurtisem (od 1978) i Radosławem Nowakowskim (od 1979) nie nagrał wprawdzie już dawno materiału premierowego, ale koncerty grupy są tak niepowtarzalne, że nie ma co grymasić. Tym bardziej że rzadkie trasy Osjana zawsze są wydarzeniami. (FILO)

Osjan – 5.03 Gdynia, Ucho, 6.06 Warszawa, Traffic, 7.03 Kraków, Alchemia



Matt Black i Jonathan More, czyli duet Coldcut

Fot. ISOUND

NA PLASTERKI!

●●●●●○

Już ponad dekadę tną muzykę jak wojownicy ninja

Kto wie, czy zachwycilibyśmy się dziś płytami Cinematic Orchestra, Mr Scruffa, Herbaliser i DJ Vadima, gdyby nie książka o wojownikach ninja, która w ręce Matta Blacka i Jonathana More'a wpadła podczas trasy koncertowej ich duetu Coldcut po Japonii. Natchnęła ich do założenia wytwórni, która nadała kierunek losom współczesnej elektroniki, tej do tańca i nie tylko. Teraz wybitnej brytyjskiej oficynie Ninja Tune przychodzi się rozliczyć z dotychczasowymi dokonaniem. A są wśród nich dziesiątki singli i albumów artystów tak nietuzinkowych jak Kid Koala, Amon Tobin i Jaga Jazzist. Barwne spektrum produkcji z całego świata – także z Polski, bo pod skrzydłami Ninja swój album wyda wiosną wrocławski Skalpel. I dla nich znalazło się miejsce w tym pokaznym zestawie kompilacji, na które złożyły się „greatest hits” katalogu wytwórni oraz kolekcja remiksów nagrań jej artystów i – na deser – DVD z wyborem ich wideoklipów.

BARTEK WINCZEWSKI



RÓŻNI WYKONAWCY „ZEN CD”, „ZEN RMX”, „ZEN TV” (DVD), Ninja Tune



Fot. MATERIAŁ ORGANIZATORÓW

SŁAWNI W POLSCE

Pamiętacie Budgie? Ta walijska hardrockowa grupa powinna dostać honorowe polskie obywatelstwo, bo to u nas byli najbardziej popularni. Kiedy grupa Metallica nagrała swoją wersję ich utworu „Crash Course in Brain Surgery”, pytano: „Co to za zespół, jakie Budgie?”. Tylko w Polsce wiedzieli. Są bowiem jedną z tych grup fenomenów, które osławiło u nas Polskie Radio.

Grali na początku jak Black Sabbath, choć nie epatowali trupimi czaszkami, może dlatego że pierwsze próby grali w kościele u znajomego pastora. W latach 70. wydali siedem płyt z repertuarem, który co prawda nie podbił Wysp Brytyjskich, ale za to gdy na początku lat 80. przyjechali do Polski, powitało ich tu zaskakująco wielkie grono oddanych fanów. Później przez siedem lat zespół nie istniał. Reaktywował się w połowie lat 90., a teraz koncertuje po świecie i przy tej okazji, z nowym gitarzystą Simone'em Leesem, wróci nad Wisłę – po 22 latach. (BACH)

Budgie, TSA, 5.03 Kraków, hala Wisły



Zakład krawiecki na Niskiej 70 w Warszawie. W takim pracował Heniek G.

Fot. WYDAMNICZTWO SICI

ZBRODNIA BEZ KARY

Szwedzki bestseller sprzed lat wreszcie po polsku

Tej książki nie wolno przegapić. Hjalmar Söderberg po ukazaniu się „Doktora Glasa” został okrzyknięty „wrogiem kleru”, a jego krytyka moralności (a właściwie hipokryzji mieszczańskiej) ciągle budzi emocje. Narratorem powieści, która ma modną dziś formę dziennika, jest 33-letni lekarz Tyko Gabriel Glas, przedwcześnie zmęczony życiem samotnik. Przeraza go bliskość, brzydzi fizjologia. Któregoś dnia w gabinecie doktora pojawia się piękna żona jednego z pacjentów – podstarzałego pastora Gregoriusa. Helga prosi lekarza o pomoc w... rozdzieleniu małżeńskich sypialni. Interwencje doktora nie są jednak w stanie powstrzymać lubieżnego małżonka. Pastorem kieruje przecież „wola boża”. Lekarz więc musi odwołać się do bardziej radykalnych środków. Doktor Glas to szwedzki Raskolnikow, jednak od bohatera Dostojewskiego różni go to, że jego zbrodnia nigdy nie zostaje



Fot. PRESSSENS BILD/BELAW

wykryta, a on sam nie przeżywa nawrócenia. Mimo to, czytając jego zapiski, nie można go do końca potępić. Ta powieść nie dość, że stawia ważne pytania, to jednocześnie posiada wszelkie przymioty skandalizującego bestsellera.

KATARZYNA TUBYLEWICZ



HJALMAR SÖDERBERG „DOKTOR GLAS”, PRZEL. EWA GRUSZCZYŃSKA, Jacek Santorski & Co., Warszawa 2004

ORYGINAŁY OD SINGERA

Od tych wspomnień nie można się odebrać. Może dlatego, że ich autorzy spisali je przed Zagładą, a cały zbiór dotyczy normalnej, codziennej egzystencji, bez krematoryjnego pieca w tle. Kiedy Żydowski Instytut Naukowy YIVO w Wilnie w latach 30. ubiegłego wieku, ulegając ówczesnej socjologicznej modzie, ogłosił konkurs na najciekawszy pamiętnik, nikt nie przypuszczał, że odzew będzie tak duży. Zebrano 627 autobiografii. Pisały dorastające dzieci i młodzież. Biedota, młoda inteligencja, kandydaci na rabinów i zbuntowane córki chasydów. Te skroplone łzami pierwszej miłości epistoły wysyłały jeszcze w sierpniu 1939 roku. Dwa lata później Niemcy, zamiast wrzucić to wszystko do pieca, zdeponowali teksty we Frankfurcie. Tu papiery stały się łupem wojennym Amerykanów i w 1947 roku trafiły na półkę nowojorskiej filii instytutu. Wojnę przeżyło dwóch, trzech autorów.

To, co gdzieś mi świta w tyle głowy, staje się jasne przy lekturze pamiętników młodziutkiej Sary Kopytówny. Przecież ta urocza garbuska to słynna Szosza z prozy Isaaca Bashevisa Singera. Romantyczna i nierozważna. A Heniek G.? Ten brutal i cham, zбочeniec i oprych. „Wczoraj byłem w Łazienkach z Lonią (...). Sama zaproponowała mi, że jeśli chcę, to mogę z nią spółkować. Położyliśmy się na trawie i tam ją wychędożyłem. Ale wśród tego, złapał mnie policjant za kark. (...) Powiedział, że płacę złotówkę za obrazę moralności”.

To zupełnie jakbym widział kolejną postać ze „Sztukmistrza z Lublina” czy z „Rodziny Muszkatów”. Nie wiem, czy Singer zaglądał w Nowym Jorku do tego zbioru. Jeśli tak, to fantastycznie przeniósł wszystkie postacie na ulicę Chłodną. Teraz jego pierwowzory wracają. I znowu – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – słychać nieśmiertelne dyematy i miłosne narzekania. Jak tu nie przyznać racji Jafetowi z Sulejowa o piękniwym sercu: „Minęło kilka dni i więcej się nie zjawiała. Doszedłem do wniosku, że nigdy nie wolno się zakochiwać. Jak to kiedyś napisał Maksym Gorki: każda miłość to pewna śmierć”.

MICHAŁ WÓJCİK



•••••
Jeśli nie możesz żyć bez książek – Anne Fadiman pisze o tobie



ANNE FADIMAN „EX LIBRIS, WYZNANIA CZYTELNIKA”, PRZEL. HANNA PUSTUŁA, PAWEŁ PIASECKI, Świat: Literacki, Izabelin 2004



Fot. MARK LENIHAN/AP

ŻYCIE INTYMNE Z KSIĄŻKAMI

o książkach, wyszukiwanie książek w antykwariatach, spanie z książkami, „zakochiwanie” książek na śmierć. Fadiman zaczęła pisać „Ex libris”, kiedy zdała sobie sprawę, że o książkach pisze się zazwyczaj jak o tosterach: „Która marka jest lepsza?”. Najlepszy jest oczywiście tylko najnowszy model. A tymczasem stare książki nadal darzymy uczuciem. Poza tym w przeciwieństwie do sprzętów i nas samych książki się nie starzeją.

Fadiman, 40-letnia redaktorka „American Scholar”, publikowała teksty z „Ex librisu” w piśmie „Civilisation” jako „zwierzenia zwykłego czytelnika”. Nie są to bowiem żadne uczone eseje, tylko właśnie zwierzenia miłośnika czytania, który wychował się na wielkiej literaturze, ale nie pogardzi nawet katalogami handlowymi. Książki towarzyszą mu w najważniejszych momentach życia – służą do uwodzenia, bywają zjadane i uświnione przez dzieci, w wieku nastoletnim podkradane egzemplarze z biblioteki rodziców wprowadzają czytelnika w zakazany świat erotyki. Są najwspanialszym pre-

zentem – Fadiman dostała od męża 19 funtów używanych książek.

Z „Ex librisu” dużo dowiemy się o niej samej i jej ekscentrycznej rodzinie, w której wszyscy są zarażeni wirusem książkowym. Ojciec, wieloletni redaktor, poprawiał nawet menu w restauracji, ona i jej brat od dziecka ćwiczyli się w rozpoznawaniu cytatów. Historia jej małżeństwa to też historia zapisana w dedykacjach książek i ukoronowana nie tyle ślubem, ile doniosłym faktem połączenia bibliotek. Książki u Fadiman nie izolują, nie odgradzają czytelnika od świata, lecz przeciwnie – są wyrazem miłości, nie ma nic piękniejszego niż wspólne czytanie.

Fadiman szkicuje mapę książek, które były dla niej ważne. Ta mapa dla polskiego czytelnika bywa odległa i dlatego książka jest opatrzona świetnymi komentarzami Jana Gondowicza, tropiciela smaków literackich. Poczekałszy, ale było warto – teraz nie pozostaje mi nic innego, jak zaprosić państwa na ucztę. Literacką oczywiście.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

<Ania>Hej! Jestem Ania. Mam 12 lat. Szukam przyjaciół.



Nigdy nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie.

„OSTATNIE POKOLENIE. AUTOBIOGRAFIE POLSKIEJ MŁODZIEŻY ŻYDOWSKIEJ OKRESU MIĘDZYWOJENNEGO ZE ZBIORÓW YIVO”, OPRAC. ALINA CAŁA, Sic!, Warszawa 2003



KONIEC PIESNI, POCZĄTEK, KŁOPOTÓW

TVP wycofała się z realizacji kolejnych 15 odcinków „Ballady o lekkim zabarwieniu erotycznym”, choć zaczęło je już przygotowywać

Produkcja nowej, trzeciej już serii „Ballady...” była w trakcie przygotowań, ale państwa Naturalnych, Cezarego Mończyka i walczących w makaronie dziewczyn nie zobaczymy więcej na telewizyjnym ekranie. Odcinek wyemitowany w ostatnią niedzielę był ostatni. Choć nikt nie chce tego oficjalnie potwierdzić (autorzy filmu Irena i Jerzy Morawscy jak ognia unikają rozmów z dziennikarzami, zaś szef dokumentu Jedyński Andrzej Fidyk do połowy marca jest na urlopie), wszystko wskazuje na to, że szefowie TVP1 przestraszyli się coraz liczniejszych negatywnych reakcji na serial. I mimo że cieszył się on ogromną popularnością, bo średnio jeden odcinek oglądało 3400 tysięcy widzów, a 25 stycznia przed telewizorami za-

siadło aż 4700 tysięcy osób (dane za TNS OBOP), zdecydowali, że nowych odcinków jednak nie będzie.

W tej chwili sprawą serialu zajmuje się choćby działająca wewnątrz TVP Komisja Etyki. Lada dzień poznamy jej opinię na temat „Ballady...”, o której dyskutowała również Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji. – Zleciliśmy departamentowi programowemu monitorowanie i ocenę serialu. Poznamy ją w marcu – mówi Jarosław Sellin z Krajowej Rady. Jeśli zarzuty – na przykład Rzecznika Praw Dziecka – wobec filmu Morawskich się potwierdzą, KRRiIT wystąpi o ukaranie TVP grzywną. Inaczej niż Rada, Komisja Etyki TVP nie może nikogo pociągnąć do odpowiedzialności, ale jej orzeczenie może być dla szefów anteny podstawą do wyciągnięcia konsekwencji wobec osób, które czuwały nad produkcją i emisją serialu

– w tym wypadku choćby Andrzeja Fidyka.

Komisja Etyki i KRRiIT zainteresowały się filmem Morawskich między innymi na wniosek Rzecznika Praw Dziecka: – Uznaliśmy, że doszło do wykorzystania osób nieletnich biorących udział w serialu, jak i tych, które oglądały „Balladę...” – mówi „Przekroju” Barbara Rogalska z Biura Rzecznika. – Nam nie chodzi o wprowadzenie cenzury, jeśli ktoś chce oglądać – i pokazywać – podobne seriale, proszę bardzo. Ale nie w czasie chronionym [od 6.00 do 22.00 – przyp. red.], nie z udziałem nieletnich i nie w telewizji publicznej!

Podobnie jak Rzecznik Praw Dziecka wszystkie osoby i instytucje piętujące „Balladę...” podkreślają, że skandalem jest fakt, że tego typu program wyemitowany został właśnie w TVP: – Za pieniądze podatników telewizja publiczna propaguje patologię – grzmi Krzysztof Orszagh z Zespołu do spraw Pomocy Ofiarom Przestępstw. Na jego wniosek prokuratura przyjrzy się działalności pokazywanych w serialu firm.

– Uważam, że emisja „Ballady...” jest krokiem w nie dobrą stronę, tym bardziej że wydawane są na to pieniądze publiczne. TVP rozminęła się ze swoją misją, bo serial ten powinien być swego rodzaju przestrożą, a nie jest – dodaje w rozmowie z „Przekrojem” Dorota Zawadzka z Wydziału Psychologii UW.

Obarczonej misją telewizji publicznej nie wypada – w przeciwieństwie do stacji komercyjnych – realizować czysto rozrywkowych, balansujących na granicy dobrego smaku i dobrego obyczaju, a zarazem przynoszących kolosalne zyski programów typu reality show. „Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym” okazała się więc świeżym wytrychem, sposobem na pożeranie misji z igrzyskami. Społeczny kontekst serialu (bezrobocie, bieda itp.) stanowił bowiem doskonałe alibi dla pokazywania rozmaitych „atrakcji” – od rozebranych dziewczyn, przez kuriozalne, dziwaczne postaci w rodzaju Mończyka czy Naturalnych, po całą „egzotykę” biedy. Tak oto za sprawą Morawskich TVP doczekała się wreszcie swojego „Big Brothera”.

MAŁGORZATA SADOWSKA, (IKA)

Okiem reporterki:
MARIA WIERNIKOWSKA

MORALNOŚĆ JAK KISIEL

W bezdusznym nowoczesnym blokowisku stoi święta figurka otoczona sztucznym kwieciami, a przed nią błyska światelko. Tak na tle dzisiejszej tv-rzeczywistości promieniuje „Ballada...”.

Na ekranie leje się pocziwość i wypełnia nasze serca. Autorzy uczą nas kochać wszystkich: pretensjonalne idiotki, obłędnego alfonsa i zidiociale mamusie, które zachwycają się tańcem swoich córek w klatce. Kochamy już nawet siebie samych za to, że jesteśmy tacy ludzcy, bo zamiast dobrej książki czy filmu łykamy kolejną porcję bylejakości. Kicz szlachetniejsze, moralność rozciąga się jak kisiel, w którym walczą bohaterki. Naprawdę chodzi o zwykłe podglądanie, choć autorzy próbują sugerować, że interesują ich głębokie motywacje pokazywanych osób. I jeszcze cały ten szlachetny kontekst – rzekome pochylenie się nad biedą i bezrobociem... Społeczne przesłanie to pokarm telewizji publicznej, bo ustawowa misja spełniona, a i licznik bije. Miliony żądają co tydzień igrzysk. 13 odcinków nie starczyło, na gorąco dokrę-

cono następne. To nic, że igrzyska budzą niskie instynkty. Fankluby wulgarnych prześmiewców w Internecie to pewnie margines. Że wyśmiewają, że dokopują „wiochmenkom”, które Czarek „apgrejduje”? Jeszcze jeden dowód, że film trafiony. Ale w końcu i tu odezwie się głos świętego oburzenia: „Mam nadzieję, że płęta będzie prokurator” – pisze fan. A inny, naładowany pozytywnie: „Bończyk na prezydenta!”. I to chodzi. Pozytywni bohaterowie, ferment i społeczna polemika. W przedostatnim odcinku powiedzieli, że serial był dziennikarskim śledztwem. Tylko niechby już jakaś „płęta”...



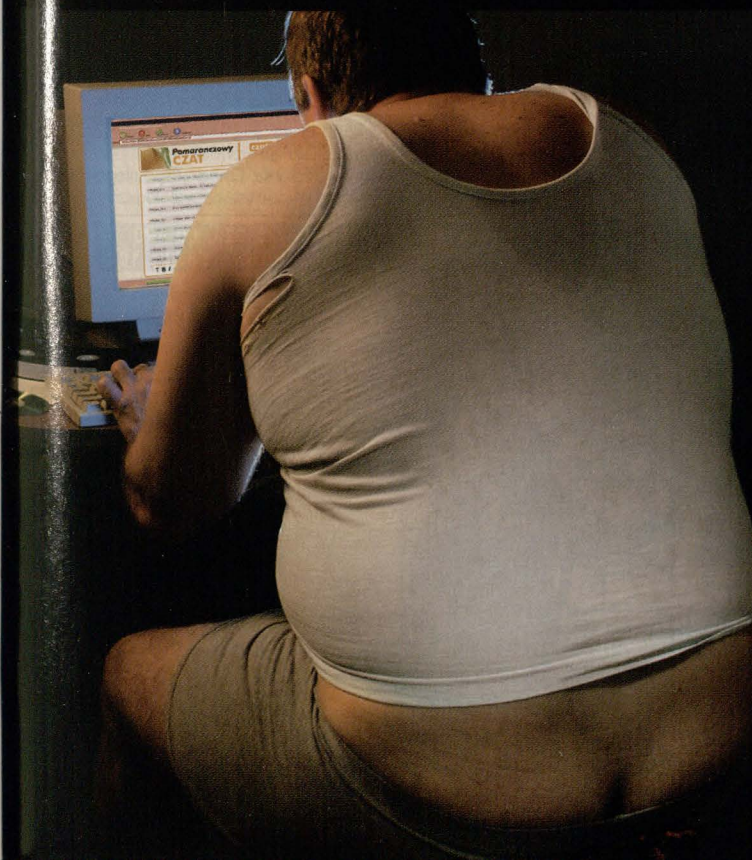
Okiem reżysera:
JULIUSZ MACHULSKI:

CHWAŁA IM ZA TO!

Oczywiście, kiedy widzimy, jak dziewczyny szukające pracy w tej „branży” są wykorzystywane i poniżane, myślimy sobie: „To nie jest w porządku” – ale to nie znaczy, że nie w porządku jest również film, który to ujawnia. I nie sądzę, żeby „Ballada...” była reklamą przedsięwzięć Mończyka czy Naturalnych, tak samo jak książka o narkomanii nie jest zachętą do brania narkotyków, a codziennie oglądane przez nas relacje z Iraku nie nawołują do wojny. Poza tym jestem przekonany, że emisja serialu oznacza raczej koniec biznesów pokazanych w tym filmie. Ci wszyscy „menedżerowie” zrozumieli już chyba, że udział w „Balladzie...” wbrew pozorom nie przyniósł im chwały, tylko duże kłopoty. Do tej pory słyszeliśmy o tego typu agencjach, o pokazach bielizny, walkach w kisielu, mało kto zdawał sobie jednak sprawę, jak to naprawdę wygląda i jakie są rozmiary biedy i desperacji w tym państwie. Do czasu, gdy zobaczyłem film, przeceniałem naszych rodaków, nie zdawałem sobie sprawy, że jest z nami aż tak źle. Wiem, że żyjemy w kraju ogromnych kontrastów ekonomicznych, ale nie spodziewałam się, że aż tak niski jest w Polsce poziom oświaty, cywilizacji, codziennej kultury. Ta prawda jest bolesna i przykra, nic więc dziwnego, że film budzi sprzeciw i szokuje. Nie sądzę jednak, żeby szokowanie było zamierzeniem samych autorów. Jestem reżyserem i wiem, że poruszając taki temat, łatwo było pójść w epatowanie goliżnią i rozmaite nadużycia, tymczasem serial był w gruncie rzeczy stonowany. A że oglądanie pewnych rzeczy nie jest przyjemne? Trudno, to jest terapia wstrząsowa. I chwała Morawskim, że zajęli się tym tematem!



<Wojtek> Cześć Aniu, tu Wojtek też mam 12 lat. Chętnie Cię poznam.



@ **dziecko**
W SIECI

Pedofile coraz częściej poszukują swoich ofiar w Internecie. Ponad 90% polskich dzieci korzystających z Internetu zawiera za jego pośrednictwem znajomości.

Zadbaj, by Twoje dziecko nigdy nie podawało w Internecie swoich danych osobowych i nie umawiało się z obcymi.

www.dzieckowsieci.pl

Organizatorem kampanii jest Fundacja Dzieci Niczyje:



Partnerzy kampanii:



Patronat:



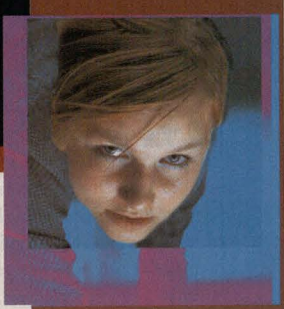
Honorowy



Kampanię



Dziennik z krainy
PAZŁOTKA
DOROTA MASŁOWSKA



FOT. BOGDAN KRZEL

Jenny From The Block

To jest ostatni odcinek, nie będę tego przed nikim ukrywać, że już więcej nie będzie. Łączę się w bólu ze swoimi czytelnikami, łączę się również w uldze z tymi, co dostawali dreszczy, ponieważ ja też dostawałam dreszczy, wszyscy wiedzą, że nienawidziłam, i nie jest to postkokieteria. Nie ma o czym mówić. Nie ma nic tak odświeżającego, jak wracając ze szkoły, zwolnić się z pracy. Jest to prawdziwy luksus.

Jest to teledysk wspomnieniowy, na którym pokazane jest, jak muzyki w zwolnionym tempie wysiadają z autobusu, niosąc dziurawy bęben, jest to smutek zwijającego się namiotu cyrkowego. Z „Baru” odpada kolejny uczestnik i odchodzi w ciemność przy piosence Portishead. Tak się właśnie czuję. „Ballada o lekkim zabarwieniu erotycznym” też już się kończy, za to w marcu ma wyjść nowa płyta Blonde Redhead. Od kiedy przeprowadziłam się do Warszawy, nie znam już żadnych interesujących osób. Wszyscy mają wszystkie zęby. To nie jest moja muzyka. Raz po raz słyszę od pana i wydawcy: „Przestań tak przeklinać”. Przestałam palić papierosy. Przestałam też wszystko. Zupełnie przestałam być miłą osobą, którą zawsze byłam, natomiast niezwykle zaczęło zależeć mi, żeby nie palić u mnie w mieszkaniu, nie chodzić w butach i nie siadać na pościeli. To są teraz moje priorytety. *Punk is dead*. Objęłam dwa odcinki „M jak miłość”.
Przyjechałam do tego miasta chyba tylko, żeby nienawidzić. Nie wychodzić z domu, oglądać Romanti-

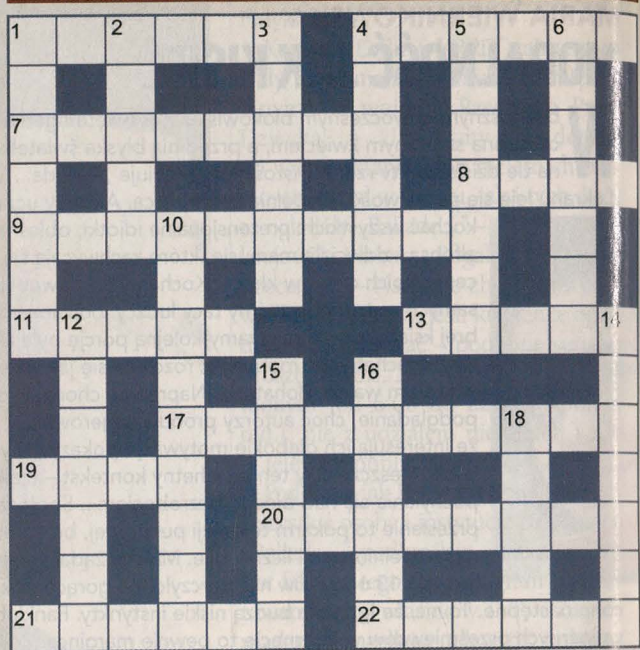
cę, kupować płyty za 60 złotych, strzelać z palca do redaktorek pism o przedmiotach i ta zadowolona z siebie onanistyczna nęcza bez aspiracji, bez marzeń o wyjeździe za szeroko pojętą granicę, wieczna dyskoteka, epicentrum Polski, Rumunia przybrana krepą i pomarańczką, czy ja mogłabym to tak zostawić? Czy nie jestem uzależniona od swojego obrzydzenia i podstawowego uczucia, które czuję, pogardy? Od pod słuchiwania rozmów, od udawania osób? Od kupowania apokryfów o Jolancie Kwaśniewskiej? Od szczydzenia ze studentek polonistyki? *Don't be fooled by the rocks that I've got*. Nie ma o czym mówić, erotyczna fascynacja światem przedstawionym to nadal nie jest to, do czego zmierzam.

Jak powszechnie wynika z tradycji greckiej, przed ponurą przepowiednią można uciekać, ale nie można uciec, przed ponurą przepowiednią ucieka się, ale raczej w kółko. Linie papilarne są niezmywalne. W galopującej bezsenności piszę swoją drugą złą powieść, nie ma o czym mówić, poza tym ku swojemu własnemu zaskoczeniu jako osoba pozbawiona jakichkolwiek poglądów zostałam z zawodu osobą, która uważa wszystko. To mi się wydaje beznadziejne.

Tak więc żegnam wszystkich, na koniec jedno haiku i jedno przysłowie, wszystko zawsze kończy się źle, uwielbiam wygłaszać takie opinie, to zawsze budzi uzasadniony niesmak.

www.przekroj.pl/maslowska

KRZYŻÓWKA nr 10



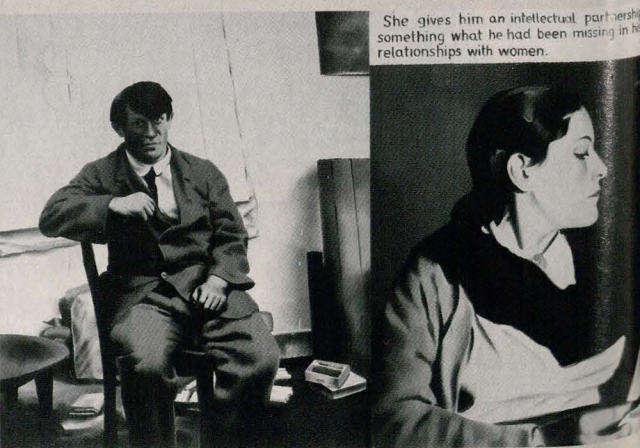
- POZIOMO:**
 1. KOS ŻÓŁTODZIÓB
 4. NADPODKOWIE
 7. BIAŁY SZALENIEC
 8. SPOI
 9. SZEFOWA NIE NA SWOIM MIEJSCU
 11. ZWĘŻA STRUMIEŃ
 13. WIEPRZ LUB TYGRYS
 17. Z WYŚCIGU POKOJU DO POKOJU
- 19. SŁODKIE DO CIAST**
 20. MARTWY LIS
 21. SZATA WARIATA
 22. ODZYSKASZ, JAK ZDASZ
- PIONOWO:**
 1. BEZ KONKURENCJI
 2. PRZEDSTAWIENIE
 3. SIEDEM POZIOMO WĘŻYKIEM
- 4. SAMIEC PIECYKA**
 5. PIECZE W NOC
 6. PODWÓRKOWY TRAPEZ
 10. NIEKTÓRYM TOPNIEJE
 12. JAISTA
 14. CHUSTKA NIE DO NOSA
 15. MAJTANIEC
 16. NAPAŁOWANIE
 18. BRZYDKO MÓWI

Rozwiązanie krzyżówki nr 7:
 Poziomo: 1. hrabia 8. Afryka 9. feminizm 10. bałwan 11. salon 13. wrzątek 15. rybitwa 16. flaki 20. czynsz 21. dietetyk 22. ostrze 23. amator
 Pionowo: 2. rzesza 3. boisko 4. Anioł 5. Hamburg 6. sylwetka 7. garnek 12. lobbysta 14. gwizdek 15. recho 17. litera 18. korynto 19. bieda

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 14 marca (decyduje data stempla pocztowego) nadesła poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki **William Price'a i Richarda Crapo „Psychologia w badaniach międzykulturowych”** (Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 10 lub Krzyżówka 10

MACIEJOWSKI



She gives him an intellectual partnership something what he had been missing in his relationships with women.

WINNY

BIEŃCZYK

Serce

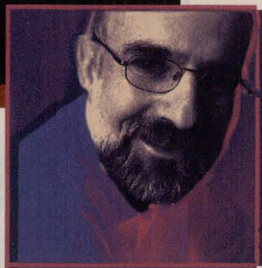
Edmund de Amicis (1848-1908), pisarz z Piemontu, opublikował między innymi powieść o intrygującym tytule „Miłość i gymnastyka”, słynną, pate-tyczną książkę dla młodzieży o nieco gorszym tytule „Serce” oraz rozprawkę całkiem już kiepsko zatytułowaną „Psychologiczne skutki wina”. U pod-saw tej ostatniej tkwi twierdzenie, że następstwo różnych stanów świadomo-ści, w trakcie których przechodzi-my od pogody po pierwszych łkach wina do żarliwej egzaltacji ostatnich toastów, jest samo w sobie wydarze-niem psychologicznym tak dalece czynnym i płodnym dla studiów nad ludzką naturą, że ani filozof, ani artysta nigdy nie zdoła go wyczerpać.

Dawno nie zrywałem tak boków przy lekturze poważnej książki i daw-no słowo nie smakowało mi równie dobrze co wino. Nie, nic takiego się nie dzieje, rozważając skutki wina (ym się różniące od innych alkoholi-ki ze pełniej rozbudza w nas ludz-kość), pisarz wylicza po prostu z pre-cyzją pedanta poszczególna uczucia i myśli wyzwalane w nas przez kolejne keliszki. Tak jakby latał po naszych wnętrzach małutkim aeroplanem i ob-serwował najmniejsze poruszenia du-cha. W pewnej chwili – zauważa – wzbiera w nas na przykład wielka fa-la miłości dla bliźniego naszego. Zna-cie? To posłuchajcie.

Patrząc na bijące życzliwością twa-rze współbiesiadników, pamiętamy je-dynie o ich zaletach i dowodach sym-patii, jakie nam okazali. Nieobecni wydają się cudownie mili i ich brak nas boli. W naszym sercu rozrasta się skarbiec wyrozumiałości. Wychwala-my nieobecnych pod niebiosa; po czym przewycięzamy wstydlivość i wygłaszamy pochwałę obecnych w słowach wyważonych, lecz pełnych tkliwości. Odtwarzamy dzieje naszych przyjaciół i wyolbrzymiamy usługi, jak-że nam oddano; niektóre wręcz zmy-słamy, by wyrazić naszą wdzięczność. Wygrzebujemy nasze grzechy, dawno już wybaczone, aby się znowu wyspo-wiadać i tym głębiej je pogrzebać. My-



BARBERA D'ASTI
 DENOMINAZIONE DI ORIGINE CONTROLLATA
 Ca'd Carussin
 SAN MARZANO OLIVETTO TOSIA
 Lia Vi 2001.
 Ca'd Carussin,
 * odmiany barbera,
 która lubi de Amicis,
 70 złotych
 w różnych sklepach



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

MAREK BIEŃCZYK

slimy o dawno zapomnianych przyja-ciołach i przyrzekamy sobie, że naza-jutrz napiszemy do nich pełen uczuć list, którego pierwsze zdania już dźwięczą w naszej głowie. Kierujemy też myśli ku tym, wobec których od-czuwamy urazę, i postanawiamy, że jutro się z nimi pogodzimy. Nasza wyobraźnia przedstawia nam świat taki, jaki mógłby być, pełen toleran-cji, porozumienia, dobroci.

Owszem, rozum nam podpowiada, że świat taki nie jest. Ale są prze-cież w nim święte żywota, przykłady szczodrości i wielkości. Nasze serce

na przykład pomieścić zdoła tysiące nowych uczuć, ogromy podziwu i en-tuzjazmu. Odczuwamy potrzebę, by rozlać naszą życzliwość na całą ludz-kość, jakbyśmy wypełnić chcieli na-szym głosem szeroką i dźwięczną dol-inę. I wówczas zapala się w naszym duchu iskierka twórcza. Poeta do-strzeża w jednym błysku wielkie wer-syety wspaniałego dramatu. Architekt widzi genialne kontury budowli, któ-ra przyciמי następne stulecia. A felie-tonista chciałby wziąć na ręce swych ukochanych, cudownych czytelnik-ów, przenieść ich na rajską wyspę, gdzie będzie ich karmić kawieorem, po-ił szampanem i bawił coraz świetniej-szymi opowieściami, od których cie-pła obudzi się w grobie Lady Di.

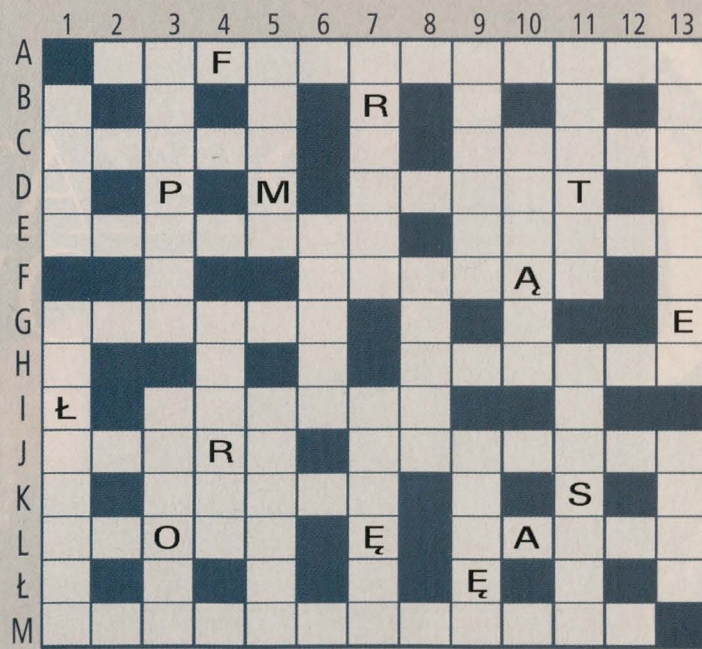
Miłość, wino, serce, właściwie ty-tuły książek de Amicisa mówią o jed-nym i tym samym. Ach, drogi Ed-mund de Amicis, serce, komedia ludzka, szekspirowska farsa, w którą wierzę raz na tydzień. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

JOLKA nr 10

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFRO-WAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

Ł5 - E12 - B3 / A11 - J9 / G4 - M10 - E1 / L13 - Ł1 - D7 - E3 / L11 - M3 - C3 / L4 - C7 - A7 - J12 - K5 / I3 - B5 - H1 - G8 - D1 / I5 - Ł3 - C2 - L12 - D13 - M8 - F9 / C13 - H10 / F13 - L2 - A2 - H9 - M11 - G6 - I8 - E9?



- WYRAZY 12-LITEROWE:**
 • rubryka dla introwertyka, ambiwertyka i ekstrawertyka
 • nawierzchniowa koalicja

- WYRAZY 8-LITEROWE:**
 • nibynóżka ładu
 • niespodzianka w rewanzu

- WYRAZY 7-LITEROWE:**
 • policjant ma inny niż filatelieści
 • natchnie diagnostę
 • gdy pacyfista z pistoletu korzysta
 • torów, osi, kół lub... szachy

- WYRAZY 6-LITEROWE:**
 • wzdycha do materaca
 • słońce nam się rozemanowało
 • ten, co Rappaport mówił, że się ścina i się rżnie...
 • lwu gore • odpoczywa po walentynkach

- fałszywy w odzieniu owczym
 • o los kraju, zdrowie i koszty
 • ekspresja ramion
 • wspaniały Sturgesa
 • zielona róża na krem
 • zrezygnowane plecy
 • zysk z palmy

- WYRAZY 5-LITEROWE:**
 • do niechowania
 • alfabet 3D

- wykopany przychód
 • bohru cięższe niż boru
 • bóg z bangkokijczykiem jak jeden mąż parobkują • rzut oka na ściągę i już Viète'a
 • dekonspiruje gości
 • do leśnego zawiadowania
 • drżymy, gdy ciągnie
 • dziabnie, brzęcząc
 • tam nam fijolecki smykać
 • centuś z collie

- WYRAZY 4-LITEROWE:**
 • otomana kapitana
 • rozwiniecie słowa

Rzędami: dopływ, Perrault, Peru, szczerba, striptiz, rugby, jasła, miał, ogon, Dawid, stowa, Damokles, menzurka, Ryan, wyznanie, komiks.
 Kolumnami: dżersej, artefryk, papirus, łowczyni, pląga, wpust, drink, ziemniak, gracz, marek, radio, kamedula, walonki, Ali-Babki, dystans.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 5 nagrody wylosowali: Anna Blusz, Kraków; Maria Dziamba, Tamobrzeg; Wojciech Fenrych, Poznań; Wiktor Gilas, Legnica; Małgorzata Gontarz, Koszalin; Karina Grabowska, Nowy Sącz; Monika Gzyl, Modlnica; Ewa Kowanda, Opole; Anna Krzyszczyk, Brzeg; Adam Wnęk, Olsztyn. Gratulujemy!

VIVA!

nr-5(185) 1 MARCA 2004

ENNA
99 zł
7% vat

Sam
ale
SILNA

ALGORZATA
KOZUCHOWSKA

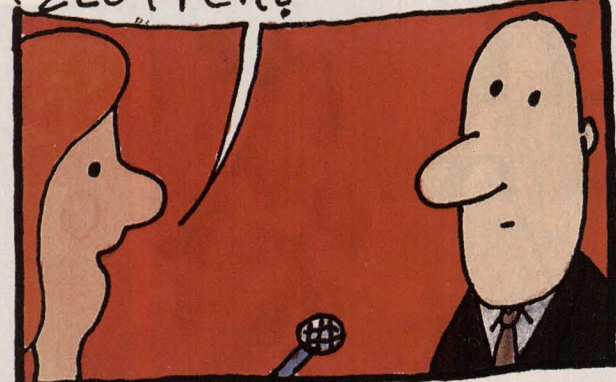
7 lat VIVY!

W specjalnym wydaniu
niezwykły dodatek!

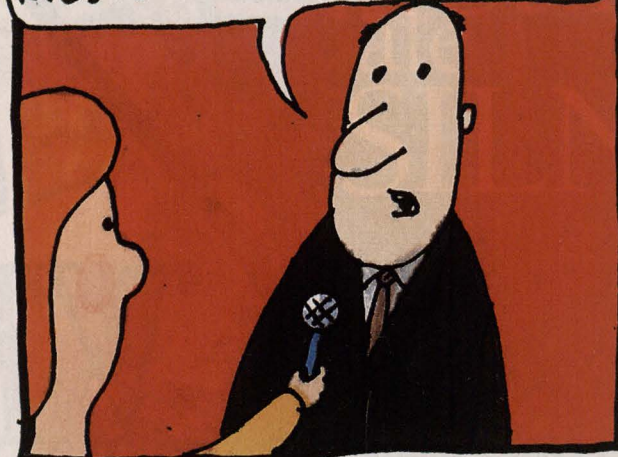


68 stron najpiękniejszych fotografii
z 7-letniej historii VIVY!

PANIE POŚLE, CZY TO PRAWDA,
ZE WYCOFUJE SIĘ PAN Z
KONTYNUOWANIA PRÓBY PRZE-
ZYCIA MIESIACA ZA PIĘCSET
ZŁOTYCH?



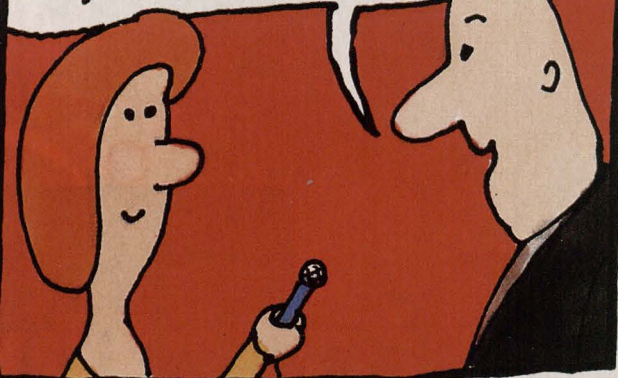
Z OGROMNYM ZACEM MUSZĘ TO
NIESTETY POTWIERDZIĆ.



A PODOBNO POSKONAŁE PANU
SZTÓ PRZEZ TE DWADZIE-
SCIA DNI. ILE PAN
WYDAŁ?



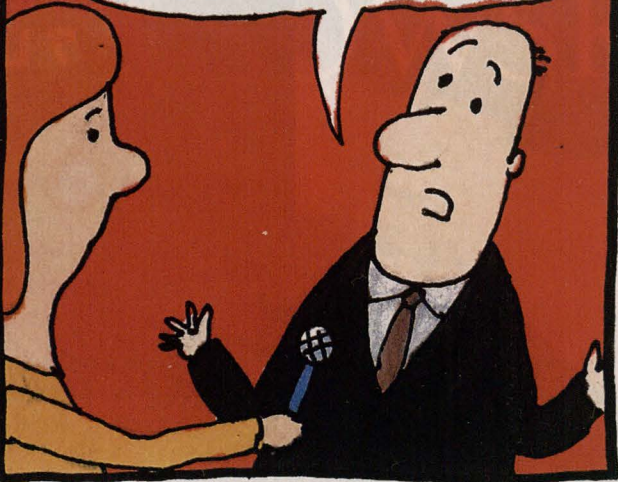
DO DWUDZIESTEGO PRZEZYTEM
ZA DWIEŚCIE SIEDEMDZIE-
SIĄT ZŁOTYCH.



WIEC DLACZEGO
POSTANOWIŁ SIĘ
PAN WYCOFAĆ?



WCZORAJ W TRAMWAJU
OKRADLI MNIE
KIESZONKOWCY.



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

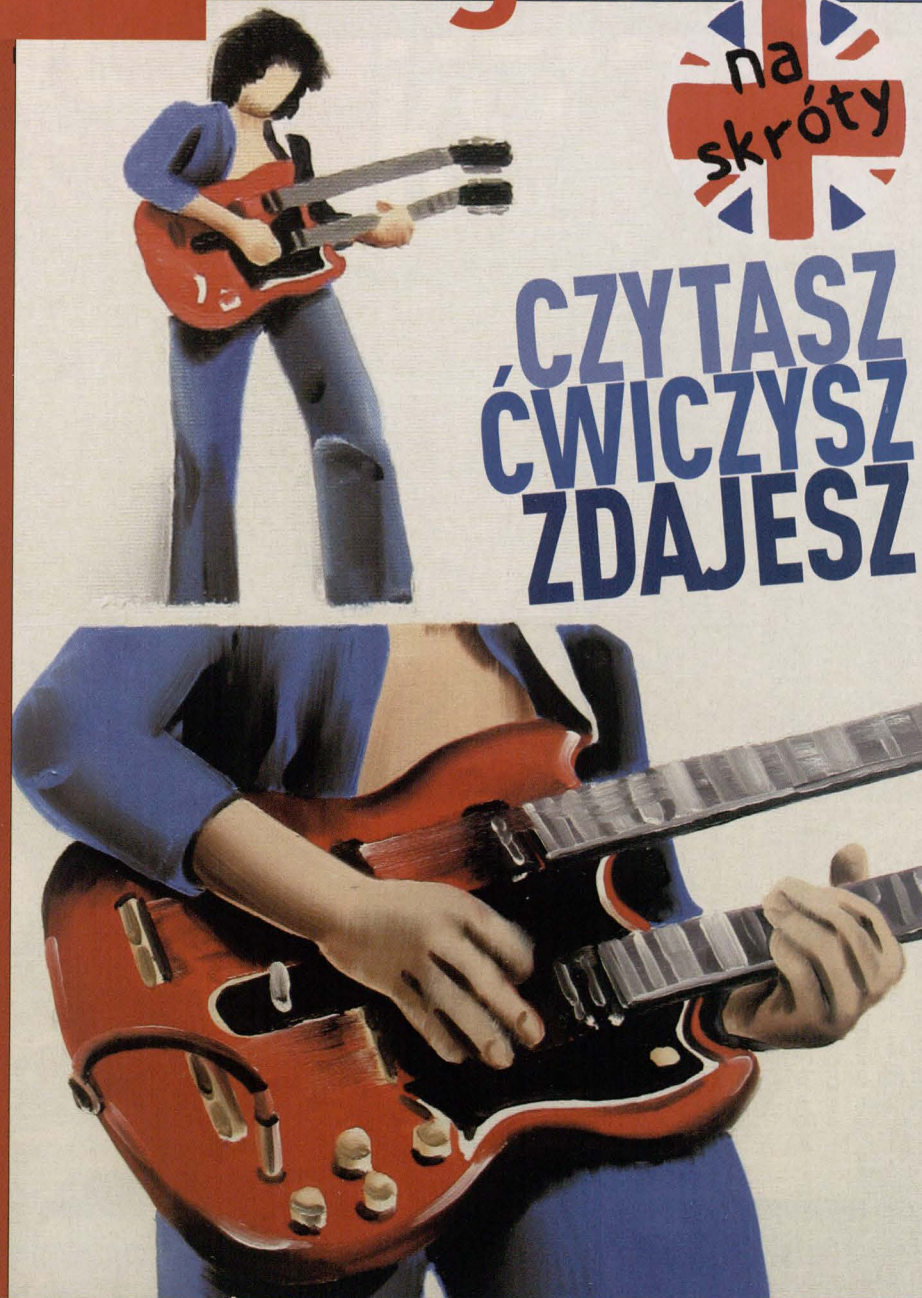
PRZE KROJ

OTWÓRZ OCZY, ZOBACZ

PORADNIK NAPRAWDĘ
PRAKTYCZNY
Angielski

na
skrót

CZYTASZ ĆWICZYSZ ZDAJESZ



NAJWAŻNIEJSZE ZASADY PROSTYM JĘZYKIEM

Za tydzień **dodatek specjalny**
„Angielski na skrót”. Poradnik naprawdę praktyczny
– wreszcie wszystko zrozumiesz!

HAIKU BRZÓSKI

W zimowym domu
dziadka Brzóska

Jest ciepło, przytulnie
Sikorka je słoninkę
Śnieg leży obficie
Po co mi jeszcze jakaś potrzeba?

Dariusz Brzóska Brzóskiewicz

PRZYGODY STANISŁAWA Z TOZI



Narysował Marek Raczkowski

NIGDY W ŻYCIU

CZYLI KINOTERAPIA EKSPERYMENTALNA
Kinoteatrzyk Przemka Jurka

Występują: PACJENTKA oraz
PSYCHOANALITYCZKA

PACJENTKA (szpatycznie): Poszłam do kina na „Nigdy w życiu”, tak jak mi pani radziła. Plakałam cały seans! Ta Stenka to tyle szczęścia miała! I pracę fajną, i córkę, i się rozwiodła bez problemów, i taki śliczny dom zbudowała za sto tysięcy, i ten Żmijewski... A ja? (szloch)

PSYCHOANALITYCZKA: Hm... Może na „Żurek” się pani wybierze? Na pewno się pani lepiej poczuje.

PACJENTKA (na skutek zabawnego nieporozumienia wybiera się na żurek do pobliskiego baru mlecznego, zjada dwa talerze i błyskawicznie – oraz zupełnie bez pomocy polskiej kinematografii – odzyskuje dobry humor)

THE END/KURTYNA



Rys. KOREN/NEW YORKER

– Ja i twoja matka uznaliśmy, że naszedł czas, abyś znalazł sobie własne miejsce. Chcielibyśmy pobyć trochę sami przed śmiercią.

Rodzina Obłych ZA LODÓWKĄ

Rodzina Obłych porządkuje mieszkanie. Pan Obły odsuwa meble od ścian, a pani Obła zamiata za nimi. Za lodówką Obli odkrywają różne przedmioty, o których dawno zapomnieli. Pan Obły znajduje ulubiony długopis, pani Obła szminkę, a syn Obły orzecha i stary zeszyt. Wszyscy cieszą się z odnalezionych przedmiotów i pokazują je sobie nawzajem. Późnym wieczorem wrzucają je z powrotem za lodówkę. – Niech tam będą – myślą o przedmiotach i natychmiast o nich zapominają.

Patryk Pająk



Rys. PAULUS MAZUR

TOFOTOFOTOFOTO



Fot. IMAGE BANK/FPM

MYŚL!
Wielu
we
flecie
widzi
tylko
drzewo.
Mozart

Wojciech Zembaty
KRÓLEWNA
Na dzień kobiet XXI wieku

na krzemowej górze,
w magnetycznej chmurze
mieszkała raz zwiewna,
tęczowa królowna

wszyscy ją widzieli,
lecz nikt nie mógł poczuć
kąpała się w blasku
rozognionych oczu

olaboga – matrix!
co to będzie teraz?
nieszczęsny, kto kocha
pannę z komputera

nie można jej dotknąć,
całować i kąsać,
i wcale nie pachnie
wirtualna łąka

nie kwapi się klócić,
wymagać i dąsać,
obiadu nie robi
i nic, tylko płąsa

i cóż z tego, bracie,
że to obraz soft,
kiedy pierś jej stroma,
jak u Lary Croft...

królowna się śmiała,
hołdy przyjmowała
chowając do kiesy
serca – esemesy

pytanie za milion:
czemu tak mnie kręci?
tutaj się zawieszam –
za mało pamięci

LAST MINUTE
O planach lustracyjnych rządu:
podobno najchętniej oglądany
odcinkami będą odcinki renty.
Krzysztof Płyty